U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

3

TWÓRCZOŚĆ

MARZEC 1951 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 3
WARSZAWA MARZEC 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Drukarnia nr 5 Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik"
Zamówienie 271, nakład 6855 2-B-16324

Z PAMIĘTNIKÓW WIĘŹNIA

30 kwietnia 1908

Dwa tygodnie tylko poza światem jestem. A zdaje się jakby to już wieki całe. Myśl pracowała, objęła czas ubiegły — czas czynu i gorączki, treści szukała, życia. Na dnie duszy spokój i jakaś dziwna pogoda nie licująca ani z murami tymi, ani z tym, co tam poza nimi zostawiłem. Jakby zamiast życia wegetacja przyszła, zamiast czynu — zapatrzenie się wewnątrz siebie. Dziś dostałem ten zeszyt, atrament i pióro. Chcę dziennik pisać, chcę z sobą rozmawiać, chcę wnikać w życie, by dało wszystko — i dla mnie, i może po trochu dla tych druhów moich, którzy tam o mnie myślą i boleją nade mną — i by w ten sposób zachować siły do powrotu. Jutro 1-szy maja. W ochranie oficer jakiś ze słodką miną pytał mnie: „słyszał pan, że przed waszym świętem bardzo wielu waszych zabierzemy?" A dzisiaj był u mnie pułkownik Iwanienko, żandarm, dowiedzieć się, czy jestem przekonanym „esdekiem" i ewentualnie zaproponować mi służbę rządową... „Może pan się rozczarował?" Zapytałem się go, czy głos sumienia nigdy do niego nie przemawiał, czy nie czuł nigdy, że złej sprawy broni. Na tym samym korytarzu, na którym i ja siedzę, siedzi zdrajca robotnik-ślusarz, Michał Volgemut, bojowiec z Frakcji Rewolucyjnej PPS, schwytany pod Sokołowem po krwawym napadzie na pocztę, gdzie 6 czy 7 żołnierzy zabito. Gdy przyłapano jego kartkę, w której prosił towarzyszy, by go odbito, i gdy Zawarzin, naczelnik ochrany, zaczął obiecywać mu wolność za zdradę i namawiał go przez kilkanaście godzin — zdradził. Do sprawy pociągnięto 27, wśród nich 17-letnich chłopców i dziewczęta. Teraz widuję go, jak chodzi na spacerze z twarzą smutną, przybitą, z drugim, z którym nigdy nie zauważyłem, by rozmawiał. Z celi swojej nie puka do nikogo.

Gdzież wyjście z piekła teraźniejszego życia? Wyjście w idei życia harmonijnego, życia pełnego, obejmującego całe społeczeństwo, całą ludzkość. Wyjście w idei socjalizmu, w solidarności mas pracujących. Idea ta już przychodzi, już lud otwarte serce ma dla niej, czas już przyszedł. Trzeba skupić szeregi apostołów tej idei i nieść wysoko jej sztandar, by lud go dojrzał i poszedł za nim. I to jest dziś najpilniejsze zadanie socjaldemokracji, zadanie tej garstki tu w kraju, która się zachowa. Socjalizm powinien przestać być wyrozumowanym ujęciem

przyszłości i stać się winien pochodnią, która zapalać będzie w sercach ludzkich wiarę i energię niezwalczoną. Garstka mała, lecz silna ideą swą skupi masy koło siebie, da im to, czego im brak, co ożywi je i natchnie nową nadzieją. Mordercy nie stworzą ładu, nie wtłoczą życia w stare ramy, a krew niewinnych i głód, i cierpienie mas ludowych — płacz dzieci i rozpacz matek — te ofiary, które lud złożyć musi, by pokonać wroga i zwyciężyć — nie pójdą na marne. Późno już... Chcę tutaj przynajmniej regularne życie prowadzić — by nie oddać im sił moich. A czuję taki wielki zasób ich, że zdaje się, wytrwam i wrócę... A jeżeli nie wrócę już — to może ten dziennik dojdzie do rąk druhów moich i będą mnie mieli, choć cząstkę moją i tę pewność, że pogodny byłem, że przywoływałem ich do siebie w godzinach ciszy i smutku, i radosnych myśli.

2 maja

Codziennie zakuwają po kilku i więcej w kajdany. Gdy przyprowadzili mnie do celi, w której niegdyś już przed 7 laty siedziałem, pierwszy głos, który przemówił do mnie — to brzęk kajdan. Doleciał do celi mojej z którejś z sąsiednich. Towarzyszy on każdemu poruszeniu okutego. Zimne, bezduszne żelastwo, połączone z żywym ciałem ludzkim, żelastwo wiecznie ciepła łaknące i nigdy nie nasycone i wciąż przypominające niewolę. Zakutych na moim korytarzu większa część teraz. Na 13 — 7 zakutych. Gdy chodzą na spacerze, cała cisza więzienna wypełnia się tym jedynym szczękiem, który przenika do wszystkich tajników duszy i staje się wszechwładnym. I chodzą, patrzą na niebo, na drzewa, które już liśćmi zielonymi zaczynają się pokrywać — i nie widzą piękna, nie słyszą hymnu życia, nie czują ciepła słońca. Zakuwają ich, bo chcą odebrać im wszystko i pozostawić tylko ten dzwon pogrzebowy. Przecież obawy, by mogli stąd uciec, mieć nie mogą, nikt jeszcze nie uciekł stąd, z ich rąk: — za każdym chodzi żołnierz z karabinem — prowadzi żandarm, naokoło żandarmi, żołnierze, kraty, okopy forteczne. Zakuwają, bo zemsty chciwi, krwi żądni — muszą nasycić swe pragnienie...

7 maja

Czasami w ciszy nocnej, gdy się już leży, a jeszcze nie śpi, wyobraźnia podsuwa ruchy i dźwięki jakieś — umiejscawia je tam na zewnątrz, za parkanem, dokąd prowadzą okuwać. Wtedy podnoszę się i nasłuchuję — i im więcej wsłuchuję się, tym wyraźniej słyszę, jak stru-

gają i heblują ostrożnie, po kryjomu. — Myśl błyska i już nabiera pewności, to szubienicę i pomost szykują. Kładę się, wciągam kołdrę na głowę... już nie pomaga, coraz wyraźniej, z coraz większą pewnością wie się, że dziś powieszą kogoś. On wie o tym, przychodzą do niego, rzucają się, wiążą, usta kneblują, lub też sam daje sobie dobrowolnie ręce związać i nałożyć koszulę śmiertelną. Dotykają i potem prowadzą, patrzą, jak kat go bierze, patrzą na ostatnie drgnienia i może cyniczne słowa rzucają potem, gdy zakopują trupa.

13 maja

Przed godziną burza szalała. Po raz pierwszy potężne grzmoty biły, huczały, wstrząsały całym powietrzem i nasz marny pawilon X drżał. Błyskawice oślepiająco jaskrawie rozdzierały mrok, odbłyski ich migały, i różowe, odbite od ściany oficyny wpadały do celi mojej, deszcz lał jak z cebra, a wiatr kołysał drzewem za oknem, bił o ściany, stukał i skowyczał. Teraz cisza. Księżyc zamglony patrzy z góry obojętnie, nie słychać ani kroków szyldwacha i żandarma-klucznika, ani śpiewu mojej sąsiadki, ani brzęku kajdan, tylko od czasu do czasu kropla deszczu skądś spada na blachę od mego okna i słychać gwizdanie lokomotywy. Jakiś smutek wżera mi się w duszę. Nie więźnia to smutek. I tam nieraz podchodził mnie cichaczem i opanowywał — smutek bytu, tęsknota za czymś nieuchwytnym a koniecznym do życia jak powietrze, jak miłość. Dziś dwóch skuto, prowadzono ich koło naszych okien z kuźni. Sąsiadka moja, Hanka, krzyknęła każdemu z nich „niech żyje rewolucja", oni ucieszeni odpowiedzieli tym samym okrzykiem. Widocznie dziś zasądzono: może są skazani na śmierć. Widziałem, idąc na spacer, jakiś ruch na jednym z korytarzów — śmiertelnym — często pustym, przeznaczony jest bowiem dla skazańców. Przechodziłem kilka razy przez ten korytarz, gdy prowadzono mię do kancelarii i, nie wiedząc jeszcze o jego przeznaczeniu, czułem powiew śmierci. Nie jest ciemny, jaśniejszy od innych, 3 okna duże na korytarzu, 6 cel tylko, od 45 do 50 włącznie, lecz drzwi od cel, chociaż takie same jak u nas — żółte z rdzawymi plamami, jednak inne. Na drzwiach jednej z cel zauważyłem zamek zupełnie zardzewiały, pokryty rdzą, w innej w drzwiach dziura była duża, deską zabita, jakby tam walka jakaś śmiertelna toczyła się z opornym, zrozpaczonym skazańcem.

14 maja

Korytarz cel śmiertelnych nie jest próżny. Przed chwilą, będąc na spacerze, widziałem w oknie celi 50 cień bladego, młodego mężczyzny,

zdaje się robotnika. Lufciki u góry w oknie tej celi zamknięte. Parę razy podchodził do okna i wpatrywał się w karbowane szyby, przez które, prócz rozlanego światła i cieniów niewyraźnych, rozpłyniętych, nic nie widać. Tylko dwie górne szyby ze zwyczajnego szkła otwierają się i przez nie można widzieć niebo, przyćmione gęstą siatką drucianą, której oczka są tak małe, że zapałki nawet przesunąć nie można. By zobaczyć przez te szyby, co się na podwórzu dzieje, trzeba stanąć na stole lub na poręczy żelaznego łóżka. Zresztą żandarm pilnuje, zagląda często przez „judasza" w drzwiach — na chwilkę więc tylko można na stół wskoczyć i rzucić spojrzenie przez szyby. Więzień spod nr 50 siedzi samotny, bo nawet sąsiadów nie ma, cela ta zupełnie jest oddzielona i mieszkaniec jej nie może rozerwać myśli swych nawet pukaniem, ani zatrzymać oka na czymś, co by ułagodzić, uciszyć burzę mogło. Brudna kamienna podłoga, brudne drzwi, stół i okna na żółto pomalowane, ściany szare, zakurzone, z sinymi i białymi plamami, sufit jak pokrywka trumny, „judasz" w drzwiach i martwe, rozlane, srebrne światło dnia życia. A tam za drzwiami na korytarzu podkrada się żandarm po cichu, podnosi zasłonę „judasza": patrzy, pilnuje, by ofiara nie wymknęła się, zadając sobie śmierć własną ręką.

16 maja

Wiosna w całej pełni. Wszystkie drzewa owocowe pokryte kwiatami białymi i bujnie już odziane zielonymi liśćmi. Dzień coraz dłuższy i w powietrzu już lato czuć, na słońcu w ogrodzie gorąco, a tu w celi coraz duszniej.

21 maja

Wieczorem, gdy przy lampie siedziałem nad książką, usłyszałem, jak żołnierz w ciężkich butach do okna mego podszedł i ujrzałem, jak twarz jego przylgnęła do szyby. Nie bał się podejść, ciekawy był, może zainteresowany. „Nic bracie nie widać" rzuciłem mu życzliwie. Nie odszedł — „tak" odpowiedział, westchnął i po pauzie zapytał: „Nudno panu? Zamknęli... (tu rosyjskie wymyślanie) i trzymają". Ktoś wszedł na podwórze — odszedł. Te kilka słów, ostrych, lecz współczujących, wywołało całą falę uczuć i myśli. W tym domu przeklętym od jednego z tych, których sam widok drażni, denerwuje, nienawiść budzi — usłyszeć słowa, które przypominają ideę wielką, żywotność jej i łączność naszą, więźniów, z tymi, którzy dziś mordują nas. Jakąż kolosalną pracę wykonała już rewolucja: rozlała się wszędzie, obudzi-

la umysły i dusze, tchnęła w nie nadzieję i tęsknotę i cel im pokazała. Tego żadna siła nie wyrwie. I jeżeli dziś my, widząc, jak zło okrutnie się rozpanoszyło, z jakim cynizmem ludzie zabijają ludzi dla marnej zdobyczy, wpadamy w rozpacz nieraz — to popełniamy błąd straszny, nie widzimy dalej swego nosa, nie czujemy tego procesu zmartwychwstania ludów.

Wojna japońska wykazała całą grozę dezorganizacji i destrukcji armii rosyjskiej — rewolucja uzewnętrzniła też tylko to zło, które zjadało społeczeństwo. I to zło, zanim zginie, właśnie po to, by zginąć, musiało się uzewnętrznić, musiało wziąć górę i doprowadzić siebie do bankructwa. To nastąpi. By tę chwilę przyspieszyć, trzeba naszą pewność tego bankructwa przelać w masy — by nie zwątpiły, by przetrwały w gotowych zastępach. To zadanie „teoretyków". A zadaniem innych — wykazać to zło, męczarnie mas i jednostek z niej wyrwanych i nadać im to znaczenie, które mają, a które daje siły znieść mężnie wszystko, nie zachwiać się — i w ten sposób natchnąć masy męstwem i moralnym przeświadczeniem o konieczności walki. Potrzebni są ci, co umysłowi pewność dadzą, i ci, co ją dadzą duszy, sercu — uczeni i poeci, nauczyciele i apostołowie. Przypominam sobie, jaki ogromny wpływ miała książka Proletariatu „Z Pola Walki", która opisuje męki ludzi, ich wytrwałość i niezłomność i zarazem zawiera program. Chciałbym, by i teraz książka taka wyszła. Teraz trudniej zebrać i zestawić fakty, bo są tak olbrzymie i jest ich tak wiele, lecz i sił jest teraz więcej. Gdyby ktoś podjął się tej pracy, kierownictwa tylko, za rok, za dwa mogłaby ukazać się taka książka. W niej byłyby nie tylko cierpienia, nie tylko nauka nasza, lecz ta żądza pełni życia, której kto zazna, nie przeklnie żadnych cierpień, żadnych ofiar.

Tak kilka słów żołnierza rozpaliło mój mózg. Tu jest ich wielu — żołnierzy na swych placówkach i żandarmów-kluczników. Lecz dostępu do ich serc ani głów mieć nie możemy. Rozmowy wszelkie z nami są wzbronione i rygor tutejszy je uniemożliwia. Nie ma o co zaczepić rozmowy. Stykamy się jako wrogowie z żandarmami, a żołnierzy tylko widzimy. Na korytarzu trzech żandarmów codziennie zmienia się co 4 godziny. Ten sam żandarm bywa raz na 10 — 15 dni, trudno więc poznać, który z nich dostępny, a który nie, prócz tego nieraz mają dużo roboty z wypuszczaniem nas po jednemu do „ubornoj", na spacer, na widzenie, z otwieraniem drzwi na obiad, na zamiatanie, na herbatę, na zabieranie z rana lampy, na chleb, na kolację. Dalej żandarmi, którzy prowadzą na spacer, bez zmiany od rana od godz. 4 — 5-tej są na służbie, po spacerze używani są do innych robót. Stąd bardzo czę-

sto są opryskliwi, źli — widzą w nas wrogów, starają się skrócić spacer i nieraz usiłują nam dokuczyć, boją się tylko awantury. Takich zresztą, którzy dokuczają nam z własnej inicjatywy, jest mało. Ci często zaglądają przez judasza, każą długo czekać, zanim drzwi na pukanie otworzą. Ogół — są to zmęczeni ludzie, i czuć po nich, że boją się naczalstwa, że surowa dyscyplina im ciąży. Miałem przykład współczucia z ich strony — widocznie wśród tych, którzy są tu niedawno i nie wciągnęli się jeszcze w tryb tutejszego porządku. Raz któremuś z nich powiedziałem, by mi książki zmieniono — zaraz się zwrócił do drugiego wolnego żandarma, w tej chwili przechodzącego koło drzwi mojej celi...

Drugim razem, na spacerze, gdy zdawało mi się, że żandarm chce, bym już szedł do celi, zwróciłem mu uwagę, że jeszcze mi pozostała jedna minuta (zegar w szafce szklanej, zamkniętej, wisi na parkanie), oburzył się na mnie o posądzenie, że on mi zabierze minutę. Ton był tak przyjazny, że zawstydziłem się i odpowiedziałem: „różni wśród was bywają". Tak trudno w tym martwym domu wszcząć rozmowę z żandarmem. Charakterystyczny fakt, że, gdy więzień z więźniem się spotka przypadkowo, nie mogą przemówić do siebie. Raz żandarm zapomniał, że w „ubornoj" już jest jeden więzień i puścił drugiego, ten, gdy tamtego zobaczył, od razu zawrócił do swej celi, i słyszałem (więzień z celi naprzeciwko), jak mówił żandarmowi: tam ktoś jest. Innym razem ja spotkałem oficera-więźnia i gdy spostrzegłszy go, przygotowałem się i rzuciłem mu: „witajcie, towarzyszu" — patrzył tylko na mnie zdumiony. Tu się traci pewność siebie, umiejętność zawiązania i prowadzenia rozmowy. Tu prawdziwie czuć śmierć i umarłych. Żandarmi z sobą i żandarmi z posługaczami rozmawiają na korytarzu szeptem, gdy ktoś z naczalstwa przechodzi do celi, żandarm drzwi zamyka, by inni nie słyszeli rozmowy, głosu, z uwięzionym żandarm nie ma prawa rozmawiać i wejść do celi, posługacza-żołnierza pilnuje żandarm-klucznik, by słowa nie przemówił, jeżeli od posługacza czego żądam, muszę się zwracać do żandarma. Na korytarzu są chodniki, tak że kroków nie słychać. Z korytarza dolatuje tylko szept czasami, zgrzyt zasuw i zawiasów i trzask zamka. Każdy dźwięk z zewnątrz, który wdziera się z fortecy przez okno, potęguje tylko tę grobową, tajemniczą ciszę wnętrza. Cisza ta jak grób narzuca się każdemu i opanowuje tak nas jak żandarmów. Raz zwróciłem uwagę żandarmowi, że nie powinien budzić mnie na spacer, jak to zrobili tego dnia rano, że im urządzę kiedyś awanturę z tego powodu, byłem spokojny, lecz przy tym dłuższym przemówieniu czułem drganie jakieś w sobie, zauważyłem,

że i żandarm nie mógł swobodnie mi odpowiadać. A gdy któryś z nas zdobędzie się na swobodne powiedzenie kilku słów do żandarma, gdy czasami zaśpiewa lub zaśmieje się szczerze, naturalnie — wtedy jakby jasny promień nam zabłysnął. Czują to i żandarmi. Mówiąc o tej grobowej ciszy, muszę nadmienić, że na moim korytarzu zakutych już nie ma, a na spacerze w moim ogrodzie bywa tylko jeden zakuty (część rozkuto, tych, których przywieziono z prowincji na sąd zakutych, część wywieziono), tak że obecnie cisza ta nie wpija się już tak okropnie boleśnie w mózg i w świadomość brzękiem kajdan, lecz mimo to nie mniej oddziaływa na dusze nasze. Zza okna wdzierają się do nas odgłosy życia, w dzień szum ciągły, w którym trudno odróżnić poszczególne odgłosy — to oddech życia, ruchu, słońca, deszczu, dalekiego miasta, dorożek, przemarszu żołnierzy, w ten gwar życia ogólny wplata się czasami swobodny głos dzieci, grube głośne śmiechy, żarty, wymyślania i głosy żandarmów i żołnierzy, czasami grzmiąca muzyka wojskowa, czasami śpiew żołnierzy, huczących na całe gardło, czasami harmonia, która bez końca ciągnie jedną i tę samą nutę. Czasami w święta słychać jakiś ochrypły śpiew przy akompaniamencie harmonii. W nocy dolatuje gwizdanie i ruch pociągów, a gdy wiatr cichy porusza liśćmi, rzekłbyś, że to poszum lasu łagodny lub bieg rzeki. Lecz głosy te wszystkie potęgują ciszę wewnętrzną, wywołują nieraz rozdrażnienie i nawet wściekłość; przypominają wciąż, żeś nie umarł, że dźwięki te wdzierają się zza kraty, zza okna, dającego nam świat zewnętrzny tylko jako rozlaną plamę świetlną, która zaciera wszystko, wszelkie kształty. A jednak gdyby zupełnie zabrakło i tych wrażeń słuchowych, byłoby może dla duszy jeszcze bardziej zabójczo.

23 maja

Dziś miałem po raz pierwszy widzenie. Była bratowa z małą Wandzią, dziewczynka bawiła się siatką drucianą, pokazywała mi piłkę i wołała: „stryjek, wychodź". Cieszę się bardzo, że widziałem je, tak bardzo je lubię. Kwiaty mi przyniosła, które teraz leżą na stole przede mną. I ona się cieszyła, że dobrze wyglądam, a ja zapewniałem ją, że mi tu dobrze zupełnie i wesoło, mówiłem, że mi zapewne dadzą katorgę. Dziś dwa razy byłem w kancelarii (adwokat był i widzenie) i za każdym razem przechodziłem przez korytarz śmiertelny. Siedzą tam skazani — zdaje się jest ich dwóch, bo widziałem, jak posługacz niósł dla dwóch obiad. Że to skazani, jestem pewny, bo prócz żandarma na korytarzu dyżuruje i żołnierz z karabinem. A tam z wolności przysyłają drogie mi pozdrowienia i dowody pamięci — i idą śmiali naprzód w jarzmie życia i swoje

robią. Widzę ich wielu, wielu: jedni tak jak ja, inni żywi jeszcze, inni daleko, lecz myślą, sercem i pracą tu. Widzę i tych drogich, którzy dają szczęście i urok życiu naszemu, dają energię i wytrwałość.

3 lipca

Dziś po obiedzie otworzono mi całe okno, będę mógł teraz otwierać co dzień od godziny 4 — 5, gdy spacery już się kończą, i przed 8 rano. Teraz widzę już zieleń, wielki kawał nieba, wciągam świeże powietrze. Stałem długo przy oknie o kraty oparty, świeże powietrze odurzyło mię i smutno mi. Wspomnienia, tęsknota i czuję niewolę — tu w Warszawie samej mię więżą, tu ich cytadela i panują z niej. Jakiś kałmuk, żołnierz, chodzi z karabinem, pilnuje i przygląda mi się bacznie. Niedaleko gdzieś lokomotywa gwiżdże, pociąg pędzi — ludzie wolni jadą — wiele ich, wiele, nas tutaj garść tylko. I otucha wraca, chociaż smutno mi samemu teraz tutaj w celi, w tym domu.

29 lipca

Dziś we wszystkich celach zamknięto okna i gwoździami na zawsze mocno poprzybijano. Teraz znów cela jak grób się zamknęła i nie widać ani nieba, ani drzew, ani jaskółek. Nawet świeże powietrze nam zabrano. Zamknięto podobno dlatego, że więźniowie korespondowali pomiędzy sobą przez okna, spuszczając listy na sznurku. Podobno przybył znowu nowy „zawiadowca" (niedawno była już zmiana) i nie chciał przyjąć pawilonu z oknami otwartymi. Wczoraj pozwolono otwierać, dziś gwoździami pozabijano. U nas na korytarzu przez te kilka dni przybyło 4-ch nowych, współlokatorkę sąsiadki mojej zabrano do Radomia, a na jej miejsce przyprowadzono nową z Piotrkowa. Dziś ciężko. Niejeden myśli o proteście, o walce i może wyniknie jeszcze awantura, chociaż już nic nie pomoże, okna będą pozabijane.

16 sierpnia

To, co najbardziej tu przygniata, z czym nie mogą się więźniowie pogodzić — to tajemniczość tego domu, życia w nim — rygor, który ma na celu, aby każdy tylko wiedział o sobie i to nie wszystko, lecz jak najmniej. I więźniowie namiętnie walczą o zdarcie z tego domu zasłony tajemniczości: stąd bezustanne pisanie „grypsów", wyszukiwanie najrozmaitszych sposobów, by „gryps" doszedł, kaszlanie w korytarzu, nucenie lub śpiewanie w celach, gwizdanie. Wytworzył się cały system sygnałów. Dla „grypsów" wynajdują miejsca wciąż nowe, gdy stare się zasypują. Niektórzy doszli do artystycznej wprawy i pomysłowości

w sposobach porozumiewania się, oddali się temu całą duszą i tym tylko żyją. Tych przenoszą z celi do celi, starają się umitygować, lecz oni zawsze służą „dobrej sprawie" i nic nie może ostudzić ich zapału. Gdy inaczej nie można, ze spaceru w okna innych dają znaki, lub z „ubornoj" spacerującemu. Żandarmi nie mogą sobie dać rady z nimi i wreszcie machają ręką, czekając, aż ich stąd zabiorą. Oni wiedzą o wszystkim, często tam, gdzie brak wiadomości — fantazją uzupełniają całość. Stąd wieści często nieprawdziwe, z powietrza wzięte lub z palca przez kogoś wyssane. Lecz jest i odwrotna strona.

Doszła do nas wieść, że ochrana przysłała tu sześciu szpiclów, że wśród uwięzionych są prowokatorzy. Zaczęto więc ich tropić, nieraz złapano rzeczywiście, nieraz rzucano podejrzenie na ludzi może niewinnych, bez dowodów. Niedawno, gdy spacerował oficer z niedawno przybyłym, ktoś krzyknął przez okno w „ubornoj" — „to szpicel". Hanka mówiła mi o Ow. jako o zdeklarowanej zdrajczyni, a potem sama w jednej celi była z Ow. i jakby nic, będąc na spacerze, bawiła się z nią i dokazywała. Zresztą widocznie znowu pokłóciły się, bo siedzą już osobno, dziś zaś Hanka była za coś przez całą noc w karcerze. Wytwarza się atmosfera nieufności, która psuje wspólne pożycie, i każdy znowu zasklepia się w sobie, jeżeli może.

Szpiegów rzeczywiście jest tu sporo. Tu tak często zmieniają współtowarzyszy (mało kto pojedynczo siedzi, przeważnie we dwóch — są cele, gdzie po trzech i więcej siedzi razem), że widoczne się staje, w jakim celu to robią: by dać możność nieznanym szpiclom wybadać jak najwięcej. Przed kilku dniami widziałem przez okno spacerującego prowokatora, znanego już na pewno, z nowoprzybyłym z prowincji. Prowokator inteligent. Krzyknąłem przez okno: towarzyszu, ten drugi to łotr taki a taki. Na drugi dzień już widziałem ich osobno.

Obecnie zaczynam podejrzewać jednego człowieka. Znałem, będąc jeszcze na wolności, nazwisko jednej zdrajczyni i pewne szczegóły. Otóż dowiaduję się tu, że pewna niewiasta, która tu zachowuje się bardzo dzielnie, ma drugie takież nazwisko: dowiaduję się przypadkowo, że zna blisko pewne osoby, które i tamta blisko znała, że pewne rysy jej charakteru podobne są do tamtej — i rodzi się pomimo woli mej podejrzenie, które tłumię z początku, lecz które wciąż wzrasta. Rzecz jasna, że nie wyjawiłem nikomu tego domysłu, lecz staram się dowiedzieć na pewno.

11 października

Nocą z 8-go na 9-go został powieszony Montwiłł. 8-go zdjęto już z niego kajdany i przeniesiono go do celi skazańców. We wtorek, 6-go,

sądzili go za udział w napadzie, w okolicach Łap, na pociąg, który przewoził żołnierzy wołyńskiego pułku. Nie żywił żadnych złudzeń i 7-go, gdy byliśmy na spacerze, wszedł na okno i pożegnał się z nami. Powiesili go o 1-szej w nocy. Kat Jegorka, jak zwykle, otrzymał za to 50 rubli. Ostatnie słowa Montwiłła na szafocie były: „Niech żyje niepodległa Polska!"

Nocą z 7-go na 8-go stracono jakiegoś staruszka z celi nr 60. I po tych nocach, gdy dokonały się takie straszne przestępstwa, nic się tu nie zmieniło: jak przedtem jasne, jesienne dni, żołnierze, żandarmi, ustalone ich zmiany, spacery. Tylko w celach robi się coraz ciszej, nie słychać śpiewu, wielu oczekuje swojej kolejki.

12 listopada

Trzy dni (7, 8 i 9 bm.) trwała sprawa moja i towarzyszy, trzy dni miałem wielką rozrywkę: Sądziła Izba Sądowa, w dorożce zawożono mnie stąd, w kajdanach na rękach. Byłem podniecony i uradowany, że widzę ruch na ulicach, twarze wolnych ludzi, szyldy i ogłoszenia sklepów, tramwaje elektryczne. Potem spotkanie z towarzyszami i parę twarzy znajomych. Sala posiedzeń sądowych o dużych oknach, akcesoria sądu, wreszcie sam sąd, złożony z 7 osób, prokurator, eksperci, pop i ksiądz, świadkowie, obrońcy, bliscy krewni. Nastąpiła przysięga świadków, ekspertów i tłumacza, zeznania świadków, wreszcie oskarżenie prokuratora, który zażądał najwyższej kary z drugiej części § 126 oświadczając, że nie dla poprawienia nas się karze lecz dla usunięcia, potem mowa Rotsztadta, który sam się bronił, i obrońców. Wreszcie po przeszło godzinnej naradzie sądu odczytanie wyroku. Skazano nas: mnie na osiedlenie, Rotsztadta i jeszcze jednego na 4 lata katorgi, a czwartego na rok twierdzy. Skazano nas jednak z § 126 części 2, pomimo iż zostało udowodnione, że partia nasza nie ma składów broni ani materiałów wybuchowych, pomimo że nie było dostatecznych dowodów prawnych należenia naszego do partii. Rotsztadtowi już przedtem w maju Izba w Lublinie dała 6 lat katorgi. Osądzili nas na podstawie swego „sumienia", a „sumienie" to okazało się nie mniej czułym na wymagania rządu, niźli „sumienie" sędziów wojennych. Mnie jednemu dano osiedlenie, zapewne dlatego tylko, że z drugiej sprawy, o której wiedzieli, będą mogli już dać katorgę. Podobno żandarmi wytaczają mi już i trzecią sprawę. Teraz w Izbie wszystkie sprawy socjaldemokratów będą sądzone z § 102.

Na sądzie samym nie myślałem wcale nad tym, że to nas sądzą i skarzą na długie lata, nie myślałem, chociaż nie łudziłem się co do wyroku. Patrzyłem na sędziów, na prokuratora, na wszystkich w sali obecnych, na ściany i dekoracje z zajęciem, z wielkim zadowoleniem, że widzę świeże barwy i kolory, różne inne twarze, byłem jakby na jakiejś uroczystości, nie smutnej i bez grozy, która mnie nie dotyczyła wcale. Oczy moje miały świeży pokarm i cieszyłem się i byłem cały w oczach — chciałem wszystkim coś dobrego powiedzieć. Tylko przez chwilę czułem się inaczej, jakby kogoś miano pogrzebać, gdy wprowadzono nas do sali dla wysłuchania wyroku, gdy otoczyło nas nagle 15 — 20 żandarmów i szable ich, wyjmowane z pochew, mignęły w powietrzu przed nami. Lecz nastrój ten przeszedł, gdy przewodniczący zaczął czytać wyrok: „Po ukazu jewo impieratorskawo wieliczestwa itd."

Dziś znowu już jestem sam w swojej celi. Nie łudzę się, że będę miał katorgę. Czy wytrwam? Gdy zaczynam myśleć, że tyle, tyle dni będę musiał przebyć w murach, dzień po dniu, godzina po godzinie, zapewne tu, w X Pawilonie — lęk mnie ogarnia i wyrywa się krzyk: „nie mogę!" A jednak będę mógł, będę musiał móc, jak tylu innych może, jak tylu innych już mogło znieść daleko, daleko gorsze katusze. Myśl nie może pojąć, jak to możliwe, wie tylko, że możliwe i bunt ustępuje, przychodzi rezygnacja i duma — móc wytrwać. Gorąca żądza życia chowa się w głąb i na powierzchni spokój cmentarza. A gdy sił nie starczy, wtedy przyjdzie śmierć, która uwolni od poczucia niemocy i rozwiąże wszystko. Więc spokojny jestem.

15 grudnia

Przed 4-ma dniami odebrano mnie i mojemu towarzyszowi, z którym siedzę, wszystkie materiały piśmienne. Podczas spaceru naszego zrobiono szczegółową rewizję; wróciliśmy właśnie w chwili, gdy wachmistrz grzebał się na podłodze w rzeczach naszych i zły, czerwony ze wstydu, obruszył się na żandarma, że nas za wcześnie przyprowadził ze spaceru. Zawiadowca chciał też wejść do celi, lecz zobaczywszy nas zawrócił pośpiesznie i uciekł. Wezwaliśmy go przez żandarma, by przyszedł, lecz dotychczas nie raczył przybyć i nie wiemy, z jakiego powodu spadła na nas ta kara. Przed dwoma miesiącami wsypał się jakiś mój list na wolności — i wtedy zawiadowca mówił mi, że odbierze materiały piśmienne, jeżeli drugi list się wsypie. Przez ten czas nie wysyłałem nic na wolność, a wiem, że ta rewizja była z mojego powodu, a nie mego współtowarzysza. Wczoraj był dzień pisania listów — kazano pisać w obecności fijoła*), byśmy nie odleli sobie atramentu.

*) T.j. żandarma — Red.

31 grudnia

Dziś ostatni dzień roku. Po raz piąty już w więzieniu spotykam Rok Nowy (1898, 1901, 1902, 1907, 1909. Po raz pierwszy 11 lat temu). W więzieniu dojrzałem — w męce, w samotności i tęsknocie za światem i życiem. A jednak zwątpienie o „sprawie" nigdy nie zajrzało mi jeszcze w oczy — i teraz, w czasie gdy pogrzebano na długie lata może wszystkie niedawne nadzieje w potokach krwi, gdy przygwożdżono je do słupów szubienicznych, gdy mnogie tysiące bojowników wolności zamknięto do lochów lub rzucono w zaspy śnieżne Syberii — i teraz dumny jestem. Widzę te masy ogromne, które już się poruszyły, podważyły stare gmachy, te masy, w których łonie przygotowują się nowe siły do nowych walk, dumny jestem, że jestem z nimi, że je widzę, czuję, rozumiem — i że sam przecierpiałem wiele razem z nimi. Tu, w więzieniu jest źle, nieraz bywa strasznie. A jednak... Gdybym na nowo miał rozpocząć życie, rozpocząłbym tak samo: nie jest to nakaz obowiązku, lecz mus organiczny. Więzienie tego tylko dokonało, że sprawa stała się dla mnie, czym dziecko dla matki: czymś uchwytnym, realnym jak dziecko dla matki — krwią i ciałem własnym pod sercem noszonym, dzieckiem, które nigdy zdradzić nie może. Więzienie odebrało mi wiele, strasznie wiele, bo nie tylko realne warunki życia, bez których człowiek staje się nieszczęśliwy wśród najnieszczęśliwszych, lecz i samą zdolność korzystania z tych warunków, dalej zdolność płodnej pracy umysłowej, bo tyle lat więzienia, najczęściej w samotnych celach, nie mogło przejść bezkarnie. Lecz gdy w świadomości mojej, w duszy waży się to, co mi zabrało więzienie, i to, co dało — choć nie mogę odpowiedzieć, co przeważa obiektywnie dla badania postronnego — wiem przecie, że nie przeklinam ani losu mego, ani długich lat mego więzienia, bo ono rozbije to wielkie więzienie, które się znajduje poza tym murami. I to nie jest spekulacja myśli, to nie jest wyrachowanie. Jest to rezultat niepohamowanej żądzy wolności i życia szerokiego, tęsknoty za pięknem i sprawiedliwością. Tam teraz towarzysze piją za nasze zdrowie i ja tu w celi samotnej o nich myślę teraz — niech żyją i kują broń i będą godni sprawy swojej.

23 kwietnia 1909 r.

Wiosna. U nas w celi jasno — dużo słońca. Ciepło. Na spacerze powietrze miękkie — pieści jak ręka ukochanej. Na kasztanach i krzakach bzu pączki nabrzmiały i już się rozwinęły w malutkie liście zielo-

ne, uśmiechające się do słońca. Trawa na podwórzu wyciągnęła się do słońca i cicha, wchłania powietrze i promienie, wskrzeszające do życia. Cicho.... Nie dla nas wiosna. My w więzieniu. W celi drzwi wciąż zamknięte; za nimi i za oknem żołnierze uzbrojeni ani na chwilę nie opuszczają swych posterunków — i jak przedtem co dwie godziny słychać, jak zmieniają się i szczęk karabinów i ich słowa: „pod sdaczu sostoit post nr pierwyj*)...“ Jak przedtem żandarmi nam drzwi otwierają i na spacer prowadzą, jak przedtem słychać brzęk kajdan i trzaskanie otwieranych i zamykanych drzwi. Za oknem od samego rana przechodzą oddziały wojska, cały dzień odzywają się ich śpiewy, czasami słychać muzykę wojskową.

11 lipca.

Znowu dochodzą wieści o wyrokach śmierci — 11-tu lubliniaków. Dziś wieczorem w sprawie włocławskiej, która trwała 10 dni, zapewne znowu zapadło kilkanaście. Z 11 wyroków w sprawie lubelskiej zatwierdzono 5. Końca nie ma i nie widać jeszcze. My już przyzwyczailiśmy się do tych wiadomości. I żyjemy dalej. Myśl nie jest w stanie objąć grozy całej, odczuwa niepokój, tylko jakiś cień pada na duszę — i obojętność na wszystko coraz głębiej duszę ogarnia. Żyje się. Bo nie wyczerpały się siły fizyczne. I wstręt się rodzi do siebie za to życie.

8 sierpnia

Trzy miesiące temu (8 maja) zapadł ostateczny wyrok co do mnie w Izbie. 9 czerwca wysłano wyrok do cara na zatwierdzenie i dopiero w tych dniach wyrok wrócił z Petersburga. Być może za miesiąc wyślą mnie dopiero. W każdym razie wkrótce pożegnam X-ty. 16 miesięcy upłynęło mi tutaj — i teraz dziwnym mi się wydaje, że muszę stąd wyjechać, właściwie, że mnie stąd zabiorą. Z tego domu okropnego, smutnego. Syberia, dokąd mnie wywiozą, wydaje się myśli mojej jak kraina wolności, jak bajka ze snu, marzenie pożądane, lecz zarazem nasuwające pewne nieokreślone obawy. Opuścić ten nasz pałac — ja wyjadę, a to życie okropne dalej w nim snuć się będzie. Dziwne i takie dla mnie niezrozumiałe. I może nie okropność ponurego pałacu przykuwa doń; może to uczucie w stosunku do towarzyszy, do przyjaciół, do sąsiadów nieznanych — obcych, a tak bliskich. Tu odczuliśmy i zrozumieliśmy, czym jest człowiek dla człowieka jako jego konieczna potrzeba. I jeśli

*) „Przekazuje się posterunek numer 1“. — Red.

tu tęsknimy za kwiatami, tu nauczyliśmy się ludzi tak samo jak kwiaty kochać. Tu, gdzie nie ma rozpaczliwej walki o kawał chleba, tu gdzie na powierzchnię wychodzi to, co tam ukryte być musiało w samej głębi duszy ludzkiej. I dlatego kochamy miejsce kaźni naszej, bo to, co nas tu przyprowadziło, staje się widocznym jak walka również o szczęście nasze osobiste, o wyzwolenie się z narzuconej nam przemocy i kajdan duszy.

U C I E C Z K A*)

Północ wybiła na wieży cerkiewnej; dwaj wygnańcy światło zgasili w swej izbie i przez okno wyleźli ukradkiem na podwórze, by nie zbudzić gospodarzy. Daleką i niebezpieczną mieli podróż przed sobą; pożegnać mieli na zawsze te miejsca piękne, lecz puste, tchnące śmiercią, obczyzną, niewolą. Jak zbóje w nocy skradali się koło chat, rozglądając się bacznie, czy nie ma kogo, czy nie czyha kto na nich. Cicho było, wieś spała. Od czasu do czasu tylko stróże nocni znaki sobie dawali, stukając w kołatkę. Wreszcie przyszli nad rzekę, cofnęli się: tam rybak rozstawiał swe sieci, nie mogli więc wsiąść do czółna, musieli ukryć się, by nie zauważono, że w ciszy nocnej wygnańcy coś knują.

Rybak wrócił niebawem do chaty. Znaleźli więc czółno i usiedli cicho, cichuteńko, czując w sobie siłę i wiarę, że ujdą stąd. Żal tylko ogromny ich ścinał, gdy wspomnieli, że w tejże wsi ich bracia się męczą i będą jeszcze się męczyli, tęsknili i wyglądali wieści z pola walki, dokąd oni teraz podążają, pomimo zakazów carskich i pilnowania na miejscu przez szpiclów specjalnych, urzędowo zwanych „dozorcami politycznych zesłańców". Uczucie to jednak trwało moment tylko; na drugi brzeg Leny szerokiej i bystrej musieli przepłynąć tak cicho, by szmeru nawet żadnego nie było. Oddech zaparło, serce ścisnęło się radośnie — już jadą, wieś już oddala się szybko, aż wreszcie zniknęła w ciemnościach. Wówczas radosny okrzyk wyrwał się z ich piersi, zmęczonych przeszło dwuletnim uwięzieniem. Chcieli uściskać się, głośno krzyczeć o swej radości, by świat cały się dowiedział, że oto będąc wygnańcami przed pięciu minutami, przestali nimi już być, poczuli się prawdziwie wolnymi, bo

*) Jest to opis ucieczki Dzierżyńskiego wraz z drugim zesłańcem Sładkopiewcewem z Wiercholeńska w czerwcu 1902 r. (zamieszczony w nr. 1 „Czerwonego Sztandaru", organu SDKPiL, w listopadzie 1902 r.).

zrzucili z siebie kajdany i nie siedzą dobrowolnie na miejscu wygnania tylko dlatego, że car im kazał tam siedzieć.

Żwawo do pracy się wzięli. Do 9-ej rano musieli przebyć przestrzeń piętnastomilową. Na zmianę wiosłowali. Prąd rzeki był bystry, więc lotem ptaka sunęło czółno po gładkiej, lecz wartkiej toni rzeki, otoczonej górami, łąkami i lasem. W nocy przy księżycu wszystko to wyglądało fantastycznie i tajemniczo. Gdzieniegdzie nad brzegiem ogniska się paliły, odbijając się w wodzie. Unikali tych brzegów wygnańcy, w cieniu starali się jechać, spoglądając w stronę ogniska i śmiejąc, i ciesząc się w duszy, że nikt, nikt nie wie, że trzeba „łapać".

Lecz radość nadmierna i uczucie spokoju miały przejść wkrótce: usłyszeli przed sobą szum jakiś, jak od wodospadu, przy ciszy nocnej szum rozległ się daleko, odbijając się od gór. Słychać było, że tam pomrukuje jakiś olbrzym, rozpoznać jednak nie było sposobu, czy trzeba z nim walczyć i jak. Zbiegów ogarniać zaczął niepokój, nie znali rzeki, na moment wstrzymali się w biegu i prędzej do brzegu skierowali swą łódź, by w czas zapobiec niebezpieczeństwu. Szum wciąż potężniał, aż wreszcie w łoskot przeszedł; rozpoznać już można było, że dwa żywioły walkę staczają. Wynurzyła się wyspa ogromna, a z lewej jej strony wznosiły się nad rzeką skały i z nimi fale toczyły tak głośną walkę.

Minęli to niebezpieczeństwo, skierowali się w prawo, odetchnęli swobodnie; lecz wyspa kończy się i znowu łoskot i prąd łódkę chciał rzucić przez skały na dół. Tu stał młyn; rzeku ku wyspie groblą była przegrodzona, a woda pędziła z szumem przez groblę w dół. Zatrzymali się w porę u brzegu. I co tu robić? Przed nimi młyn, grobla skalista i przepaść, z lewa wyspa ogromna z brzegiem spadzistym, tam w tyle skały. W młynie widocznie spali, psów na szczęście nie było, konie zarżały tylko niespokojnie i galopem od brzegu odbiegły. Jeden ze zbiegów na zwiady poszedł: być może uda się po cichu przeciągnąć łódkę brzegiem przez młyn; drugi w łódce pozostał. Zwiady nic nie pomogły, wracać trzeba przeciwko prądowi, zapewne tam pośród skał było przejście, noc teraz — lecz nie ma rady, trzeba szukać; podjechali do wyspy i wzdłuż jej zawrócili. Lecz w nocy, przy tak szalonym pędzie wody nie można na ryzyko przejścia szukać, tym bardziej, że księżyc się już schował, zaczęło świtać i mgła zaczęła wznosić się ku górze nad rzeką. Po długich trudach nareszcie udało im się wśród krzaków łódkę przez wyspę przeciągnąć. Dwadzieścia razy chwytali mokrą łódkę, wytężali wszystkie swe siły, by o dwa do trzech kroków przesunąć ją, aż wreszcie wyczerpani, omal bez sił, zepchnęli łódkę na drugą stronę, usiedli i czas jakiś tak płynęli odpoczywając. Chłód począł dokuczać nad ranem, wło-

żyli więc palta zimowe, ciesząc się, że i tę trudność przezwyciężyli. Rozedniało wkrótce prawie zupełnie, prąd unosił ich wciąż dalej i dalej. Milczeli, pracując usilnie wiosłami, otoczeni zewsząd mgłą szarą, gęstą, ciemną. Nie widzieli już nic wokoło, mały tylko kawałek wody koło łódki, a reszta świata była odgrodzona od nich tą mgłą. Jechali w bezbrzeżnej przestrzeni, nie czując nawet, jak szybko płynie ich łódź, zziębnięci pomimo pracy; ani brzegów nie widać, ani nieba, ani rzeki — czasami tylko podmuch wiatru zwieje w jedną stronę tę mgłę i wówczas widać na moment i niebo jasne, i las, i góry.

Już szósta godzina, a mgła nie ustaje, raptem — o rety! Coś staje się okropnego; trzask, krzyk i już po wszystkim... Zginęli! Nie, bez walki zbiegowie nie oddadzą swego życia... To znów wyspa była i drzewo nadbrzeżne rozpostarło nad wodą swoje konary: nie zauważyli tego zbiegowie, łódka wpadła na drzewo z całym impetem i zbieg wiosłujący krzyknąć nie zdążył, a był już w wodzie. Uchwycił się jednak instynktownie za gałąź, sterczącą nad wodą, i wypłynął, lecz palto watowane, na wskroś przemokłe, ciążyło mu bardzo, a gałąź słaba zaczęła się łamać; uchwycił za inną, lecz i ta słaba była i nie mógł się sam wydostać, bo łódki już nie było. Drugi zbieg jednak zdążył na pień drzewa skoczyć zawczasu i pomógł wreszcie towarzyszowi wydostać się z wody. Przykre to chwile były; na wyspie pustej, rozbitki, bez wszystkiego, niedaleko od miejsca wygnania, poczuli się znowu więźniami! Lecz nie, zbieg się nie upokorzy. Spojrzeli po sobie i zrozumieli, że obydwaj myśl tę jedną mieli: śmierć lub swoboda, powrotu już nie ma; walka do śmierci!

Lecz co mają począć? Tam za rzeką jest droga i ludzie jeżdżą, słychać ich głosy i turkot wozów, wkrótce nawet zobaczyć ich można będzie. Mgła się wzbija ku górze i niebo całe pokrywa się obłoczkami drobnymi. Ci ludzie mogą być ze wsi tej samej, mogą poznać... „Tratwę zrobimy, przejedziemy przez rzekę, a potem pieszo pójdziemy, łódkę na wsi ukradniemy i znowu pojedziemy". — Lecz to było tylko marzenie! Jak tu tratwę zrobić, czym? Nie ma więc innej rady — trzeba wołać o pomoc, a jeżeli aresztować zechcą... ha, to są góry i tajga w pobliżu...

Umówili się więc, jak się mają tłumaczyć, i jeden z nich, co nie był zmókł, stanął na czatach, wypatrując, czy ktoś nie przejeżdża, a drugi, skąpany w rzece, rozłożył ognisko, rozebrał się i dawajże tańczyć naokoło ogniska, by się ogrzać i osuszyć. Osuszył się wreszcie, aż tu chłopi ze wsi pobliskiej nadjechali łodzią do wyspy. Było ich kilku. U jednego z nich blacha ze znakiem carskim na piersiach świeciła. Przewieźli rozbitków na brzeg, a ci im zaraz dali 5 rubli. Od razu szacunku

nabyli dla zbiegów, patrzących ponuro na rzekę. „Tu nasze pieniądze i rzeczy potonęły, pozostały nam tylko drobne pieniądze, 60 rb., a reszta, kilkaset rubli, tam na dnie leży! Jak my dalej pójdziemy? Co robić, co robić!“ — „Uspokójcie, się, jakoś to będzie“ — zaczęli ich chłopi uspokajać i bez żadnego już uprzedzenia zapytali się ich, skąd jadą i dokąd. Czuć było współczucie (za 5 rubli) i gotowość niesienia pomocy (oczywiście w nadziei grubego zarobku). Zbiegowie nie od razu odpowiedzieli, przechadzali się zasępieni. — „Czy prędko konie będą?“ — „A, zaraz!“ — „Ja syn kupca z miasta N..., przemówił jeden z nich wreszcie, a to „prykaszczyk“ *). Jechaliśmy do Żygałowa, by wsiąść tam na statek i jechać do Jakucka po kość mamutową, aż tu...“ — „Nie troszczcie się tak bardzo“ — zaczęli chłopi znów uspokajać — „dobrze, że Bóg was cało zachował“ (tu kupcy pobożnie się przeżegnali), „my was końmi zawieziem do Z., a tam możecie do domu wysłać telegram po pieniądze“.

— „A! to znakomita myśl“ — przemówili obaj i umilkli; natężyli bowiem swą myśl, jak się wyplątać z tego; zaczęli znów chodzić zadumani; już nie zwracali uwagi, co chłopi mówią.

Konie nadeszły, pożegnali się chłopi z rozbitkami. A „kupcy“ wsiedli szczęśliwie do bryczki i błogo się uśmiechali do siebie, gdy furman na nich nie patrzał. Bo i szczęście wielkie spotkało ich: pomimo wszystkiego w tę samą stronę jadą, dokąd zamierzali, zamiast łodzi końmi ich wiozą.

Dziesięć wiorst tak jechali do sioła, spotkali ich chłopi zebrani — wieść o rozbitkach ich wyprzedziła — i zaraz im pisarz gminny doniósł, że część rzeczy wyłowiono tu koło wsi, a oni muszą tu kilka dni siedzieć, jeżeli chcą, by i pieniądze ich odnaleziono. Chciwość chłopów atoli uratowała rozbitków; zaczęli dowodzić, że teraz, gdy woda brudna, bystra, niesposób znaleźć: niech kupcy zostawią swój adres, niech nawet jednemu z chłopów dadzą plenipotencję do poszukiwań. Chłopi znajdą i odeślą wszystko w całości, a sami niech telegrafują po pieniądze do domu. Kupcy ucieszyli się tą propozycją, napisali plenipotencję, za wyłowione rzeczy dali 3 rb. Lecz trzeba było się jeszcze wykręcić od telegramu. „Wy wiecie— rozpoczął kupiec — że w naszym stanie z pieniędzmi ostrożnie się obchodzą. Czy ojciec uwierzy naszemu nieszczęściu? Powie: przełajdaczyli, w karty przegrali, niech robią co chcą, ja im nie wyślę! A matka, matka nieszczęsna, co się z nią biedną stanie, gdy się dowie o naszym rozbiciu!“ I kupiec rozczulony przeżegnał się

*) Subiekt, pomocnik handlowy. — Red.

z iście prawosławnym namaszczeniem, „Hospodi pomiłuj" — westchnął głęboko, a wraz z nim i wielu z tłumu.

Nie, nie ma innej rady: kupcy zaraz muszą jechać do domu i to nie po szosie, wzdłuż linii telegraficznej, lecz drogą uboczną, bo krótszą, do kolei w stronę miasta N..., skąd kupcy pochodzą.

Zaprowadzono więc ich do izby. Samowar szumi na stole, gospodyni swe „szańki" wykłada na stół, izba pełna bab i chłopów szepczących i opowiadających sobie, jak to się stało; nie chcą się zbytnio uprzykrzać kupcom zamyślonym, popijającym w swoim frasunku milczkiem herbatę. Zapytani coś, pomrukują tylko kupcy i ciężko wzdychają. Jeden chłop wreszcie nabiera odwagi i powiada, że ma 5 funtów kości, prosi kupców, by kupili, że tanio sprzeda. Oj durnie, durnie wy chłopi! Czyż kupcy bywają tak chudzi, jak ci, co siedzą przed wami? Oj, durnie wy, toż nawet się nie domyślacie, że to tacy, których się łapie i wiąże!

Odjechali w końcu kupcy obiecując, że za tydzień lub dwa wrócą tu znowu z pieniędzmi i kupią tę kość mamutową. Jechali tak dniem i nocą bez przerwy przez tajgę, las pierwotny, olbrzymi, a furmani im legendy opowiadali o zbójcach i włóczęgach, mordach, grabieżach w tej tajdze, o zbiegłych i ukrywających się tu katorżnikach i zesłańcach, o polowaniu na tych zbiegów. I wraz z tymi opowieściami tajga ciemna, tajemnicza, szumiąca wiecznie, poczęła żyć i wynurzały się z gęstwiny cienie zabitych i niepochowanych, cienie umierających z głodu i konających z przekleństwem, że matka ich na świat wydała; cienie zbłąkanych, co łbem o pnie drzew tłuką w beznadziejnej rozpaczy. To znów wynurza się cień zbója, co czyha przy drodze z lufą, wymierzoną na kupców, a tam znów katorżnik, ścigany jak zwierz dziki, pędzi co tchu, pod konary się chowa, lecz kula już go dosięga, i pada, krwią brocząc...

A „kupcy" wciąż jadą i jadą zamyśleni nad dziwnym losem człowieka i zapatrzeni w tę tajgę olbrzymią, żywą. Niedawno sami więźniowie, otoczeni żołdactwem, strzeżeni pilnie, pędzeni tysiące wiorst, hen precz z ojczyzny na krańce świata, do Azji Północnej, a teraz już wolni na powrót wracają wśród tajgi! Na niebo usiane gwiazdami spoglądać mogą i ono się do nich uśmiecha, wróżąc powodzenie.

A tajga wciąż szumi i szumi...

Furmani i konie zmieniali się co 6—10 godzin; zbiegowie szybko posuwali się naprzód, wciąż bliżej do celu; legenda cała tworzyła się o rozbitkach, tuż przy nich, bo każdy z furmanów następnemu na wsi od siebie coś dodawał, a „kupcy" zasmuceni wzdychali, gdy zaś nikt w twarz im nie patrzał, wesoło się uśmiechali. Bo też przyznać trzeba, że szczęście diabelnie im dopisuje. Już wkrótce tajga miała się skończyć, 20

wiorst do wsi pozostało, konie syberyjskie wytrwale wciąż biegną, bez przerwy już 80 wiorst. Wtem pędzi im na spotkanie kibitka, słychać z dala już dzwonek, to trójką jadą, to ktoś ze sług carskich! Kupcom raptownie spać się zachciało, kładą się więc i paltem się przykrywają. — To „isprawnik" (naczelnik powiatowy) z naczelnikiem włościańskim pojechali drogę oglądać; przejechali, lecz już kupcy leżą, skarżąc się tylko, że w bryczce trudno zasnąć.

Noc się zbliżała, gdy z tajgi tej wyjechali, wieś tuż za tajgą, konie stajnię poczuły, a kupcy zaczęli się troszczyć, czy znajdą zaraz świeże konie. Aż tu widzą na drodze włościan z czapkami w ręce i starca siwego na kolanach. Widocznie przyjęli kupców za sługi carskie, lecz gdy za chwilę poznali omyłkę swoją, wnet się wszystko zmieniło. Upokorzyli się dla władzy, a ci żadnych epoletów i odznaczeń nie mają, co za jedni? Stój! Schwycili konie za uzdę i zatrzymali, bryczkę dokoła otoczyli. Byli pijani. Przepili pieniądze gminne wraz ze swoim „starostą" (sołtysem) i teraz chcieli przebaczenia prosić u władzy, od kary się wykręcić. Lecz to nie urzędnicy, a więc „kto wy? skąd? dokąd? po co?"

— „Precz rozbójnicy, jak śmiecie nas, kupców z miasta N... na drodze zatrzymywać. My wam, hołoto, pokażemy! Ustąpcie! Furmanie, jedź dalej, pędź batem won tę zgrają pijaną — zaczęli srogo krzyczeć kupcy, choć skóra na nich cierpła. Czyż już uprzedzono tych chłopów? Nie, to niemożliwe; a więc być może jest jeszcze ratunek! Tylko zimnej krwi, zbiegowie!" A furman zbladł, opuścił lejce i ani słowa przemówić nie mógł; nie mógł koni przez tłum popędzić. Zaś starosta pijany natarczywie czepiał się: „kto wy, skąd, dokąd, i po co?"

Rozpoczęła się wówczas batalia „na gębę". Kupcy mieli jeden paszport, pokazali wreszcie staroście, a jeden z nich wyjął papier i zaczął głośno skargę pisać do generał-gubernatora, że ich, dobrze znanych jemu ludzi, zatrzymują jako przestępców na drodze, napaście urządzają jego podwładni z blachami carskimi na piersiach, chcąc prawdopodobnie dostać na wódkę. Zwrócił się wreszcie do chłopów niektórych, by byli świadkami przeciw staroście. Zlękli się chłopkowie i nogi za pas wzięli, a starosta zaczyna przepraszać i zaprasza: „Pożałujtie w barskuju komnatu" (pokój dla panów), obiecując, że zaraz zarządzi, by konie gminne były podane, niech tylko kupcy się nie gniewają. — „A, w takim razie to rzecz inna!" — Kupcy przyjmują wspaniałomyślnie zaproszenie.

Lecz wkrótce czekała kupców znów niespodzianka, wkrótce „isprawnik" miał wrócić i tu się zatrzymać; może jeszcze ich zastać. Lecz przyszedł starosta i wyzwolił ich z biedy.

Na widok jego oburzyli się strasznie: „Ty, starosto, śmiałeś nas zatrzymać, nas o papiery pytać, jak zbójów? Nie darujemy ci tego! Napaść na drodze na kupców przejeżdżających! Nie, nie darujemy ci tego“ — w swej pańskiej godności rozgniewani i obrażeni kupcy nie zechcieli ani minuty przebywać pod jednym dachem z takim opryszkiem, pijanicą i „łykiem“, kazali swe rzeczy zanieść na wóz i pojechali szukać prywatnego mieszkania, by tam konie wynająć i zaraz dalej wyruszyć.

Ostatnia to była próba dla zbiegów, musieli rolę panów odegrać, a potem serdecznie się śmieli, że oni, oni raz w życiu byli panami! Wszak lud im to daruje i chełpliwości pańskiej za grzech nie poczyta?

Dalej szczęśliwie przez stepy buriatskie jechali i po paru dniach już byli w pociągu, który ich dowiózł, dokąd się rwali. Ucieczka cała do kraju trwała 17 dni, a w tamtą stronę wieźli ich zbiry cztery miesiące.

Feliks Dzierżyński

Z „Pamiętnika więźnia"

Jest ciemna noc i mroczny gmach
zapada w sen, lecz pełen trwogi
okrzyk obudzi w ludziach strach,
znienacka zerwą się na nogi
i zechcą biec, a wtedy dźwięk
kajdan przypomni o przemocy
i wówczas w sercach zadrży lęk
i czuwać będą przez pół nocy.

A Feliks nie śpi. Pisze dłoń
i słowa płyną szybko, wartko,
na chwilę przerwał, potarł skroń
i zapisaną złożył kartkę.
Po drugą sięgnął, podniósł wzrok —
za kratą jakiś ptak dygoce,
a gdy strażnika zagrzmiał krok
uleciał ptak i skrył się w nocy.

Strażnicy klną i wiodą spór,
a topór wali i miarowo
spod hebla leci suchy wiór
i szelest głośniej brzmi od słowa
i Feliks słucha, łowi dźwięk
i wie, co wieści i co znaczy,
i poprzez mury słyszy jęk
i poprzez mury — krzyk rozpaczy.

Co noc za oknem wiórów kłąb,
co noc prowadzą kogoś z celi,
a kiedy ranny przyjdzie ziąb
i pierwszy promień z chmur wystrzeli
pod murem Cytadeli grób
i wiatr porywa, miota wióry
i szubienica stoi, lub
szubieniec kilka wspiera mury.

I tylko wiatr unosi precz
ostatni krzyk i niesie, niesie...
Już zda się zamilkł, ucichł, lecz
znów dźwiga się, urasta, pnie się
i biegnie dalej, zda się tkwi
nad miastem, przemógł wszystkie moce
i zawieruchą znaczy dni
i krzykiem walki znaczy noce.

I budzi lud, dopada bram,
do fabryk runął i warsztatów
i Feliks wie, że nie jest sam —
nadejdzie kiedyś dzień zapłaty
i wolny stanie polski lud
(ktoś rygle szarpnął pełne zgrzytu)
i spojrzał w okno. W szybach lód
i blado błysnął promień świtu.

Stanisław Wygodzki

Towarzyszom

Każdy swoje dzieciństwo dźwiga,
każdemu łzę uronić się zdarza
„na młodość" —

głosy ożywają i twarze,
choć po głowę byś się zanurzył
w chmurze gradowej wydarzeń.

Tak Dzierżyński między salwą a salwą
październikowych bitew —
wspominał miasto, rzekę i malwy
i dom wśród jesionów na Litwie.

I Majakowski wiersze swe basem
recytując błękitnobluzym
marynarzom lub donbaskim
górnikom, czy chłopom z Riazania —
w oczach odblask miał słońca Gruzji.

Któż my? Tragarze epoki,
nowego piękna kolporterzy.
Nadchodzącej erze
każdy szept nasz, i ton wysoki.

Naszą pieśnią jak dynamitem
korytarze przebija górnik —
drogę przebijamy w nowe,
w komunizm.

Lecz łzę, która padła w wiersz mój
cicho jak w dzieżę,
łzę matki jak kryształ skrzepłą
szczęśliwszej przekażę erze.

Niejednemu dom spłonął
na historii zakręcie.
Nadaliśmy nazwy poległych
fabrykom,
garażom,
okrętom.

Oto dźwigi podnoszą się w portach,
nad miastem wschodzi słońce,
za górą węgla i złomu
miasto się budzi o świcie,
oto budowy przypływ,
witaj republiko —
życie!

Arnold Słucki

Pieśń o Rejsie

Załodze S. S. „Kolno", która zimą 1951 r. opancerzyła statek i — po czterodniowej walce z lodem — wypłynęła z zamarzłego portu norweskiego, ażeby przybyć na czas do Gdańska z ładunkiem rudy żelaznej.

Gdy mieli ruszyć, wicher fiordu
Zagrodził im z Norwegii drogę.
O świcie z lampą zgasła podróż.

Wypłynąć, kiedy statek utknie
W lodzie, co ściął zatokę portu —
Niełatwo. Łatwiej tkwić z ładunkiem
Przez miesiąc. Aż popuści obręcz.

Rudę żelazną statek wiózł.
Rudę. Wiedzieli z „Kolna" chłopcy.
Czekają na nich. Rzeźbił mróz
Na szybach kajut — dźwigów linie.
Oni opancerzali okręt:
Pancerny — natrze i wypłynie,
Lody przebije dziobem mocnym!

W rękach lina od szronu ciężka —
Jakaż radość, gdy się napręży!
Każda godzina zwłoki — klęska.

Narady chwila każda — epos
Człowieka, który teraz mieszka
Nad szumną Wisłą. Nad tą rzeką
Człowiek zogromniał bo zwyciężył.

Załoga „Kolna" na naradzie
Postanowiła: rejs na Gdańsk!
Nie można? Trzyma ciasna gardziel?

Nie można? Można! O załogo,
Na jakim chłodzie serce marznie
Ludzi, co idą wielką drogą!

A szumiał im norweski las.

Przeszli — drżał w ciszy lód brzękliwie —
Powłoki kilometrów dziesięć.
Szukali słabych miejsc w pokrywie.

Nad głową — długie gwoździe świateł
I maszt, co zjeżył sopli grzywę.
Tędy wyprowadzimy statek!

Po czterech dniach znaleźli przejście.

Mgławico piękna, gwiezdne mleko
Nad kołyszącą marszrut bryzą,
Prowadź ich ku ojczystym rzekom;

Gwiazdo styczniowa w zorzy chłodnej,
Przyświecaj marynarskim rękom
I pomóż im kotwicę podnieść!

Za portem popłynęli chyżo.

Był łomot w uszach; wiązań trzask
Na długo w pamięć ich się zarył,
I zbliżał się do burty Gdańsk.

Latarnia pozdrowiła morska,
W oddali fiord północny gasł
I śnili sternik, palacz, bosman
W rodzinnym mieście rynek stary.

Mknęli w hutniczych pieców łunie;
Statecznie i po gospodarsku
Wieźli piosenkę i ładunek.

Imieniem „Kolna" piec lub traktor
Nazwijmy, kiedy stali strumień
Przedłuża trasę ich niełatwą
Ku dniom, co wstają w jasnym blasku.

Artur Międzyrzecki

Wczoraj i dzisiaj

I

Kto dzisiaj tęskni
w strofce dziecięcej,
unika klęski
dorosłych zmęczeń.

Tęsknię do rzeki,
co z głuchym pluskiem
uderza w brzegi
i w uszy ludzkie.

Do jezior w ciszy,
które przepływa,
jak zwierz puszysty,
cumulus-grzywacz.

Tęsknię do rzeki,
co w żarnach miele
kamienne wieki
i zmarłą zieleń.

Tęsknię do rzeki,
co w złudnej głębi
pomieści błękit
i tłum gołębi.

Tęsknię do rzeki,
co w brzask lotniczy
świeci jak wielki
plan błyskawicy.

II

Kto wyrósł w trosce,
ten widzi ze mną,
jak sny o Polsce
dzisiaj się pełnią!

Tak — albo ściślej:
jak prości ludzie
otwarli życie
w pocie i trudzie.

Ach, matka Marii!
Widzę ją... Czyta!...
I z każdej kartki
ma milion pytań.

Cóż chcesz? Prochownie
w ludziach wybuchły.
I huczy ogień
w duszach ogłuchłych.

Byt dziś jest mocny
I zmienia wszystkich:
Najwyższych w młoty,
Najlepszych w iskry.

i śpiew przedszkoli.
Myśl nad kołyską
zmieni powoli:
Z nimi się wszystko

Wiersz dla znajomej dziewczynki

Oto w płomyki kwiatów
lecą pyłki owadów.

Oto jak strumyk trzmiela
z jękiem struny umiera.

Patrz! Wiatraczek motyla
w kwiat przysiada co chwila.

Patrz! Samodział pajęczy.
Ach! Już owad się męczy.

Patrz! Dzieciątko wychudłe
bada rączką puls w źródle.

Patrz tu! Patrz tu! Dziewczynko!
Ach, już na nic. Już znikło!

Chodźmy — jak pluszczą stale
polne, podróżne fale!

Zobacz! Chmurki - owieczki
płyną nurtem powietrznym!

Słyszysz lament cichutki
biednej, zbłąkanej mrówki?

Zobacz! Z ptaszków gromadą
piosenki na noc się kładą.

Patrz, jak śpieszą się dzisiaj!
Ach, już wieczór się zbliża...

Patrz! Już kruszynki mroku
sypią na wszystko wokół...

Edward Ciopa

MARIAN BRANDYS

WIOSENNY ZACIĄG

I

Wiosna 1950 roku zaczęła się wcześnie i pewnej nocy marcowej na budowę wtargnęła fala ciepłego, pachnącego wiatru. Wiatr przyniósł z sobą deszcz. Rzęsista ulewa przez wiele godzin szumiała w powietrzu i dudniła po dachach nowych budynków, zmieniając stopniowo sprężyste podkrakowskie „lessy" w olbrzymie, rozchlupotane trzęsawisko.

Następnego dnia robotnicy, pracujący po prawej stronie szosy, grzęźli po kolana w miękkim, żółtawym błocie. Wodoodporne obuwie, które wyfasowali tego ranka, chroniło wprawdzie nogi przed wilgocią, ale ślizgało się niebezpiecznie po gliniastej mazi. Ludzie często upadali. W wykopach na drugim odcinku mulista woda podmyła źle umocnione ściany. Na najważniejszych przejściach — pod osobistym nadzorem pełnomocnika partii i naczelnego inżyniera — ułożono skomplikowaną sięć kładek i mostków z desek. Pieszym ułatwiło to nieco poruszanie się w terenie — lecz maszynom na wiele się nie zdało. Komunikacja samochodowa między poszczególnymi odcinkami budowy utknęła całkowicie. Jedynie ciężkie ciągniki z największym trudem brnęły w zwałach błotnej marmolady. Ale i one ustawały często, „buksując" bezradnie kołami i nie mogąc ruszyć z miejsca, jak gdyby prawo tarcia przestało naraz obowiązywać w przyrodzie.

Tylko ludzie radzili sobie jakoś. Ślizgali się, padali, ale zaraz podnosili się znowu i dalej niestrudzenie dźwigali deski, pompowali wodę z wykopów, dobywali z błota unieruchomione ciągniki, budowali nowe mocniejsze podpórki i silniej zbite oszalowania. A wszystko to odbywało się w atmosferze śmiechu i żartów — bez zwykłych w takich razach przekleństw i złorzeczeń. Pod wpływem słońca i ciepła serca ludzkie odtajały i spłukały z siebie zimową zawziętość.

W kilka dni później nad budową przeciągnęły z donośnym klekotem pierwsze klucze powracających żurawi. Józek Rachoń — młody robotnik sezonowy, przezywany z powodu swych upodobań „gołębiarzem" — zapatrzył się tęsknie ze swego wykopu w ptasi ciąg i aż zagwizdał z przejęcia: „Cóż to za zmyślne juchy, te ptaszyska. Od razu zwąchały budowę. Popatrzcie tylko, jak krążą niespokojnie. I klekocą jakoś ina-

czej niż zawsze. Już one wiedzą, co tu się święci". Chociaż pracujący z Rachoniem wsiowi mądrale nie potwierdzili jakoś jego spostrzeżeń, „gołębiarska gadka" rozniosła się szeroko po całej budowie. Gdziekolwiek doszła, łowiono ją chętnym uchem. Robotnicy wszystkich odcinków ukrywając starannie dumę pod maską kpiącego uśmiechu powtarzali ją z upodobaniem: „Wielką my tam widać robotę zwojowali, jeżeli żurawie aż z nieba ją dostrzegły".

I te żurawie sprawiły, że ludzie poczęli się rozglądać wkoło nowymi oczami. Ogarnęło ich zdumienie, jak gdyby przebudzili się raptownie z głębokiego snu w zupełnie nieznanym otoczeniu. Ogrom zmian, jakie zaszły na budowie w ciągu kilku miesięcy przy udziale ich własnych rąk, uderzył ich nagle, przejął wzruszeniem i jakimś błogim lękiem.

Dopiero rok upłynął od dnia, w którym wydział techniczny przedsiębiorstwa „Nowa Huta" przysłał w te strony pierwszych pomiarowców dla wytyczenia nowoczesnej linii komunikacyjnej — a nowa droga tak już zdążyła wrosnąć w tutejszy krajobraz i w życie tutejszych ludzi, że z trudem przypominano sobie zamierzchłe czasy, kiedy przebiegał tędy jedynie stary, koślawy „trakt cesarski". Szeroki, prosty pas gładkiej, mocnej i odpornej na wszelkie zawieruchy nawierzchni betonowej spiął trwale nowe miasto z Krakowem.

W ciągu paru miesięcy nowa droga urosła do rangi jednej z najbardziej ożywionych arterii komunikacyjnych w Polsce. Dniem i nocą — bez przerwy przewalał się po niej łoskot ciężkich kół i dudnienie motorów. Głuchy śpiew drogi wieczorem kołysał robotników do snu i budził ich o świcie do nowego dnia pracy. Jak po rozdygotanej taśmie gigantycznego transportera spływały nią w nienasycone gardło budowy dostawy z całego kraju, mobilizowane przez strategię Wielkiego Planu. Każdego dnia droga donosiła budowie: drzewo i cegły, beton i żelazo, węgiel i konstrukcje stalowe, maszyny, meble, żywność, odzież i chętnych do pracy ludzi. Budowa pochłaniała wszystko i — nabrzmiewając żywotnymi sokami — rosła jak młody olbrzym. Rozrastała się wzwyż i wszerz.

Po lewej stronie drogi w regularnych czworobokach stanęły nowe domy. Pierwszą kolonię miasta oddano już całkowicie do użytku. Drugą wykańczano na gwałt. W dużych, schludnych blokach krytych wesołymi czerwonymi dachami urządzano hotele robotnicze. Mniejsze budynki oddano na użytek przeniesionych z Krakowa biur budowlanych i instytucji społecznych. Jeden z centralnie ułożonych domów przygotowywano na siedzibę Komitetu Powiatowego Partii. W pozostałych

mieściły się pierwsze mieszkania indywidualne, przydzielone najbardziej związanym z budową specjalistom i instruktorom.

Ale tej pierwszej dzielnicy miasta Nowa Huta obca była jeszcze miła zaciszność ustabilizowanych osiedli mieszkaniowych. Przypominała ona raczej zdobyte w boju okopy, z których przygotowywano się do dalszego natarcia.

W białych, widnych pokojach, wilgotnych od świeżej farby i niemal zupełnie pozbawionych mebli, zderzali się z sobą rozbiegani, rozgorączkowani inżynierowie i technicy, wrzała praca maszynistek, planistów i referentów gospodarczych. Trwały tu niemal bez przerwy namiętne narady wytwórcze. Omawiano projekty i przyjmowano meldunki z terenu, na stołach — często skleconych na prędce z prostych desek — kreślono plany domów i ustalano harmonogramy robót, kłócono się zaciekle z dostawcami, wydawano mnóstwo niezgodnych z sobą poleceń i urządzano sobie wzajemnie awantury z powodu niewykonania połowy z nich. Całej tej szarpiącej nerwy gorączce twórczej towarzyszył nieustający ani na chwilę wściekły klekot maszyn do pisania. Na parapetach okien przeraźliwie dzwoniły świeżo zainstalowane aparaty telefoniczne. Jakąż piękną muzyką brzmiał terkot tych pierwszych telefonów w uszach budowniczych Nowej Huty i jaką niewymowną udręką było korzystanie z nich w początkowym okresie. Pośpiesznie założone przewody ulegały ciągłym uszkodzeniom. Ludzie obsługujący centralę nie posiadali jeszcze w tej dziedzinie żadnego doświadczenia i wdrażali się dopiero w nową dla siebie specjalność. Nieraz na uzyskanie połączenia z niezbyt odległym punktem budowy tracono dwa razy więcej czasu, niż trzeba go było na dojście tam pieszo. Ale ostatecznie telefony działały i po splątanych przewodach biegły dyspozycje harmonizujące działalność wielokilometrowego frontu budowy.

Na przedpolach białych domów odpowiadała tym rozkazom praca. Tysiące łopat i kilofów — wsparte pomocą potężnych maszyn — budziły ziemię z zimowego uśpienia do nowych przeznaczeń. Na krańcach budowy wszczęto roboty przy stawianiu mostu na rzece Dubni i prostowaniu kolana wiślanego. Co pewien czas dobiegały stamtąd głuche stęknięcia wybuchów, a w niebo biły rude pióropusze dymu i kurzu.

Między dwiema koloniami domów przeprowadzono bocznicę kolejową. Któregoś dnia na szyny wjechał majestatyczny parowóz, ciągnąc ze sobą długi zestaw wagonów towarowych. Pilotowali go dwaj zdenerwowani kolejarze z czerwonymi chorągiewkami w rękach. W symfonię budowy włączył się nowy ton — ogłuszający gwizd uchodzącej pary i przeciągłe nawoływania konwojentów.

W bitwie o miasto uczestniczyło nawet... lotnictwo. Co pewien czas od strony Krakowa pojawiał się na niebie mały samolocik i zataczał kilka szerokich, niskich kół nad terenami budowy. Z samolotu fotografowano poszczególne obiekty i stan robót. To inżynierowie architekci z warszawskiego biura projektowego ZOR sprawdzali w terenie rezultaty swoich prac i zbierali materiały do dalszego projektowania.

Teren budowy w miarę rozkręcania się olbrzymiej machiny budowniczej ogarniał coraz większą część powiatu. Właścicielom gruntów, wywłaszczonych na rzecz Nowej Huty, rząd przyznawał prawo wyboru między odszkodowaniem pieniężnym a zamiennym gospodarstwem w innej części kraju. W większości wypadków chłopi wybierali pieniądze i za te pieniądze urządzali się od razu na działkach, przylegających do terenów Nowej Huty. Po czym z zasady zgłaszali się do pracy przy budowie.

Zgłoszenia ich przyjmowano i nieraz dochodziło do sytuacji paradoksalnych. Ci, którzy jeszcze przed rokiem starali się za wszelką cenę przeszkodzić rozpoczęciu budowy nowej drogi — obecnie pracowali przy budowie dalszych odcinków tej samej drogi, a że pracowali przeważnie na akord, więc swój interes życiowy wiązali z jej najszybszym i najlepszym wykończeniem. Takie było przedziwne oddziaływanie mechanizmu wielkiej budowy na interesy i losy ludzkie.

Niekiedy wywłaszczeni starali się pod rozmaitymi pozorami odwlec jak najdłużej moment opuszczenia starych zagród. Raz, w wyniku takiej opieszałości nastąpił wypadek, który tylko dzięki wyjątkowemu szczęściu zakończył się bez ofiar w ludziach. Pewnego wieczoru pijany maszynista wielkiego spychacza marki „Bucirus" — nie zauważywszy w ciemności chałupy, tkwiącej uparcie na placu budowy — zwalił się na nią całym ciężarem swej maszyny i zmiótł ją z powierzchni ziemi.

Kiedy sprawcę wypadku doprowadzono do kierownika ruchu — nie potrafił on usprawiedliwić swego czynu niczym poza pijacką czkawką i ponuro powtarzanymi słowami: „To ten „bucyrus"... To bez tego „bucyrusa..."

— Co „bucyrus"? Co „bucyrus"? — krzyczał doprowadzony do wściekłości maleńki kierownik ruchu, skacząc jak pchełka wokoło ogromnego chłopa. — Sami jesteście „bucyrus", wy... przeklęty „bucyrusie".

Od tego czasu zniekształcona nazwa ciężkiego spychacza stała się na budowie przezwiskiem dla wszelkiego rodzaju złych pracowników.

Niesolidnego maszynistę zwolniono z pracy, przestarzały spychacz wkrótce po tym odesłano do lamusa, właściciel rozwalonej chałupy urządził się w nowym domu, postawionym przez dyrekcję Nowej Huty —

a na budowie nadal co pewien czas rozbrzmiewały gniewne, bądź wesołe okrzyki: „Ty bucyrusie! Ach, ty przeklęty bucyrusie".

Dziwnym tym słowem zainteresował się nawet pewien historyk warszawski, zwiedzający przypadkowo Nową Hutę. Kiedy wyjaśniono mu pochodzenie wyrazu — uczony wpadł w zachwyt. „Przecież to jest żywa historia powstawania języka" — powiedział wzruszony. — „Za pięćdziesiąt lat niejeden etymolog miasta Nowa Huta może się biedzić nad tym słowem. Trzeba je koniecznie zapisać". — I wpisał bucyrusa do swego grubego notesu pod literą „b".

Tak rodziło się miasto. W wytężonej walce z czasem i z przestrzenią, z zimowym mrozem i wiosenną pluchą rosły domy i drogi, zmieniały się losy ludzkie, powstawały nowe słowa i dziergała się pierwsza, wątła nić tradycji.

II

W tych wczesnych dniach wiosny 1950 roku w Warszawie miał miejsce fakt, który zapoczątkował nową erę w dziejach podkrakowskiej budowy.

W Zarządzie Głównym Związku Młodzieży Polskiej wypracowano ostatecznie strukturę pierwszych rocznych Ochotniczych Brygad Zetempowskich i rzucono hasło masowego ochotniczego zaciągu młodzieży do pracy przy budowie socjalistycznego miasta.

Zew wielkiej budowy rozszedł się po całym kraju — od Odry do Bugu i od morza do Karpat — jak bojowe wici.

W drobnotowarowych wsiach zabitych deskami powiatów, w małych, sennych miasteczkach, nie objętych pierwszą fazą Planu Sześcioletniego — zawrzało. Chłopcy wiejscy pracujący u kułaków podnosili głowy i z szeroko otwartymi oczami słuchali opowiadań o budowie wielkiego miasta i wielkich fabryk, przy której każdy z nich w ciągu paru lat może wyrosnąć na człowieka. W chałupach średniackich, które nie potrafiły jeszcze wyzwolić się spod wpływów kułaków i reakcyjnego kleru, dochodziło na ten temat do burzliwych dyskusji i do ostrych starć między młodym a starym pokoleniem. Synowie drobnych rzemieślników z prowincji, nie widząc dla siebie przyszłości w warsztatach rodzicielskich, pakowali pośpiesznie tobołki i ruszali do biur werbowniczych.

Wróg klasowy czynił wszystko, aby ten wybuch zapału unicestwić. Młodych ochotników szczuto rozjuszoną, kąsającą plotką i nieuświadomionych rodziców mobilizowano przeciwko własnym synom. Ale nic już nie mogło powstrzymać wiosennej lawiny, która — raz wytrącona

z dotychczasowego bezruchu — łamała wszystkie przeszkody, stawiane przez wstecznictwo i ciemnotę.

Do lokali Powiatowych Zarządów ZMP i Powiatowych Komend Organizacji „Służba Polsce" zgłaszały się matki ochotników. Referenci werbunkowi chrypli od udzielania informacji, a palce ich drętwiały od spisywania personalii i życiorysów. Akcja werbunkowa stała się egzaminem sprawności organizacyjnej i uświadomienia politycznego wszystkich powiatowych aktywów zetempowskich. Jak zwykle bywa z egzaminami — zdawano dobrze, zdawano dostatecznie, a czasami zawalano go całkowicie.

Z powiatów, w których aktyw zetempowski rozumiał dobrze cele Planu Sześcioletniego i zdawał sobie sprawę z roli, jaką młodzież ma odegrać w Nowej Hucie, szli na budowę ludzie najlepsi, z góry opancerzeni przeciwko początkowym trudnościom i zorientowani w dalekosiężnych perspektywach. W innych powiatach werbownicy wybierali drogę najmniejszego oporu i wysyłali na budowę element najzupełniej przypadkowy i nieprzygotowany, aktywizując go sztucznie i na krótki czas podnietą fałszywych obietnic. W takich powiatach nie wdrażano ochotników w trudności „okresu rekruckiego" na wielkiej budowie, nie mówiono im o osiąganiu celów w szkole twardej pracy, lecz roztaczano przed ufnymi oczami nieprawdziwą, szkodliwą wizję gotowego już miasta wszelkiej pomyślności, obiecywano natychmiastową możność kształcenia się we wszystkich zawodach, mówiono o uniwersytetach, o instytucjach dentystycznych, o łatwych karierach.

Werbownicy pierwszego rodzaju oddali dobrą przysługę budowie i zwerbowanym przez siebie ochotnikom. Werbownicy drugiego rodzaju wyrządzili sprawie wielką szkodę, zatruwając setkom chłopców pierwszy okres pobytu w Nowej Hucie i wznosząc na ten czas między nimi a budową mur zawiedzionych nadziei i nieufności.

Ochotniczy zaciąg zetempowski spadł na niespodziewający się niczego Kraków wraz z pierwszym upałem wiosennym. W dniu 29 kwietnia tłumy podnieconych chłopców z walizkami i tobołkami w rękach — przybyłych pociągami ze wszystkich stron Polski — opanowały dworzec krakowski, wnosząc w jego spokojną zazwyczaj atmosferę gorączkowy nastrój pospolitego ruszenia.

Kotłuneria krakowska zrozumiała to po swojemu. Ktoś z gapiów dworcowych rzucił paniczne słowo: mobilizacja. Jakaś dobrze poinformowana paniusia sprostowała: — Wiozą chłopców do tych nowych obozów pracy pod Krakowem, zamorzą tam niebożątka. — W tłumie młodzieży, płynącym ku wyjściu, dosłyszano te uwagi i odkrzyknięto ze

śmiechem: — Was by posłać do obozów pracy. My jesteśmy zetempowcy, ochotnicy. Przyjechaliśmy budować Nową Hutę.

Tego dnia — pod drewnianą bramą z napisem „Miasto Nowa Huta", którą wzniesiono niedaleko miejsca, gdzie jeszcze przed rokiem panoszył się brzuchaty fort Pszorna, przeszło około trzech tysięcy młodych chłopców, wkraczając na nową drogę życia.

Młodzież zalała tereny budowy szeroką niespokojną falą. Wraz z pierwszą runią wiosenną, co pokryła pola przydrożne, na białych betonach dróg buchnęła bujna zieleń zetempowskich koszul. Chłopców prowadzono grupami do łaźni i fasowano im w magazynach nowe ubiory. Napływające ciągle przed bramę szare grupy cywilne krzyżowały się na drogach z grupami zielonymi, które przeszły już przez magazyny. Wśród zielonych koszul, kraśniejących czerwonymi krawatami, nowoprzybyli rozpoznawali współtowarzyszy niedawnej podróży lub znajomych z tych samych powiatów. Wywoływano radośnie rozmaitych Franków, Józków i Antków. Ale zielone koszule i czerwone krawaty powściągliwie przyjmowały te objawy serdeczności. Za drewnianą bramą triumfalną zielony strój zetempowski przydawał jakiejś nowej godności i powagi. Stawał się oznaką przynależności do załogi Nowej Huty.

Na krańcach terenów budowlanych rozpięto miasteczka zielonych namiotów. Samochodami ciężarowymi z Czyżyn zwożono do nich setki żelaznych i drewnianych łóżek i wysokie sterty koców. Niewprawny jeszcze aparat kwaterunkowo-aprowizacyjny — chociaż przygotowany na wiele dni przed tym — zacinał się często. Gdzieniegdzie wybuchały pierwsze objawy niezadowolenia. Funkcjonariusze kadrowi przez cały dzień spisywali gorączkowo ewidencje.

Wieczorem, pod granatowym rozgwieżdżonym niebem, chłopcy rozsiedli się między namiotami i do późna w noc rozprawiali poważnie o przyszłości.

Po dwóch dniach wstępnego chaosu, bieganiny, krzątania się, porządkowania i spisywania ewidencji — prowizorycznie zorganizowane brygady zetempowskie wzięły udział w pierwszomajowej defiladzie.

W takt marsza, granego przez orkiestrę robotniczą, zielony zaciąg wiosenny płynął długimi kolumnami przed trybuną, ustrojoną w czerwień i godła państwowe.

Na honorowej trybunie obok przedstawicieli Wojewódzkiego Komitetu Partii i władz stał Piotr Kulbar — pełnomocnik Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej dla spraw Nowej Huty. Przez cały czas trwania defilady Kulbar, lekko pochylony i wparty mocno dłońmi w poręcz trybuny, starał się przeniknąć wzrokiem przepływające przed nim

twarze. Czynił to z takim natężeniem, że krótkowroczne oczy zachodziły mu co chwila łzami i raz po raz musiał zdejmować okulary, aby otrzeć łzy chusteczką. W głowie młodego pełnomocnika Zarządu Głównego tłukła się uparta myśl: — Oto młodzież — najcenniejsza „surówka" Planu Sześcioletniego. Czy potrafimy tę surówkę tu, w wielkim piecu budowy, oczyścić ze wszystkich kruchych domieszek i przerobić ją na szlachetną, nierdzewną stal ludzką? Czy potrafimy tego dokonać? Musimy potrafić.

I Kulbar z większą jeszcze energią wytężał oczy, aby wniknąć w ukrytą treść nieznanych młodych twarzy. I znowu raz po raz musiał sięgać do kieszeni po szarą od pyłu chusteczkę.

Zielone rozkołysane kolumny zetempowskie — z trudem chwytając rytm muzyki — maszerowały ciężko w tumanie rozsłonecznionego kurzu.

Następnego dnia brygady stanęły do pracy przy budowie.

Marian Brandys

KROK W TYŁ

I

„Kochana panno Halino! — zaczął list Uriaszewicz po tygodniu w Jeżowej Woli. — Piszę więc! Dopiero dzisiaj, chociaż chciałem od razu. Myślę o Pan i o naszym spotkaniu z wyraźnej woli losu, i o Pani miłej zachęcie, żebym napisał. Wpadłem jednak natychmiast w wir zajęć. Musiałem się trochę urządzić i trochę rozejrzeć w świecie, do którego zjechałem, zupełnie mi obcym. W tym stanie trudno się było zebrać na list. Proszę to zrozumieć. Po tej prośbie następuje druga i to w sprawie, na której mi bardzo zależy. Proszę mianowicie nie zdradzać nikomu, skąd się do Pani odzywam. Bo odzywam się do Pani nie z żadnego nadleśnictwa w województwie poznańskim, ale z gimnazjum rolniczego w Jeżowej Woli, z pięknego dworu otoczonego kilkunastohektarowym parkiem, i to wszystko o siedemdziesiąt kilometrów od Warszawy.

„Będę tu pracował jako nauczyciel. Nie wie o tym nikt z mojej rodziny. Joanna też. Kiedy na dworcu informowała panią, gdzie jadę i po co, nie mogłem, ani zresztą nie miałem dosyć czasu, żeby sprostować. Sprawa mego pobytu tutaj nie jest normalna. Ustnie, za najbliższą bytnością w Warszawie, bo będę od czasu do czasu wpadał do Warszawy, powiem Pani więcej. Na razie zwracam się do Pani o całkowitą dyskrecję. Przed wszystkimi. Z Joanną włącznie!

„Nie wiem, czy osiądę w Jeżowej Woli na dłużej. Mam tu uczyć, czego nigdy w życiu nie robiłem. Może się więc okazać, że się nie nadaję do tego zajęcia, sam zresztą nie mam jeszcze całkowitej pewności, czy potrafię się przystosować do tutejszego życia. Jeśliby się więc miało okazać, że nie podołam, czy że sam z siebie zdecydowałem się tę szkołę rzucić, wolałbym, żeby jak najmniej osób wiedziało o mojej nieudanej próbie. Ot, w ten sposób mniej więcej proszę sobie wytłumaczyć, dlaczego tak nalegam na sekret.

„I jeszcze jedno! Skoro już Pani wie, skąd piszę, tym łatwiej Pani zrozumie i z tym większą pobłażliwością, mam nadzieję, odniesie się do papieru, na którym piszę. Wyjeżdżając nie zaopatrzyłem się weń, ponieważ nie myślałem z nikim stąd korespondować. Tu zaś, w miejscowej spółdzielni, ani w szkolnym sklepiku, nie ma papieru lis-

towego. Są tylko zeszyty. W wyniku tych wszystkich przyczyn stosuję do Pani niniejszy list na pokratkowanych kartkach, pochodzących właśnie z takiego szkolnego zeszytu. Rozwodzę się nad tą sprawą, która się Pani wyda błahą, nie chciałbym jednak, by Pani przeszło przez głowę, że wśród tych różnych przyczyn jest i trochę lekceważenia. Ani krzty! Niech mi Pani wierzy. Jakżeż zresztą mógłbym się zabierać z lekceważeniem do czegoś, co w swojej konsekwencji może wywołać rzecz, jakiej bym gorąco pragnął. Może wywołać, powinna i musi! Myślę o słówku od Pani. Proszę o nie koniecznie. Sprawi mi ogromną radość."

Uriasiewicz odłożył na bok gotową kartkę. Sięgnął po nożyk, odciął drugą i pochylił się nad nią.

„Wrażeń nowych mnóstwo — pisał dalej. — Od razu w wagonie, zaledwie pożegnawszy się z Panią i ze wszystkimi, z kilku rozmów jednocześnie toczonych w przedziale ciasno nabitym ludźmi przykuła moją uwagę jedna. Dotyczyła szkoły, zorientowałem się w tym prędko, podobnego typu do mojej. Udało mi się przesiąść bliżej, tak, żeby móc się wmieszać do rozmowy. Słuchałem więcej niż mówiłem. Przeszła mi tak cała droga. Na stacji Mostnik czekała na mnie furka. Dyrektora chwilowo nie było. Jeden z uczniów zaprowadził mnie do kancelarii. Zaczęło się czekanie. A tymczasem w pokoju przeznaczonym dla mnie, obok kancelarii, ustawiano dopiero co wniesione łóżko, które szkoła zdołała dla mnie skądeś wytrzasnąć. Mebli wszędzie tu mało. Przed wojną było ich niewiele, ponieważ właściciele Jeżowej Woli, którzy mieli rezydencję w innym majątku, pozabierali lepsze sztuki. Wojna się uporała z resztą. Na nowe wciąż brak kredytów. Po obiedzie — który zjadłem u dyrektora mającego samodzielne mieszkanie z własną kuchnią, przerobione z dwu wielkich pokojów w tym samym skrzydle co kancelaria i ja — obchodziłem klasy i sypialnie chłopców i dziewcząt. Wszędzie czegoś brak, ławek nie, ostatnio sama wieś dostarczyła ich w dostatecznej ilości. Ale tapczanów! Ale szaf! W porównaniu z zeszłym rokiem szkoła ma dwa razy tyle uczniów, od półrocza jeszcze ich przybyło, mebli też, jednak nie w takim tempie.

„Dyrektor mój, który tu jest od początku, od 45 roku, opowiadał mi, jak zaczynał. Bez okien, bez drzwi, z dziurami w dachu. Spał nie we dworze, lecz w domu administratora, a we dworze, w zabudowaniach gospodarczych, w ogrodzie, nocami hulał, kto chciał. I jak chciał. To jest nie bardzo, bo z przeszkodami właśnie ze strony dyrektora i paru ludzi ze wsi, którzy z nimi trzymali, wartując na zmianę, zwołując się i próbując to i owo ratować. Na przykład drzewa w parku. Ze strony

dyrektora i ludzi z nim związanych była tylko perswazja, ze strony tych, którzy przychodzili po drzewo w każdym razie siekiera, jeżeli nie nagan czy krótko przycięty karabin. Strzelali, żeby się od nich odczepić, jak im się było zanadto naprzykrzać. Od tych strzałów padł jeden z fornali dworskich, którego syna mamy w szkole.

Dyrektor z wszystkich przepraw wyszedł cało. Nie jest to człowiek, którego bym mógł nazwać miłym. Jest oschły i szorstki. Syn chłopski, gospodarza na paromorgowym gospodarstwie. Przed wojną pracował gdzieś na kresach, na poczcie, chociaż ma skończoną wyższą szkołę ogrodniczą. Przebywając z nim, nieraz odnoszę wrażenie, że coś do mnie czuje. Kto wie, czy nie dlatego, że nie było mnie z nim od początku? Że przyszło się tu na gotowe, kiedy wszystko zostało w końcu jako tako doprowadzone do ładu? Albo dlatego, że jest się kimś obcym tym rzeczom i sprawom, którym dyrektor Tomczyński się oddał i to nie od dzisiaj. Wyczucie go nie myli. Jestem obcy. Nie w tym znaczeniu, żebym był wrogi, nawet nie w tym, żebym był obojętny, ale w tym, że jestem w stosunku do wszystkiego, o czym mówi, jak nowonarodzony. Nie sprawy szkolne mam w tej chwili na myśli, ale w ogóle jego punkt widzenia. Jego spojrzenie na świat. Cokolwiek bądź powie, to dla mnie zawsze w pierwszym momencie, jak gdyby mówił o innym świecie. Wprost o innym globie niż ten, który znam. A to ten sam. Zresztą może mi się wydaje, że dyrektor odnosi się do mnie chłodno. Lecz ironiczny w stosunku do mnie jest na pewno, chociaż nad sobą panuje.

„Z rana lekcja. Chodzę z nim na dwie, albo i trzy — cudze. Przysłuchuję się. Dyrektor w starannie podzielonym na szpalty kajecie robi notatki. Potem w kancelarii wyjaśnia mi. Nauczanie nie jest rzeczą prostą. To cała sztuka umieć wytłumaczyć, ciągle utrzymywać w pogotowiu uwagę uczniów, a nie znużyć ich. Jasne! Ale jak się do tego zabrać praktycznie! Zwłaszcza że tu są wielkie różnice poziomów. Oczywiście, jak wszędzie w tego rodzaju szkołach, dwie klasy gimnazjalne, nie o tym jednak mówię. Tylko o poziomie przygotowania, o ogromnych różnicach wieku. W jednej klasie może się znaleźć chłopiec piętnastoletni, a obok niego taki, który skończył dwadzieścia pięć. Jest u nas w szkole właśnie jeden dwudziestopięciolatek. Inwalida zresztą, kulawy, z lasów, po amnestii. A jest i były milicjant. Był w Baudińście niemieckim, potem na robotach na Śląsku, potem od razu w wojsku, w milicji, na koniec trafił do szkoły. Ledwie pisze, lecz szalona pamięć. Przeczytać mu stronę, powtórzy ją bez błędu. Ujmujący, spokojny. Z okolic Mostnika, chciałby osiąść gdzie na wsi. Pracować w spółdzielni, w Samopomocy czy Społem. Też syn chłopski. Jeden

z pięciu na dwu hektarach ziemi. Toteż nie myśli o własnej gospodarce. Chce być pracownikiem umysłowym na wsi, ale pracownikiem z cenzusem. Zakuwa się wieczorami. Nie on jeden. Mamy chyba z piętnastu takich zapaleńców jak on. Zastać ich można wieczorami w pustych klasach. Siedzą i uczą się. Odrabiają zadania, przepisują, kreślą albo przerabiają wspólnie jeden materiał i dyskutują. Dociągają się do poziomu, jak mogą. Pomagają sobie zresztą nawzajem. Na zasadzie, jak powiada mój dyrektor, odpowiedzialności zbiorowej. Lepsi odpowiedzialni są za gorszych z tej samej klasy. Obowiązkiem każdego lepszego jest przychodzić jednemu gorszemu z pomocą. Tak postanowili na zebraniu organizacji partyjnej, do której należą co aktywniejsi, na zebraniu Walki Młodych. Organizacja jednak sama żadnych par nie wyznacza. Odpowiedzialnością za poziom obarcza samorząd szkolny. Dopiero samorząd w każdej klasie wyznacza, kto komu ma pomóc. Samorząd jest organizacją wszystkich.

„Mimo uwag, które mi się nasunęły na temat stosunku dyrektora Tomczyńskiego do mojej osoby, z nim stykam się najczęściej. Jak również z jego żoną, panią Marią, która przeszła w Jeżowej Woli przez to wszystko, co on. Na żadnej jej lekcji nie byłem, bo to przedmioty praktyczne, inne więc metody, inne podejście, dla mnie bez korzyści, zdaniem dyrektora. Jest żywą i — przy lada słówku zatrącającym o wydarzenia sprzed roku czy dwu — ożywiającą się kroniką tych lat. Słucham jej opowiadań całymi godzinami. Oni rzeczywiście przez niezłe rzeczy przechodzili w tej pierwszej epoce! Wspominałem o napadach i kradzieżach, ale to nie tylko to. Praca w szkole rwała się, nauczyciel ledwie zagrzał miejsce, a już przerażony stosunkami zabierał się gdzie indziej, uczniów było na lekarstwo. Wydział oświaty rolniczej pieniędzy nie dawał, a stawiał wymagania. Wciąż groził zamknięciem. Na jesieni, kiedy z zapisanych przybyło do szkoły dziesięciu uczniów, a reszta nie dała o sobie znaku życia przez jeden miesiąc i drugi, szkoła zawisła na włosku. Było pusto, było głodno, niepewnie, bo coraz to któreś z młodzieży przynosiło wieść już to o tym, że młynarz z drugimi takimi jak on na spółkę lada dzień kupi dwór na rozbiórkę i park na wyrąb, już to o tym, że śmierć czeka dyrektora, ponieważ są tacy, którzy się na niego zaprzysięgli, za szkołę i nie za szkołę, głównie jednak za politykę. Dociągnęło się jakoś do pierwszych mrozów. Wtedy jednak zdawało się, że musi wszystkiemu nastąpić koniec. Opał nie przybywał! Nie było opału! Po tygodniu czy dwu przestało być tajemnicą, że uczniowie chcą się rozjechać. Jeszcze dzień, jeszcze dwa, a szkoła się rozleci. Nagle pewnego wieczoru wybucha pożar. Gasi go sama mło-

dzież i — już zostaje! Mowy nie ma więcej o porzuceniu szkoły. Takich drobiazgów pani Tomczyńska opowiada dziesiątki.

„O tym na przykład, w jaki sposób została powitana pierwsza uczennica z dalszych stron, dziewczynka z grupy dzieci nie mających bliższej rodziny, wyciągniętych z Niemiec, rozlokowywanych po różnych szkołach internatowych przez urząd repatriacyjny. Kiedy przyszła wiadomość o skierowaniu jej do szkoły, zarówno pan Tomczyński jak jego żona i całe grono nauczycielskie uznało, że ten fakt dobrze wróży. Bo jeżeli taki urząd kierował, sama centrala z Warszawy, i to za aprobatą Ministerstwa Rolnictwa, czyż to nie oznacza, że szkole nie grozi likwidacja i czyż to zarazem nie stwierdza, że szkoła jest u góry nie najgorzej notowana, skoro można powierzyć jej opiece podobną sierotę. Przedyskutowano całą rzecz w czterech ścianach kancelarii raz i drugi, a potem trzeci i dziesiąty, gdyż nowa jak nie przyjeżdżała tak nie przyjeżdżała. — Prosta zwłoka — zastanawiano się — czy może coś gorszego? — Rozstrząsano sobie sprawę tej dziewczynki, nazwiskiem Jabłońska, i rozstrząsano w pokoju nauczycielskim. Aż nagle pewnego popołudnia dzieci wpadają z krzykiem: — Teresa przyjechała! — Kto taki? — nie pojmuje pani Tomczyńska. — No Teresa! Teresa! Jabłońska! — W swoich sypialniach, w sekrecie, przechodziły te same niepokoje co grono nauczycielskie, rozprawiając o tej Teresie, martwiąc się, że jej nie ma, zżyte z jej pojęciem tak dalece, że mówiły o niej po imieniu.

„Poznałem ją zresztą. W tym roku kończy gimnazjum i prawdopodobnie zostanie w Jeżowej Woli. Jako siła kancelaryjna i jako instruktorka przy nauczycielu hodowli, starym dziadku w cwikierze, zawsze w barwnej mycce, panu Żerbille, siedemdziesięciokilkuletnim — kiedyś instruktorze hodowlanym na gubernię mohylewską, a po tamtej wojnie administratorze w Jeżowej Woli — człowieku bardzo wybitnym w swojej specjalności, który się doktoryzował z hodowli w Niemczech. Ceremonialny ze wszystkimi, niemożliwie obdarty, bo obrabowany w czasie napadów; o stypendystach, których mamy kilku w szkole mówi „gracjaliści", o budynku szkolnym nigdy inaczej nie powie jak „pałac", o świetlicy zawsze — „fumoir", ponieważ przed laty, kiedy dwór był zamieszkały, była to palarnia. W czterdziestym piątym roku podczas działań ofensywy styczniowej zabłąkana kula trafiła go w nogę. Stosunkowo lekko, niemniej przeto rana unieruchomiła go w Jeżowej Woli. Pan Tomczyński zjawiwszy się, otoczył go opieką, zorientowawszy się, ile umie, zaproponował mu pracę w szkole. Żerbiłło szeroko otworzył oczy słysząc,

że ma uczyć chłopskie dzieci. Do dziś zresztą o młodzieży z innych szkół — bo mamy ich kilka w okolicy: gimnazjum pszczelarskie i oczywiście szereg powszechnych — mówi „gamonie". Tylko jego uczniowie z Jeżowej Woli to — dzieciarnia. Stary jest, no i kuleje. Jego więc takim adiutantem czy asystentem zostanie na razie młodziutka Teresa Jabłońska. W dowód uznania dla jej zdolności pan Żerbiłło zaofiarował się uczyć ją dodatkowo po francusku.

„Weterynarię nie on wykłada. Weterynaria, maszynoznawstwo, budownictwo wiejskie, zoologia — to przedmioty pana Pachury, prawej ręki pana Tomczyńskiego, zarówno w szkole jak i w pracy politycznej na wsi. Nauczyciela ludowego sprzed wojny, ubranego z reguły na czarno, w ubraniach aż szarych od zniszczenia, człowieka, który pokończył mnóstwo najróżnorodniejszych kursów i który może uczyć, czego tylko dusza zapragnie. W swoich przedmiotach nie jest mocny, ale umie wykładać. Odwrotnie niż Żerbiłło. Dyrektor nieraz z nimi rozmawia na temat zalet i wad każdego z nich jako nauczyciela. Jednemu powiadając, że ma wielką wiedzę, a niczego nie umie po ludzku wytłumaczyć, drugiemu, że chociaż nie ma takiego przygotowania, uczy doskonale. Pachura, kiedy to słyszy, spuszcza głowę. Stary Żerbiłło zaś jest z opinii o sobie zadowolony.

„Nie wspomniałem jeszcze nic o polskim, historii i o Polsce współczesnej. To domena pana Śmieleckiego, studenta z trzeciego roku historii, który w związku ze swoimi studiami co sobota jeździ na niedzielę i poniedziałek do Warszawy. Jest bardzo inteligentny, lecz czas ma ograniczony, tak że ani razu nie rozmawiałem z nim dłużej. Zapracowany, nie dosypia, świeci światło po nocach, co poznaję po jasnych szparach w drzwiach pomiędzy naszymi pokojami. Ma egzaminy za miesiąc, poza tym jeszcze czyta. Pan Tomczyński go wyróżnia. Zwłaszcza dlatego, że dużo sobie trudu zadaje, by podciągnąć tych, którzy są u nas w drugiej klasie i zasadniczo rzecz biorąc mogliby w tym roku skończyć, ale mają różne zaległości i braki. Jest takich z dziesiątek. Stary Żerbiłło, kiedy Śmieleckiego zastaje w godzinach polekcyjnych z zapóźnionymi, przestrzega go: — Uwaga! Bo pan sam straci rok! — Śmielecki odpowiada: — Ale ich jest dziesięciu — Dyrektor Tomczyński tylko jedno krytykuje w jego wykładach, że pan Śmielecki zbyt niewolniczo trzyma się przedwojennych podręczników, oświetlających wiele spraw z gruntu fałszywie. Doradza mu na to czytanie różnych dzieł i broszur, którymi i mnie chętnie służy. Lecz pod tym względem będę w innym położeniu ucząc chemii, fizyki i matematyki.

„Lekcji jeszcze nie miałem. Jutro zaczynam. W zasadzie będę uczył przez dwadzieścia godzin na tydzień. Zatem mniej więcej trzy godziny na dzień. Tylko przez pierwszy tydzień na wyraźne polecenie dyrektora — dwie. Ustalił również, że przez pierwszy miesiąc nikt z kolegów, nie wyłączając jego samego, nie będzie do mnie podczas godzin zaglądał. Jego zdaniem, zanim nie nabędę najelementarniejszej wprawy, onieśmielałoby mnie to w obliczu całej klasy. Jeśli zarządzając tak miał na myśli, że w podobnej sytuacji czułbym się skrępowany obecnością uczniów, niepotrzebne względy. Z tutejszą młodzieżą czuję się dobrze i swobodnie. W większości to jednostki, z którymi już mnie łączą nici — mam wrażenie że wzajemnej — sympatii.

„Zaprowadził mnie dyrektor wczoraj na zebranie samorządu szkolnego, ważnego organu życia wewnętrznego szkoły. Samorząd rozbija się na wiele sekcji. Jedna z nich — to prowadzona przez młodzież zupełnie na własną rękę spółdzielnia wyżywieniowa. Młodzież sama zbiera pieniądze należne za internat i sama nimi gospodaruje. Sama jeździ po zakupy, sama rozdziela stypendia przyznane na szkołę przez wydział wojewódzki, sama nieraz decyduje, również na podstawie swojego samorządu, tyle że już nie w ramach spółdzielni wyżywieniowej, o niełatwych kwestiach. Jak na przykład ta, która tu wynikła na miesiąc przed moim przyjazdem, kiedy miejscowy młynarz zwrócił się do stworzonej przez panią Tomczyńską szkolnej orkiestry z zaproszeniem, żeby mu przyszła grać na chrzcinach syna. Pani Tomczyńska przekazała młodzieży, przeważnie dzieciom biedoty z okolicy, zaproszenie młynarza, żadnych nie dodając komentarzy i — opuściła zebranie. Nie poszli. Takie gospodarowanie i szerokie decydowanie o wszystkim — to nie jest właściwość tylko naszej szkoły. Wszystkich takich. Przysłuchiwałem się wczorajszym obradom. Wentylowano kwestie pomniejszej wagi, dotyczące porządku i czystości w samym gmachu szkolnym, na podwórzu i w ogrodzie. Ustalano nowych porządkowych, zakres ich odpowiedzialności i zaostrzono sankcje. Obradami kierował Kulicki Bronisław, przewodniczący samorządu, liczący sobie lat siedemnaście, syn tego dawnego fornala dworskiego, który zginął, broniąc z Tomczyńskim drzew w szkolnym parku. W obradach nie braliśmy udziału. Przedstawiciele grona nauczycielskiego mogą się im tylko przysłuchiwać w charakterze gości.

„Po obradach dyrektor, tak jak to czyni po lekcjach, na które mnie prowadzi, omawiał je. Tłumaczył mi, czego uczy podobny samorząd i jakie odrabia historyczne zaległości. Setki takich samorządów jak ten, o którym mowa, w setkach takich szkół jak nasza. Rolniczych

i nierolniczych. Następnie pytał o moje wrażenia. Rozmowa zeszła na wieś. Mówiłem mu, że czuję się dobrze. Że odpowiada mi cisza i spokój. Że pod tym względem mam, czego pragnę. Nie przerywał mi. Sam przerwałem. Czułem, że go drażnię.

„Jest wieczór. Piszę przy otwartym oknie. Myślę o tym, że minął tydzień, a mnie się zdaje, że jestem tu od nie wiem jak dawna. To sprawa szkoły. Taka szkoła rzeczywiście wciąga człowieka. Z wielkim zniecierpliwieniem przypominam sobie o własnych kłopotach i różnych rzeczach, które mi nie dawały spokoju w Warszawie i które, nawiasem mówiąc, wymagają ode mnie nawet tu, w Jeżowej Woli, pewnych decyzji, czy, żeby się wyrazić ściślej, pewnych dalszych kroków. Tym kłopotom i sprawom każę czekać jeszcze dzień, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, chociaż to oczywiście nie jest na nie radykalny sposób. Zresztą doprawdy zajęty jestem całkowicie szkołą, jak to Pani wywnioskować może z tego faktu, że tak późno piszę, no i w ogóle z całości mego listu..."

Dojechawszy do tego miejsca Andrzej Uriaszewicz raptem zaniepokoił się. Przerwał, przejrzał kartki, które napisał. Druga, trzecia, czwarta i wszystkie dalsze dotyczyły wyłącznie szkoły. Zamknął oczy. Pomyślał przez chwilę jeszcze o Stępczyńskiej.

— Tego rodzaju epistoła może być dla niej zupełnie nie interesująca — szepnął.

I po tej refleksji, pierwszej kartce dał inny dalszy ciąg i inne zakończenie, a kartki o szkole zużył w liście do Klimontówny, do której również powinien się był odezwać.

II

Nazajutrz z rana Uriaszewicz obudził się nieco później niż zwykle. Długo w noc nie mógł zasnąć. O trzeciej zapalił światło i nastawił sobie budzik. Ale sen okazał się silniejszy niż dzwonek. Z duszą na ramieniu, spóźniony o całe dziesięć minut, wbiegł do kancelarii po dziennik klasowy. Tymczasem w kancelarii zastał jeszcze wszystkich: Żerbiłłę, Pachurę, Tomczyńskich.

— Co się stało? — spytał.

— A stało się, stało! — zaciskając zęby zdenerwowany odparł mu Tomczyński. — W fabryce w Mostnikach zabito człowieka.

— W fabryce penicyliny?

— Tak.

— Kogo?

— Kierownika referatu bezpieczeństwa.

— Porucznika Kuszla?

— Nie wiem. Pan Pachura też nie zna nazwiska.

— Kierownik referatu bezpieczeństwa w Mostnikach nazywał się Kuszel. Znałem go.

Pachura wtrącił:

— No to znaczy ten zginął. Nie mogło być dwu.

Dyrektor Tomczyński podniósł rękę do czoła. W pewnej chwili jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Uriaszewicza.

— Te strzały, któreśmy w nocy słyszeli — rzekł — to było to.

— Napad?

— Napad!

Wiadomość przywiózł przed chwilą Pachura, który wracając na rano do Jeżowej Woli z Warszawy, przejeżdżał koło przyszłej wytwórni.

— Banda złożona z kilkunastu ludzi — mówił — podeszła w nocy pod bramę i próbowała się dostać do środka. Nie dali rady. Lecz podczas strzelaniny padł ten porucznik.

— A z ich strony?

— Zdaje się nikt.

Uriaszewiczowi cała rzecz nie mieściła się w głowie.

— Czego jednak mogli szukać w takiej fabryce dopiero budującej się? — zawołał — Ani żadnego towaru tam jeszcze nie ma! Większość wypłat dokonuje się przez bank, więc i pieniędzy!

Przypomniał sobie w tym momencie wypadek, o którym niedawno mówili mu Tomczyńscy, wypadek najścia na jakąś spółdzielnię o kilkadziesiąt kilometrów od Jeżowej Woli, najpierw obrabowaną, a potem spaloną. Widać na to samo skojarzenie musiał wpaść Tomczyński, bo rzekł:

— Im by w zupełności wystarczał popiół, gdyby się dostali na teren fabryki. Ogień i popiół.

Ponownie zwarł zęby i zacisnął je z całej siły. Pierwszy jednak ochłonął.

— Ale do lekcji, panowie — po chwili wezwał wszystkich. — Już poproszę panów do klas.

*

Godziny wlokły się. Tego dnia Andrzej Uriaszewicz miał tylko dwie. Od ósmej do dziewiątej matematykę, od dziewiątej do dziesiątej miernictwo. I to w polu. Za obejściem dawnego dworu rozciągał się mały lasek, zmierzono go, a z kolei ogród i sad przy gorzelni.

Zwykłego gwaru godzin lekcyjnych na świeżym powietrzu tym razem Uriaszewicz nie potrzebował uciszać. Po pierwszej pauzie już cała szkoła wiedziała o zabójstwie, którego dokonano tej nocy w Mostnikach. Niewesoło było. Po skończonej godzinie Andrzej kazał odnieść do kancelarii pomoce miernicze, a sam przysiadł w sadzie. Wstał na koniec i ruszył w stronę Strumienia.

— Jak to, nie ma księdza proboszcza! — zdziwił się, kiedy po długim i bezskutecznym kołataniu do drzwi frontowych plebanii, okrążywszy dom, dostał się do niej od kuchni.

— Nie ma.

Kobieta, z którą rozmawiał, tęga, starsza, prawdopodobnie tutejsza gospodyni, wpatrywała się w Uriaszewicza oczami pełnymi niepokoju, zapuchniętymi, zaczerwienionymi po świeżym płaczu.

— Wyjechał ksiądz?

— Nie ma!

— Może śpi, poczekam.

— Nie ma tu po co czekać.

Uriaszewicz cofnął się, ale od progu zawrócił.

— Otrzymałem list od księdza Sposa późnym wieczorem — rzekł. — W tym liście ksiądz mi napisał, żebym się u niego stawił, byle nie za wcześnie, żeby mógł wypocząć po odpuście. I nie ma go już. A kiedy będzie?

— Ksiądz wyjechał.

— Gdzieś dalej?

Księża gospodyni sięgnęła po chustkę, widać już całą mokrą, bo wsunęła ją z powrotem do kieszeni, a do oczu podniosła fartuch.

— Do chorego ksiądz się udał?

— Nie.

— Ależ dajcie że mi jaką ludzką odpowiedź! — podniósł głos Andrzej. — Czy ksiądz Spos wyjechał gdzieś dalej? Na długo?

— Nic nie wiadomo!

— Jakże taka rzecz może być nie wiadoma!

Ten ostatni okrzyk Andrzeja kobieta pokwitowała wzruszeniem ramion.

— Więc aresztowany? — Nagła myśl oświeciła Uriaszewicza.

Zmartwiał, pobladł. Szkoła wyrugowała z jego głowy „Ucztę". Po liście księdza Sposa znowu zaświecił mu jej miraż. Nie tylko jednak doznał teraz zawodu. Niepokoju również. Przypomniał sobie notes księdza Sposa. Z wpisanym weń nazwiskiem Grelowicza! I fotografię, którą zostawił księdzu.

— Siądźcie, panie! — usłyszał głos gospodyni. Spojrzała teraz na jego pobladłą twarz innym, przychylniejszym wzrokiem. — Zaczekajcie chwilę.

Wyszła. Upłynęła po jej wyjściu minuta, dwie, pięć. Wreszcie kobieta ukazała się.

— Idźcie, panie, do kościoła, uklęknijcie koło konfesjonału. Ksiądz do was wyjdzie.

— Ksiądz Spos? — szepnął zdumiony Uriaszewicz.

— Oj, nie! — Dolna warga starej kobiety zadrgała, opadła. — Ksiądz wikary.

— Dziękuję pani — powiedział Uriaszewicz.

Ukłonił się jej, nie zauważyła tego, daleka od nastroju, w którym wymienia się grzeczności. Oczy jej zapłonęły. Grube, silne ręce wzniosła do góry. Wydarł się z jej piersi stłumiony, pełen pasji głos.

— A to już pomsty boskiej woła — wybuchła — Ojcze Niebieski, zmiłuj że się nad nami!

Uriaszewicz przebył drogę od plebanii do kościoła jednym skokiem. Zaledwie odnalazł konfesjonał i ukląkł przy jego kratkach, szarpnął go ktoś za ramię.

— Tylko nie tu! Konfesjonał nie jest miejscem na podobne rozmowy — usłyszał za sobą ostry, młody, rzucony nieco piskliwie rozkaz. — Proszę za mną do zakrystii.

Wikary probostwa w Strumieniu, niewysoki, chudy, ostrzyżony przy samej skórze, w za dużej, obficie fałdującej się sutannie, niezgrabny w niej jakby pisklę w piórach starego, wielkiego ptaka, rzucił mu spojrzenie bez cienia sympatii.

— Przepraszam — zaczerwienił się Andrzej. — Ukląkłem tu z polecenia gospodyni.

— Nie wiem, gdzie ksiądz Spos toczył z panem swoje narady — odparł wikary. — Ja z konfesjonału żadnej maskarady nie będę robił.

Przeszli na ukos przez kościół, pusty o tej porze. W zakrystii wikary wzburzony zawołał:

— Czynię to jeno dla księdza Sposa, że pana przyjmuję. Proszę odtąd więcej nie przychodzić. Ani na probostwo, wokół którego dosyć osób się kręci, żeby dla pana podobne wizyty uczynić niebezpiecznymi. Ani, powtarzam, tu, ponieważ ja drugi raz do pana nie wyjdę!

— Ależ...

Wikary nie dał Uriaszewiczowi dojść do głosu.

— Ksiądz Spos wyjechał i nie sądzę, by prędko do Strumienia wrócił, tak że nie ma wielkiego celu do nas zaglądać.

— Ksiądz został aresztowany dziś w nocy?

— Nie został aresztowany. Uciekł.

— A cóż się takiego zdarzyło?

— To już chyba panu jest więcej o tym wiadomo niż mnie!

Uriaszewicz przełknął ślinę. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w księdza. Oniemiały.

— To już chyba panu jest o tych sprawach więcej wiadomo niż mnie — powtórzył wikary. — A co do księdza proboszcza, uciekł. I to w sam czas. W godzinę po jego postanowieniu, mieliśmy już na probostwie milicję!

W głowie Andrzeja powoli zaczynało się robić widniej.

— A zanim ksiądz proboszcz zdecydował się na wyjazd — spytał — był ktoś u niego?

— A pewnie że ktoś! — uniósł się wikary. — Nie Duch Święty!

— Czy ksiądz myśli, że wyjazd księdza proboszcza ma jakiś związek z wypadkami ostatniej nocy w fabryce penicyliny pod Mostnikami?

Wikary odburknął:

— A z czym by innym!

I dodał urągliwie:

— Nie było was, moi ludzie, ściągać do Strumienia korzystając z odpustu, nie było was nocować po wsi, to by takiego związku nie było!

— Proszę księdza — Uriaszewicz wyciągnął błagalnie w stronę wikarego ręce. — Ksiądz się myli!

Młody wikary żachnął się:

— Et! Dosyć ja się już od księdza proboszcza nasłuchałem, że z panami się kontaktuję, by panom nie dać stracić Boga. Jedynie po to. A właśnie! Pchał on was!

Uriaszewicz dotknął rąk wikarego.

— Przysięgam, że ja nie mam z tym nic wspólnego — krzyknął. — U księdza byłem, by mi pomógł odnaleźć pewnego mojego znajomego, o którym wiem tylko, że zamieszkał w okolicach Mostnik.

— Ach tak — ocknął się wikary.

— Z pewnych względów nie mogę go szukać na normalnej drodze, przy użyciu normalnych środków, sprawa moja jednak nie ma nic wspólnego z żadną organizacją, z żadną robotą podziemną.

Wikary przetarł ręką czoło.

— Zaraz, zaraz — przymknął oczy, pochylił z lekka głowę. — Jak się ten wasz znajomy nazywa?

— Grelowicz. Obecnie Grelowicz.

— Przebywa we wsi Tuszowie — oznajmił ze spokojem wikary. — Mieszka w dworku na terenie nieczynnej, zbombardowanej cegielni.

— A skąd to ksiądz wie? — zdumiał się Uriaszewicz.

Ksiądz odparł:

— Ma pan szczęście ze swoim znajomym. Wczoraj podczas kolacji, naszej księżowskiej, po odpuście, ksiądz proboszcz pytał o niego. I akurat o niego u księdza z Tuszowa się dopytał. Zdaje się, że dobrze usłyszałem. Grelowicz?

— Tak jest. A wieś Tuszów daleko od nas?

— Z dziesięć kilometrów. Przy trakcie z Mostnik na Wyszogród. Druga a może trzecia wioska.

Kiedy Uriaszewicz wychodził z zakrystii, ksiądz wikary dotknął jego ramienia.

— A to, co pan przypadkiem, przez nieporozumienie usłyszał ode mnie o księdzu proboszczu, proszę zachować przy sobie — rzekł. — Bo jakżeż inaczej.

I już bez tej pewności, z którą gromił Uriaszewicza, wyszeptał, rumieniąc się za swój argument:

— Przecież to ksiądz!

III

Andrzej Uriaszewicz zamknąwszy za sobą drzwi od zakrystii, przystanął:

— Co u diabła z tym Kienzlem? — powiedział do siebie na cały głos. Zagadka, nad którą głowił się w Warszawie, i to niezależnie od tego, że wiązała się ze sprawą „Uczty" i która jak wszystko inne zeszła w Jeżowej Woli na drugi plan, zastanowiła go ponownie. Co to może być z tym nazwiskiem Grelowicz? Z tym ukrywaniem się?

Starego, pracowitego, oddanego fabryce, a przede wszystkim Lewartom Kienzla znał na przestrzeni kilkunastu lat. Nigdy nie miał w sobie nic tajemniczego. Trudno go było sobie wyobrazić zamieszanego w jakąś przygodę czy w jakieś machinacje.

— Zwariował?! Zdziwaczał?! — Lecz postawiwszy tę hipotezę, Uriaszewicz przypomniał sobie Rokicińskiego, przestrogi mecenasa, jego wahania, zanim udzielił wskazówek dotyczących Kienzla. — Nie, to nie to! Ale co?

Andrzej spojrzał na zegarek: dochodziła dwunasta. Nawet gdyby spotkał kogoś, kto by go podwiózł, nie zdążyłby zajść i wrócić z owego Tuszowa przed obiadem. Przekalkulowawszy to zbiegł z kościelnego

wzgórka. Kiedy jednak znalazł się na drodze, skręcił w stronę Mostnik, żeby zobaczyć się z Kienzlem zaraz. Nie oparł się ciekawości.

Uszedł jeden kilometr, drugi, po piachu. Szybko, nerwowo. Dzień był gorący, pora południowa, męczył się. Co jakiś czas spostrzegał się, wstrzymywał kroku, lecz nerwy brały górę. Nie myślał już o Kienzlu, ani o „Uczcie", ani o Lewartach, ani o sobie. Podobnie lęk, który go przeszył na początku rozmowy z gospodynią księdza Sposa, kiedy zbudziło się w nim podejrzenie, czy aby ksiądz nie został aresztowany — rozwiał się. Dawał o sobie jeszcze znać w zakrystii, to nasilając się, to przygasając. Ale zwolna Uriaszewicz o nim zapomniał, tak jak i o swojej ciekawości. Wikary obudził ją w nim, wikary sprawił, że go odeszła. Inne sprawy, które poruszył, skupiły na sobie całą uwagę Uriaszewicza. A mianowicie sam ksiądz Spos i fakt, że zwiał. Ten ksiądz i jego rola w wypadkach nocą pod Mostnikami, taka czy inna, w każdym razie nie całkiem podrzędna, skoro zaalarmowany umknął.

Uriaszewicz parł naprzód po kostki w piachu. Odruchowo marszczył czoło. Myśl jego nie pracowała, nie rozumował, tylko wrażliwość jego buntowała się. Wypełniała go niechęć, niemal wściekłość na to, co się stało. Wciąż mu się przypominał proboszcz, jego tęga postać, wyraz jego twarzy źle ogolonej, zmieniający się, to nacechowany pewnością siebie, to znowu zatroskany. Proboszcza luzował porucznik Kuszel. Uparty, a pod koniec rozmowy z magistrem żartobliwy. Na wspomnienie białych zębów porucznika i uśmiechu, nad którym porucznik starał się zapanować, Uriaszewicz zacisnął szczęki aż do bólu. Nie pierwszy raz doznawał podobnych uczuć. Na pewne zdania ze spowiedzi Hazy, szkicowej i która tylko pozwalała się domyślać niepokojących rzeczy, zareagował podobnie. Na fotografię narzeczonego panny Klimontówny, zamordowanego po wojnie, tak samo. Ale nigdy z taką siłą. Każdy nerw w nim protestował przeciw czemuś podobnemu. Znał księdza Sposa, znał porucznika, do morderstwa doszło w najbliższej okolicy, mącąc spokój, którego pragnął, ten spokój, o który, zdawało mu się, tu nietrudno. Zapewne że te składniki miały wpływ na siłę jego reakcji. Ale nie decydujący. Zaszły w nim jakieś zmiany.

W Mostnikach zatłoczonych ludźmi, końmi, wozami, bo dzień był targowy, zajrzał na chwilę do cukierni, gdzie pewnego dnia wpadł na kawę czekając na Tomczyńskiego. I tym razem napił się kawy, a płacąc rozpytał się o Tuszów. Do samej wsi było sześć kilometrów. Do

zburzonej, nie istniejącej cegielni nieco więcej. Do willi jej dawnego właściciela jeszcze dalej.

— A mieszka tam kto? — spytał Uriaszewicz.

— A mieszkają! Mieszkają! — poinformowała go kasjerka. — Będzie taki gęsty żywopłot, to to!

Nie był to jednak ściśle biorąc jedynie żywopłot. Może za swego zarania. Lecz kiedy Andrzej zbliżył się minąwszy wieś i rumowiska dawnej fabryczki, ujrzał przed sobą zbity czworobok gąszczu, na całej przestrzeni zarastającego ogród, warzywny nie-warzywny, sad nie-sad, klomby nie-klomby prawie że pod samą willę. Drogę prowadzącą do niej od bramy również. Zresztą odrutowanej w ten sposób, i to drutem kolczastym, że nie dawała przejścia. O kilka kroków od niej wreszcie natrafił na pewną lukę w ścianie gąszczu i na coś, co od biedy można było uznać za ścieżkę.

Z bliska willa przedstawiała się znacznie gorzej niż z szosy. Ni okien, ni dachu, ni ścian jak się należy. Podczas działań wojennych niedaleki wybuch bomby musiał w znacznej mierze naruszyć jej spoistość i tak zostało. A raczej tak się zaczęło. Od tego dnia gniło, co było drewniane, i rozpadało się, co było z gliny czy cegły. Mieszkał tu jednak ktoś. Przynajmniej zza domu dawało się słyszeć rąbanie drzewa.

Andrzej nacisnął klamkę od sieni. Sama ruina! Zajrzał przez uchylone drzwi na prawo, na lewo: nikogo. Ale właśnie te dwa pokoje obrali sobie za schronienie lokatorzy willi, świadczyły o tym posłania, resztki urządzenia, piecyki, jeden i drugi z fajerką, na której można było gotować, nędzne to wszystko bo nędzne, inne jednak pokoje ziały pustką. Wszędzie tylko cztery gołe, nagie ściany. Najwyżej w wyrwach.

Okrążył willę. Ujrzał najpierw dróżkę prowadzącą przez zarośla ku ruinom cegielni. A zatem tędy chodziło się, niekoniecznie przez krzaki, prosto z szosy jak Andrzej. Ruszył dalej. Aż znalazł się na terenie dawnej cegielni, rozniesionej doszczętnie tym samym wybuchem, który jeno wstrząsnął willą. Przy jej szczątkach grzebał się jakiś człowiek. Z rozmachem walił siekierą w wydobytą belkę, rąbiąc ją na opał pod kuchnię. Po wzroście, po chudości, po plecach Uriaszewicz poznał go. To był Kienzel.

Nie od razu zawołał. Słowa uwięzły mu w gardle. Obudziły się w nim tysiączne wspomnienia. Fakt że znajdował się na odległości głosu od Kienzla, tak długo poszukiwanego, a wreszcie niepokój, jak go

przyjmie, skoro się ukrył przed światem, również przyczyniały zamętu w głowie Uriaszewicza. Na koniec się przemógł.

— Hop, hop, panie, czy tu mieszka pan Grelowicz?

Siekiera wzniesiona w górę miękko opadła. Widać rzadko kto na teren zbombardowanej cegielni zaglądał, minęło bowiem kilka sekund, zanim Kienzel ochłonął. W trakcie tego czasu zaszło jeszcze coś innego. Kienzel przygarbił się, pochylił ku ziemi, i on, który przed chwilą z takim impetem machał siekierą, teraz się nią zaczął podpierać, aby krok za krokiem przebyć przestrzeń dzielącą go od Andrzeja.

— Ty? — zakrzyknął, kiedy stanął przed Uriaszewiczem znieruchomiały ze zdziwienia. — Andrzej!

— Ja.

— Tutaj?

— Szukam pana od kilku miesięcy — Uriaszewicz wyjaśnił szeptem: — Dla Franciszka Lewarta.

— Też przyszedł?

— Nie, został w Paryżu.

— I ty z Paryża?

— Z Paryża — Uriaszewicz zniżył głos. — Przysłany po „Ucztę".

— Chwała Bogu! Chwała Bogu!

— Jest?

Kienzel przymknął oczy i kiwnął głową.

— Więc jest?

— Jest!

— Gdzie?

Siekierą Kienzel wskazał na dom wśród zarośli. Uniósł ją lekko i trzymał przez moment w powietrzu. Przestał robić z siebie starego dziada.

— Ze mną — powiedział.

Andrzej przyznał cicho:

— Zdenerwowałem się, kiedy jej nie znalazłem tam, gdzieśmy ją zamurowali.

— Możesz mówić swobodnie — wtrącił Kienzel. — Jesteśmy zupełnie sami. Moi gospodarze nie wrócą przed zmierzchem.

— Pomyślałem, że jest stracona — ciągnął Uriaszewicz. — Że zabrali ją Niemcy.

— Zabierali tylko maszyny — odparł Kienzel. — Zdecydowałem się wtedy wywieźć „Ucztę".

— Ale że pan się z nikim nie porozumiał?

— Z kim? Tyś był w Niemczech, pani Róża w Krakowie, Fanio za granicą, pan Konrad w obozie. A sposobność mogła się nie powtórzyć!

— Ależ nie! To dobrze, że pan ją wywiózł, tylko szkoda, że pan po wszystkim nie dał nikomu znać o jej losach.

— Kogo mogłem bez ryzyka poinformować, tego poinformowałem.

I nagle, po tym oświadczeniu, sam zniżył głos, choć przed chwilą uznał tego rodzaju ostrożność za zbyteczną.

— Ale dzisiaj do tego, żeby się rozbijać za Lewartami, nie jestem zdolny — mówił. — Boję się!

— Czego?

Kienzel rozłożył ręce.

— Sił mi już nie staje!

Andrzej roześmiał się:

— Co pan opowiada! Wygląda pan jak samo zdrowie. Oczy pełne ognia, siła do pozazdroszczenia. Widziałem, jak pan drzewo rąbał.

Kienzel pobladł. Pod wpływem pierwszego odruchu znowu się przygarbił, tak jak na początku, kiedy wziął Uriaszewicza za kogoś obcego.

— Widziałeś — przeraził się w sposób widoczny, cały drgnął. — Ot jak żyję!

— Ale czemu?

— Cienia własnego się boję, każdego kroku, cudzego, własnego! Nigdzie się nie ruszam! — wyjąkał. — A i tak, jaka z tego gwarancja!

— Co takiego zaszło?

— A zaszło, zaszło!

— Co?

Kienzel podniósł na Uriaszewicza oczy. Natknął się na jego pytające spojrzenie. Po kilku sekundach opuścił wzrok ku ziemi. Na pytanie Andrzeja nie odpowiedział. Zapanowało niezręczne milczenie.

— Początkowo każdego dnia spodziewałem się kogoś od Lewarta po „Ucztę" — nareszcie przerwał je Kienzel, zmieniając temat. — Najwięcej ciebie, skoroś już sam tyle trudu włożył w to, by ją uratować i taki byłeś z Faniem zaprzyjaźniony. Nie mogłem pojąć, dlaczego się to odwleka. Na koniec powiedziałem sobie, że widać Lewart zdecydował, by „Uczta" razem ze mną, u mnie, a raczej u obcych, przypadkowych ludzi w tej ruderze przeczekała najgorsze czasy. Szaleństwo!

— A co to za ludzie, z którymi pan mieszka?

— Dawny właściciel cegielni z żoną. Ot, rozbitki jak ja.

— Co robią?

— Nic. On jest nawet inżynier, ale nie chce brać posady, chce przetrwać wszystko nie mieszając się do niczego, na boku. Do niczego nie przykładając ręki.

— Jakiś rozbitek z amatorstwa — wzruszył ramionami Uriaszewicz.

— A z czego żyje?

— Z rzeczy.

— Z rzeczy?! — zdumiał się Andrzej. Przed oczami stanęła mu nędza wnętrza willi. Rozejrzał się również wokoło. — Z tych rupieci — zapytał — które ma w domu? Czy może z ruin?

— Ano tak. Z różnych okruchów. No i ze mnie.

— Z pana?

— Płacę im. Pożyczam.

— Ach rozumiem!

Twarz Kienzla pokryła się czerwonym rumieńcem. I ten temat stawał się dla niego coraz bardziej nieprzyjemny.

— Cóż? — rzekł rozkładając ręce. — Ja się nie mam gdzie podziać!

U inżyniera, właściciela cegielni, starego znajomego Kienzla zamieszkał po powstaniu. Do dzisiejszego dnia inżynier nieomal już doszczętnie się wyprzedał. Zawsze jednak znajdował w domu czy w rumowiskach zburzonej cegielni coś, z czym się udawał na targ. Co tydzień. Co tydzień. Tyle jeszcze Uriaszewicz usłyszał.

— Ot i teraz właśnie — rzekł Kienzel — poszedł z moją skórzaną teczką.

— Z pańską? — zmarszczył się Uriaszewicz.

— Z moją! Z moją! — westchnął Kienzel nie orientując się jednak, że z chwili na chwilę przyciemniał obraz inżyniera. — Ja z nią do biura nie pójdę!

Zduszonym głosem wyliczył:

— Ani tu, ani w Warszawie, ani dziś, ani jutro. A najpewniej nigdy!

Rozkurczył palce. Wypuszczona z rąk siekiera zadźwięczała o kamienie. Oczy Kienzla zabłyszczały złością.

— W pełni sił, a muszę tutaj tkwić. I jeszcze Bogu dziękując za to, że nie jest ze mną gorzej. Tak jak by mogło być, i tak jak lada dzień być może.

Przysunął się do Andrzeja blisko i wyrzucił wreszcie z siebie swój grzech.

— Pamiętasz ty ten miesiąc, kiedy twego ojca rozstrzelano, stryja zaaresztowano, zostałem w fabryce z dyrekcji sam. Zaczęto mnie naciskać, naciskać, żebym u władz niemieckich sytuację rozładował, bo

w przeciwnym razie fabryka Lewartom przepadnie, skonfiskują ją. A przynajmniej wyznaczą dla niej jakiegoś pełnomocnika, oczywiście Niemca. Wtedy Lewartowie mogą stracić nad nią kontrolę. Zaczęto mnie więc naciskać, naciskać, bo wiesz, że jestem pochodzenia niemieckiego!

Mdło się zrobiło Uriaszewiczowi od tego wyznania.

— Kto pana naciskał? — szepnął.

— Głównie wdowa po panu Stanisławie, pani Róża Lewartowa.

Uriaszewicz oburzył się. Wspomniał sobie o wszystkich plotkach kursujących podczas okupacji na temat jej stosunków z Niemcami. A również, przechodząc od plotek do bezspornych faktów, o jej małżeństwie po wojnie z oficerem austriackim poznanym przed powstaniem w Warszawie.

— A czemuż to ona sama — powiedział drwiąco — nie wykorzystała swoich różnych znajomości? Nie mówiąc już o tym, że mogła się sama podać za Niemkę, jeśli jej się ten sposób tak spodobał. Lewartowie też są z pochodzenia Niemcami.

— Nie chciała się angażować — odparł Kienzel. — Ani angażować, ani podać za Niemkę. Lewartowie to przecież ludzie z najlepszego towarzystwa.

Trudno było Uriaszewiczowi słuchać podobnej kazuistyki. Zwłaszcza z ust Kienzla. Dźwięczała w nich obco. Jak wyuczona. Wykonał ruch ręką pełen zniecierpliwienia.

— Tyś młody, niewyrozumiały — posmutniał Kienzel. — Ale ani twój stryj Konrad nie myśli o mnie źle, ani taki Rokiciński. Nigdyśmy z sobą nie byli blisko, kiedy jednak wojska sowieckie się zbliżały i mogło być ze mną źle, Rokiciński zajął się mną.

— Wiem. Mówił mi.

— Mówił z tobą o mnie? — zaniepokoił się Kienzel.

— Jemu zawdzięczam, że pana w końcu znalazłem.

Kienzel zbielał jak ściana.

— Jakto jemu? Przecież on nie wie, gdzie jestem. Tylko jeden pan Konrad!

— Stryj Konrad?! — osłupiał Uriaszewicz. — Właśnie stryj Konrad przysięgał mi, że pan nie żyje!

— A to nie on cię do mnie skierował?

— Gdzie mnie miał skierować do pana, kłamiąc, że pan zginął? — Andrzej roześmiał się gorzko — Na cmentarz?

Patrzyli na siebie przez chwilę oniemiali z wrażenia. Uriaszewicz nie pojmował stryja, Kienzel o nim nie myślał. Zdjęty trwogą, że jednak

można do niego trafić, nie odzywał się, ciężko dysząc. Droga, przez którą z trudem przebijał się Uriaszewicz, by go odszukać, wydała mu się prostym szlakiem. A tych kilku ludzi, których świadectwo czy pomoc utorowała Uriaszewiczowi dojście, więc Rokiciński, Nacewicz, proboszcz Spos, ksiądz wikary, prałat Zawiczyński — całym tłumem.

— Boże — dotknął czoła kościstymi, chudymi, długimi palcami. — To już koniec!

Nagle podniósł głowę i nasrożył się:

— To ty mnie teraz okłamujesz! Od Konrada wiesz!

— Gdybym od niego wiedział — odrzekł na to Uriaszewicz podnosząc głos — chyba bym nie potrzebował trawić na poszukiwania całych miesięcy i wciągać do sprawy obcych ludzi!

— Ach prawda — wyszeptał Kienzel zupełnie już załamany, zgaszony. — Wspomniałeś przecie od razu, żeś mnie tak długo szukał, chciałem nawet o to zapytać, ale rozmowa nasza była taka prędka, bezładna. Zresztą w pierwszym momencie to mnie wcale nie zaniepokoiło. Taki pewien byłem, że zna mój adres tylko twój stryj. Teraz wszystko rozumiem!

— Mego stryja?

— Ależ nie! — Kienzla obchodziło tylko jedno; nie przyczyny, dla których Konrad Uriaszewicz tak postąpił a nie inaczej, i jakie mogło być jego wyrachowanie. Zajęczał: — Jestem zagrożony!

Zachwiał się na nogach. Strach raz po raz ściskał jego serce. Wprawiał w nieustanny niepokój jego powieki. Przyspieszony oddech osuszał mu język i wargi.

— Nie ruszam się z domu, pilnuję się, żyję na odludziu, na boku, uważam na każdy krok — zaczął biadać. — Do Mostnik chodzę tyle co na pocztę, jak jest przekaz od pana Konrada. Na kawę wtedy nawet nie zajdę, a jeżeli już, to co najwyżej napić się czegoś na dworcu, gdzie nikt na człowieka nie zwraca uwagi, myśląc, że to przejezdny. I pomimo wszystko! Pomimo tylu ostrożności!

— Przekaz od Konrada?! — powtórzył za Kienzlem Andrzej myśląc, że się przesłyszał.

— Ano z czegoś muszę mieć pieniądze — odparł Kienzel. — Zostawiłem mu trochę swojego złota, jak mi potrzeba, sprzedaję przez niego. Tu bym się bał. A ciekawości ludzkiej. A jakiego napadu.

— Niemożliwe! — szepnął Uriaszewicz.

— Czasem się źle obrachuję i zanim mi nadeślą, zaczyna mi brakować grosza, w takich wypadkach sprzedaję na miejscu jakiś drobiazg,

ot jak teraz — ciągnął Kienzel. — Ale zasadniczo wszystko załatwia mi pan Konrad.

— Zatem pan jest w stałym kontakcie z nim?

— Ale tylko z nim! Tylko z nim! I to od samego początku, jak tu się zakopałem. — Kienzel się zaprzysięgał. — Tylko przez niego również starałem się zaalarmować państwa Lewartów w sprawie „Uczty".

— Również! — pokręcił głową Uriaszewicz.

O samym alarmowaniu Kienzel wspominał. Lecz nie mówił, że przez Konrada Uriaszewicza. Teraz swoją relację dopełnił. Obraz wzajemnych stosunków Konrada Uriaszewicza i Kienzla zarysowywał się coraz przejrzystszy. Tylko że kłamstwo Konrada nie stawało się przez to ani trochę bardziej zrozumiałe. Andrzej pełen niechęci i skrępowania wpatrywał się niemo w olbrzymiego, tykowatego Kienzla, obecnie przygarbionego, o wyrazie twarzy półprzytomnym, bladego, z oczami wysadzonymi na wierzch, z obwisłą dolną wargą, starczego, ogłupiałego, bezradnego, istne wcielenie nieszczęścia. Kiedy chciał ruszyć w stronę domu, nogi mu odmówiły posłuszeństwa, tak że musiał się wesprzeć na Andrzeju. Powlókł się na koniec przed siebie. Sterany, niedołężny, tym razem już bez żadnej maskarady. Aż nagle nowa fala strachu o własną skórę dała mu nowy zastrzyk sił.

— Musisz zabrać stąd „Ucztę". Ale zaraz! — zakrzyczał. — Jak przyjdą tu, trafią do niej, będą mieli jeszcze jeden dowód więcej, żem Kienzel! Dosyć ja się już o nią nakłopotałem. Zabieraj ją stąd co prędzej, nim mnie zgubi!

Niczego nie mógł Kienzel zmienić w swoim położeniu. Tylko to jedno. Dlatego się tego tak uczepił.

— Jak najprędzej! Jak najprędzej! — napierał. — Leży u mnie w piwnicy zasypana gruzem. Bagatela będzie ją wydobyć!

— Dobrze — rzekł Andrzej.

— Ale kiedy? Kiedy?

— Muszę doskoczyć do Warszawy. Zorganizować coś.

— Nie, nie! Natychmiast!

Jeszcze kilka takich krótkich spięć, bezładnych, błyskawicznych. Chaotycznych zaklęć ze strony Kienzla i wysiłków ze strony Uriaszewicza, żeby go utrzymać w granicach zdrowego rozsądku. W pewnym momencie tej szybkiej wymiany zdań wyszło na jaw, że gospodarze Kienzla nie znają rzeczywistej przyczyny, dla której zmienił nazwisko.

— A czy wiedzą coś o „Uczcie"? — spytał Uriaszewicz.

— Myślą, że to w tej puszce jest archiwum.

— Jakie archiwum?

— Jakieś organizacyjne. Polityczne.

— A w takim razie pan ich zdaniem to kto?

Znowu oczy Kienzla stanęły w słup.

— W pierwszej chwili jakby przyszła milicja i te różne sprzeczności wyszłyby na jaw — wyjąkał — mogą stracić głowę.

Trzęsącym głosem podniósł lament:

— I powiedzą, żem Kienzel. Stwierdzą, że mnie znają sprzed wojny, Jak przy rewizji zobaczą, że w puszce, którą razem ze mną chowali, nie ma żadnych dokumentów, tylko obraz, może im się samym wydać sprawa podejrzana, mogą się przestraszyć, mogą zacząć mnie sypać, mogą mnie wydać.

Dla Uriaszewicza stawało się rzeczą coraz jaśniejszą, że jeśli najdzie na Kienzla podobny paroksyzm strachu, gotów wynieść „Ucztę" z domu, rzucić gdzie na szosę, albo doniósłszy do jakiejś rzeki, puścić z wodą.

— Panie dyrektorze, jutro jadę do Warszawy — rzekł. — Dwa, trzy dni cierpliwości. Przejmę od pana „Ucztę".

* * *

Do Jeżowej Woli Uriaszewicz powrócił przed samą kolacją. Zmachany, zmęczony, wyczerpany długim marszem i obiema rozmowami, rozmowami szarpiącymi nerwy, zarówno tą ostatnią z Kienzlem jak i tą poprzednią, którą miał z wikarym. Kiedy zbliżał się do szkoły, owiały go zapachy wygrzanego upalnym dniem parku i ogrodu. Przeszedł od bramy do kancelarii nie zatrzymując się. Najchętniej udałby się wprost do siebie, żeby się położyć, bez gadania, bez jedzenia, bez mycia, żeby jak najprędzej zasnąć. Musiał się jednak z dyrektorem rozmówić. Otworzył drzwi do kancelarii, a tam aż huczało od rozmów. Śmierć Kuszla, strzelanina nocna, próba wdarcia się do fabryki nie schodziła ludziom z ust. Każdy już tu wiedział o ucieczce księdza Sposa, o tym, że dzień napadu na fabrykę nałożył się z dniem odpustu bynajmniej nie przypadkowo, o tym, że to był plan. Potwierdzały to różne okoliczności, teraz dopiero wychodzące na jaw. Niejasne domysły, przypuszczenia, obawy tego czy owego człowieka z okolicy, które nagle, błyskawicznie nabrały rumieńców życia, rumieńców od razu strasznych, krwawych. Uriaszewicz przysiadł na parapecie okiennym. Ozwał się gong. Większość nauczycieli jadała razem z uczniami. Kancelaria więc opustoszała.

Wtenczas Andrzej zatrzymując w progu dyrektora Tomczyńskiego, który szedł do siebie, poprosił o kilkodniowy urlop.

— A akademia pojutrze! — zgorszył się Tomczyński. — Nie będzie pan na akademii?

— Niestety!

— Cóż pana tak nagle przypiliło?

— Muszę jechać!

— Siłą pana nie będę zatrzymywał. Trudno.

— Dziękuję bardzo — ukłonił się Uriaszewicz. — W takim razie dobranoc.

Już pożegnali się. Raptem dyrektor jeszcze sobie przypomniał:

— Ale, ale, gdzie to się pan tak przez cały dzień podziewał?

— Ot, tak sobie chodziłem.

Powiedziawszy to, Uriaszewicz podniósł na Tomczyńskiego klejące się oczy, zaczerwienione od ziarenek piasku nawianych przez wiatr, przełknął ślinę i po kilku niemych sekundach, dodał:

—W swoich sprawach osobistych, nie w sprawach szkoły.

Przetrzymał na sobie nadal pytający wzrok Tomczyńskiego. Upłynęła chwila, a zdawała mu się wiekiem. Na koniec Tomczyński rzekł:

— Jutro posyłam wózek na kolej po pana Śmieleckiego, na siódmą, pociąg do Warszawy ma pan o ósmej, przez tę godzinkę niech pan nie zapomni zwolnić się z kursów w fabryce na te parę dni, jeżeli już pan tego nie uczynił. Dobrej nocy!

Rankiem, przed szóstą, kiedy Andrzej Uriaszewicz schodził na dół z teczką w ręku natknął się ze zdziwieniem na dyrektora Tomczyńskiego.

— Co tak wcześnie? — przywitał go ze zdziwieniem.

— Cóż, czasem trzeba wcześniej wstać.

Spojrzał na bagaż Andrzeja.

— Tylko tyle bierze pan ze sobą? — zapytał.

— Tylko — Andrzej podniósł teczkę w górę.

— No, to miłego spędzenia czasu i niech pan pamięta zawczasu wysłać depeszę o konie.

— Będę pamiętał.

Siadł na wózek. Zaledwie jednak znalazł się za bramą, nagle wzrok Tomczyńskiego skierowany na jego teczkę, pytanie Tomczyńskiego o bagaż, jego ranne, wyjątkowo tak wczesne wstanie, wszystko to razem wzięte zaniepokoiło gwałtownie Uriaszewicza. Jakiż mógł być cel? Jakiż tego sens? Mogło istnieć tylko jedno tego wytłumaczenie. Że zerwał

się, by sprawdzić, czy Andrzej nie wyjeżdża z wszystkimi rzeczami, czy zatem nie ucieka. Uriaszewicz zatrząsł się cały na myśl, że jego zachowanie w ostatnich dniach mogło obudzić w Tomczyńskim podejrzenia. Uspokoił je tym, że wyjeżdżał bez rzeczy, czy tylko uśpił? I czy tylko w jednym dyrektorze Tomczyńskim je obudził? Poczuł w pewnym momencie, że lepiej wrócić. Że w wytworzonej sytuacji powinien być na miejscu. Że jeszcze ją pogarsza swym wyjazdem. Ale po sekundzie wyśmiał się sam z siebie. Przegnał z serca wszystkie strachy i myśli, w których z kolei ujrzał majaki. I pojechał na dworzec.

Tadeusz Breza

Fragmenty powieści pt. „Uczta Baltazara".

SPRAWA FELISIAKA

Jula stanął przed starymi, dobrze mu znanymi drzwiami. Dotknął palcem białego guziczka i... zawahał się. Serce poczęło mu bić gwałtownie. Zdawało mu się, że słyszy kroki. Stał długo patrząc na porysowane nożem, popisane i pokreślone chemicznym ołówkiem drzwi. Na dole w rogu spostrzegł swoje signum JF. Wszystko to jego robota. To wspomnienie beztroskich lat jego życia. To szkoła, piłka, proca i scyzoryk. To pogubione książki, potargane zeszyty, brudne i podarte ubranie.

Miał sześć lat, kiedy Niemcy uderzyli na Polskę. Akurat zaczynał chodzić do pierwszej klasy. To było wydarzenie, które pamięta dokładnie. Przed tym, to tylko mętne niby sen wspomnienia. Ochronka, wiadereczko i piasek. Wszystkiego się wtedy bał: olbrzymi ludzie, olbrzymie domy. Nie wierzył ojcu, który zapewniał go, że i on urośnie, i też będzie taki duży. A chociażby nawet ojciec mówił prawdę, to na to trzeba czekać całe lata.

Okupację przeżył w Związku Radzieckim. Chodził do szkoły, uczył się nieźle.

W 48 r. przyjechał z rodziną do Siedlec i za tymi drzwiami, na tej klatce schodowej, na tym podwórzu, upłynęły cztery lata gry w piłkę, scyzoryki i wreszcie boksowanie z owiniętymi w szmatę rękami. I stąd przed rokiem uciekł. Uciekł dlatego, że chciał się nauczyć boksu, żeby takiemu chamowi Wolskiemu nie dać się pokrwawić. Bo co innego dostać od prawdziwego boksera, a co innego od takiego garbatego gołębiarza. Wstyd. Wstyd tym większy, że na oczach kolegów.

Ponieważ przed maturą nie mogło być mowy o żadnym wyjeździe, a w Siedlcach sekcji bokserskiej nie było, musiał po prostu zwiać. Bo przecież nie będzie czekał dwóch lat, które dzieliły go od matury. A potem wróci i skończy szkołę, która przygotuje go do zawodu. Długo zastanawiał się, dokąd pojedzie.

Pewnego ranka, zamiast do szkoły poszedł na dworzec kolejowy. Nazajutrz rano był już we Wrocławiu.

Przez cały dzień dowiadywał się o kluby sportowe. Ponieważ najbliżej był Włókniarz, poszedł tam wieczorem. Wsunął się niepostrze-

żenie na salę i stał w kącie. Kiedy gospodarz wyrzucał wszystkich nieproszonych widzów, nie ominął i jego. Nie pomogły prośby ani protesty. Stał pod drzwiami, zaglądał przez okno. Po chwili znów się wśliznął, ale tym razem wyproszono go ordynarniej, bo z pomocą nogi. Kiedy po raz trzeci wszedł do środka, zanim gospodarz go zauważył, podszedł do trenera i powiedział, że chce się uczyć boksu. Trener uśmiechnął się pobłażliwie.

— Boksu... dobrze. Zobaczymy, czy się nadajesz.

Jula chciał się rozebrać, ale trener powiedział, że pierwsza lekcja boksu odbędzie się w ubraniu. Kazał mu nałożyć rękawice.

Jula po raz pierwszy nie tylko wkładał, ale i widział rękawice bokserskie. Serce waliło mu wtedy jak młot, kolana lekko drżały. Chłopcy przestali trenować, ucichli. Wymieniali tylko łobuzerskie uśmiechy i szydercze spojrzenia.

Z grupy wyłonił się chłopak wzrostu Juli, ale szczuplejszy i bledszy. Obrzucił go ironicznym spojrzeniem, mrugnął porozumiewawczo do kolegów, którzy podjudzali go z kąta i potarł otwartą rękawicą nos. Jula przypuszczał, że będzie próbował jego siły lub pokazywał zasady.

Spod ściany doleciał gruby głos Pinkla: „Czas".

Blady, żylasty chłopiec podszedł do Juli, ujął niezgrabnie jego prawą dłoń swoimi dwiema i odsunął się. Jula nie rozumiał, co to znaczy. Nagle otrzymał błyskawiczny podbródkowy, po którym z zarzuconą do tyłu głową i rozkrzyżowanymi rękami runął na plecy. Uderzył się tak silnie, że od razu oprzytomniał. Wstaje, nie wie, co się stało. Krajewski czai się. W oczach ma złowrogi błysk. Chce go znokautować. Wypuszcza straszliwe ciosy. Jula z trudem utrzymuje równowagę. Patrzy na bladą twarz przeciwnika i już teraz wie, że to on go tak bezlitośnie okłada. On jest dobrym bokserem. Jula idzie do przodu, chce go choć raz uderzyć. Jest tak blisko i jakoś nie może, bo kiedy się zamachnie, otrzymuje dwa ogłuszające ciosy, po których oczy zachodzą mu mgłą. Jest mu gorąco. Z nosa po koszuli i marynarce kapie krew. Rozmazuje się po twarzy. Spod ściany dolatują go śmiechy i drwiny: „chcesz być bokserem?"

Jula, oszołomiony i zmasakrowany marzy: „czy kiedyś opanuje sztukę bokserską tak jak jego przeciwnik?" Jest dumny, że walczy z prawdziwym bokserem.

Podchodzi jakiś drągal i przerywa walkę. Krajewski jest niezadowolony. Jeszcze chce walczyć.

— Wstydziłbyś się — drągal gniewnie patrzy na niego.

— Masz dość boksu? — dolatują spod ściany głosy.

— A jednak to jest materiał — dorzuca trener.

Drągal zabiera Julę do umywalni.

— Twardy jesteś — mówi.

Jula nie rozumie, co to znaczy. Rozumie natomiast, że lekcja boksu skończona.

— Czy to jest dobrze czy źle? Powiedz, będzie ze mnie bokser?

Drągal potwierdził z przekonaniem i Jula poczuł do niego tyle sympatii, że pożyczył mu tysiąc złotych. Drągal wziął go do siebie. Mieszkał sam. Nazywał się Piasecki.

Wszyscy byli bardzo zdziwieni, kiedy Jula zjawił się na następnym treningu i nawet poczuli dla niego sympatię. Trener poklepał go po plecach i pozwolił się rozebrać.

Od tego czasu Jula regularnie uczęszczał na treningi. Trenował z zapałem. Następny szparing miał dopiero za miesiąc. Czuł się zupełnie inaczej, chociaż znów szparował z Krajewskim. Ale Krajewski był teraz inny. Mimo że przewyższał go jeszcze technicznie, nie polował na cios, nie szedł na hura. Walczyli bardzo delikatnie i fair.

Mijały miesiące. Dla Juli nie było tajemnicą, że ma duży talent. Mówiono o nim w klubie, na treningu i wśród kibiców. Pisała o nim prasa. Zawodnicy odnosili się do niego z szacunkiem, trener poświęcał mu wiele czasu.

Po dwóch miesiącach pierwszy start. Wypadł doskonale. Wygrał z niezłym przeciwnikiem przez t. k. o. Prasa pisała o jego bojowości i ciosie, ale wyrażała obawy, że się zmarnuje, bo uderzyła mu „woda sodowa". Tak w istocie było, Jula był jeszcze o klasę gorszy od Kruchego czy Walugi, ale zarozumiałością przewyższał wszystkich.

W dni wolne od treningu grał w ping-pong, a wieczorami handlował biletami do kina. Tak mijały miesiące i było mu dobrze. Następne dwie walki znów wygrał i wtedy zarozumiałość jego doszła do zenitu. Zatrzymał się w rozwoju. Wydało mu się, że wszystko wie i umie. Wtedy trener zrobił eksperyment: wystawił go przeciw Kruży. Jeżeli wygra, sława jego rozejdzie się po całej Polsce. Wejdzie do kadry. Niestety eksperyment się nie udał. Jula ruszył jak zwykle odważnie, ale wpadł na kontrę i w pierwszej rundzie zniesiono go z ringu. Kiedy oprzytomniał, ubrał się i pojechał do domu. Dość ma boksu. Temu gołębiarzowi i tak już gębę skuje. A z ojcem się dogada i będzie wszystko w porządku. Ojciec Juli od 48 r., od czasu kiedy z robotnika kolejowego awansował na telegrafistę, zaczął się żywiej interesować sportem.

Stoi teraz przed drzwiami domu. Długo stoi. Podnosi drżącą rękę, ledwie dotyka guziczka i za drzwiami rozlega się przeraźliwy głos dzwonka. Po chwili do drzwi suną ciężkie kroki. Zgrzyt zasuwki i w uchylonych drzwiach ukazała się zgnębiona twarz matki. Twarz ta była martwa. Nie wyrażała ani zdziwienia, ani radości. Jula wahał się, lecz kiedy otworzyła szerzej — wszedł. Uderzył go zapach lekarstw i panujący nieład. Chciał wejść do pokoju, lecz w progu ujrzał zsiniałe wargi leżącego w łóżku ojca. Zatrzymał się. Koło łóżka stoją krzesła z lekarstwami. Mimowoli cofnął się i wszedł do kuchni. Matka myła naczynie. Od czasu jak wszedł, nie zamieniła z nim ani słowa.

Jula zdjął kurtkę i podszedł do umywalki. Zaniepokoił go stan ojca. Nie ulega kwestii, że jest ciężko chory. Co to za choroba i czy dawno ojciec leży? Wejdzie jednak do ojca. Musi z nim porozmawiać. Odkręcił kran. Spojrzał na matkę. Podchodziła do niego z taką jak na wstępie obojętnie martwą twarzą.

— Wróciłeś, synu marnotrawny...

Jula był zaskoczony takim wstępem.

— Skąd mama wie, że wróciłem? — odpowiedział.

— To po coś przyjechał?

— W odwiedziny...

— Po pieniądze?

Jula przewiesił kurtkę przez ramię, spojrzał na obudzonego rozmową ojca i wyszedł bez słowa. Na schodach usłyszał płaczliwe wołanie matki wymawiającej jego imię. Nie reagował. Z daleka dopiero spojrzał w okno pokoju, w którym leżał ojciec i serce poczęło mu walić, jakby za chwilę miał stoczyć decydujący o jego karierze sportowej mecz.

Takie powitanie po półrocznej nieobecności było dla niego cięższe niż ostatnia porażka. Postanowił wrócić do klubu.

W kuchni, drżąc na całym ciele i wycierając fartuszkiem oczy siedzi matka. Martwa i obojętna jej twarz uległa gwałtownej zmianie.

Nie omijając kałuży wody Jula biegnie. Po raz pierwszy spóźnił się na trening. Jak się teraz usprawiedliwi? Biegnie coraz prędzej. Otwiera drzwi i... zatrzymuje się zdziwiony. Nikt nie trenuje? Dlaczego? Co się stało? Chłopcy stoją i palą w milczeniu papierosy. Są wyraźnie przygnębieni. Nie zauważyli go nawet. Jula podchodzi ostrożnie na palcach i przyciszonym głosem pyta, co się stało. Nikt mu nie odpowiada. Ponawia pytanie i nadal nie otrzymuje odpowiedzi. Chłopcy zupełnie nie reagują, jakby nie słyszeli. Patrzą na bladego Krajewskiego, który szura butem po podłodze i milczą.

— Ja mogę w ogóle nie walczyć... mnie nie zależy — wzrusza obojętnie ramionami.

— Ja też nie będę walczył — powiedział Kruchy.

— W ogóle nie będziemy przychodzić. Będzie trenował Drągalski, Błoński i Piasecki.

— We trójkę na ring wyjdą — zaśmiał się Kruchy.

Jula nic nie rozumiał. Wybałuszył oczy i prawie nie oddychał. Ciągle szturchając Kruchego pytał, o co chodzi.

— Trenera usunęli — odburknął wreszcie Kruchy.

— Kto go usunął? — ledwie wybełkotał Jula.

— Jakto kto?... Zarząd.

— No, ale powód.

— Powód — mruknął Kruchy. — Chodzili ciągle, buntowali zarząd przeciwko trenerowi...

— Kto buntował?

— Jakto kto... Błoński, Drągalski i ten twój... Piasecki. Ciągle niezadowoleni...

— A gdzie oni są?

— Poszli witać nowego trenera...

Jula głęboko odetchnął. Czuł, jak wzbiera w nim złość, jak mięśnie doznają dziwnego skurczu. Jula był bardzo do Króla przywiązany. Przecież on go nauczył boksu.

— Chodźmy do zarządu — zaproponował.

Klub Sportowy Włókniarz założony został w 46 roku przy Wrocławskich Zakładach Włókienniczych, początkowo pod nazwą Zryw. Zarząd składał się z przedwojennych działaczy, dla których był rozrywką i przedsiębiorstwem dochodowym. Eksploatując energię młodości urządzali pijaństwa, przegrywali w karty, utrzymywali kochanki.

Kiedy nad klubami roztoczyły opiekę zrzeszenia, taki stan rzeczy nie mógł trwać dłużej. Zarząd usunięto. Pozostał jedynie trener, który również miał zły wpływ na zawodników, ale był bardzo z chłopcami zżyty i usunięcie go mogło spowodować katastrofę w sekcji. Część zawodników widziała zły wpływ trenera. Zdawali sobie sprawę, że usunięcie Króla może nastąpić tylko wtedy, gdy będą mieli na jego miejsce lepszego. Należało czekać na kadry.

Kiedy jesienią 50 roku Zarząd Główny Zrzeszenia przydzielił im kwalifikowanego trenera, nie zawahali się przed zwolnieniem Króla.

Bokserzy gromadnie wtargnęli do zarządu. Przewodniczący nie mógł uspokoić wzburzonych chłopców, którzy nie pozwalali mu dojść do słowa.

— Przecież wiecie, że uwielbiam boks — starał się ich przekrzyczeć. — Wiecie. — Bokserzy ucichli.

— Król nie był odpowiednim trenerem.

— Jakto nieodpowiedni. A komu zawdzięczamy sukcesy?! — krzyknął Kruchy.

— Zasługi niewątpliwie ma, ale to nie zmienia faktu, że często przychodził na trening w stanie nietrzeźwym.

— To jest jego prywatna sprawa.

— Mylicie się, koledzy — zaprotestował przewodniczący. — Trener musi być wychowawcą.

— A kto mnie nauczył boksu? — krzyknął wzburzony Jula. — To jest świństwo.

— Brawo — przyklasnęło kilka głosów.

— Inny trener będzie nas wszystkich przestawiał według swojego systemu, i co? Poziom się obniży... sekcja się rozleci...

— I tak się rozleci. Jeżeli Król nie wróci, nie będziemy trenować.

— Pewnie, że nie. Nie ma co dyskutować — powiedział Krajewski człapiąc ku drzwiom. Za nim ruszyli Kruchy, Felisiak i reszta.

Na salę treningową wszedł Czarny z nowym trenerem. Był nim Chudzicki. Niewielki, szczupły, o łagodnym spojrzeniu. Przyjrzał się gromadzie chłopców i krzyknął:

— Czołem koledzy!

Nie odpowiedzieli. Wyrwał się tylko Pinkiel. Spojrzeli na niego spode łba.

Chudzicki był tym zaskoczony. Patrzył ze zdziwieniem na niezadowolone twarze bokserów.

— Co to ma znaczyć?... — pytał czerwony ze złości kierownik.

Wszedł między bokserów i rozglądał się w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Wiecie dobrze, o co nam chodzi — odpowiedział Kruchy.

Czarny opanowując się począł mu coś tłumaczyć.

Chudzicki domyślał się, o co im chodzi. Musi bardzo umiejętnie podejść, musi im zaimponować — inaczej ich nie zdobędzie.

Już od 7 roku życia, od czasu kiedy zaczął chodzić do szkoły, Chudzicki interesował się sportem pięściarskim.

W 35 roku rozpoczął karierę bokserską. Do 39 roku stoczył 86 walk. Trzy razy przegrał przez ko., pięć razy przez poddanie się i siedemna-

ście na punkty. Nie zrażała go najgorsza porażka. „Kocham ten sport" — tak sam określał swój stosunek do boksu. Nie znaczy to, że nie widział jego ujemnych stron i nie wiedział o sprawach zakulisowych.

Dwa lata okupacji przesiedział w Waldenbergu. Po wyzwoleniu zmuszony był opuścić szeregi zawodników ze względu na stan zdrowia. Z boksem jednak nie mógł się rozstać. Postanowił zostać trenerem. Przeszedł szkolenie i zajął się nowicjuszami w jakimś prowincjonalnym miasteczku koło Warszawy. To jednak nie dawało mu zadowolenia. Uczył się. Studiował radzieckie podręczniki i nieraz całymi godzinami stał przed lustrem szukając nowych tricków technicznych. Ludzie uważali go za maniaka, za romantyka, a niektórzy twierdzili, że ma napady. Wszyscy kłaniali mu się ze strachu.

Latem 50 roku przeszedł w Warszawie kurs unifikacyjny i został trenerem związkowym; wówczas przydzielono go wrocławskiemu Włókniarzowi.

— No cóż, koledzy, kto chce trenować, proszę się rozebrać — powiedział Chudzicki podchodząc do nich.

Spojrzeli na niego z ukosa. Nowak mruknął:

— On nie winien. Kazali mu, to przyjechał.

— No, panowie, na co czekacie? — przynaglał Czarny, ale nikt się nie rozbierał.

— Nie trenujemy i koniec — powiedział Kruchy. — Niech trenują ci, którzy walczyli o zmianę — spojrzał na Błońskiego. — Proszę. Raz na miesiąc przychodzi na trening i mądrzy się. Dlaczego o zmianach nie decydują ci, co regularnie trenują?

— Bo wy jesteście zaślepieni Królem i nie widzicie jego złych stron. On nie jest dobrym trenerem.

— Ale dał nam styl, dzięki któremu odnosimy sukcesy.

— Ma zły wpływ wychowawczy — wtrącił Błoński. — Musicie zrozumieć, że był wrogiem przemian w sporcie, wrogiem uchwał GKKF. Zamiast umasowiać sport bokserski, wyrzuca tych, którzy nie mają zadatków. A tak jak on Felisiaka przyjął... czy to jest metoda? A widzieliście jaką awanturę dziś w tramwaju Obuch zrobił? Czyja to jest wina?

Jula poczerwieniał. Nie odezwał się jednak. Wywiązywała się coraz większa kłótnia, a Chudzicki trenował dwóch zapalonych nowicjuszy.

Błoński, Piasecki i Drągalski pozyskali wielu zwolenników, którzy zabrali się z zapałem do treningu. Niektórzy zachowywali się obojętnie.

Trenowali, bo widzieli w Chudzickim lepszego fachowca. Część — między nimi i Jula — nie chcieli zmieniać zdania i swoją nieugiętą wolę postanowili demonstrować właśnie na treningu.

Kiedy weszli na salę, ujrzeli kilkanaście nowicjuszy stawiających pierwsze kroki.

Stanęli pod ścianą i poczęli się z nich wyśmiewać.

Na salę napływali wciąż nowi ludzie. Ci chłopcy jednak mają nosa. Jeszcze prasa nic na temat nowego trenera nie pisała, a ich już przyszła cała zgraja.

Pod koniec treningu na salę wpadł goniec z klubu. Był zgrzany. Podszedł do Felisiaka i podał mu zaklejoną karteczkę, którą Jula nerwowym ruchem otworzył i natychmiast, nie żegnając się, wyszedł. Chłopcy byli zdumieni. Kilku wybiegło za nim.

— Ojciec mu umarł — Wracali przygnębieni.

Świetlica klubowa pełna młodzieży bokserskiej. Przemawia przewodniczący Zarządu Klubu. Właściwie nie jest to przemówienie, lecz rodzaj pogadanki. Chłopcy przerywają mu, wtrącają swoje uwagi. Na ścianach wiszą jaskrawe proporce. Niżej — zdjęcia bokserów, piłkarzy, pływaków.

— Przystępujemy do następnego punktu zebrania — powiedział przewodniczący. Po czym zapytał: — Co wy tam wyprawiacie?

— Nie chcą trenować — wyjaśnił Czarny.

— Słuchajcie koledzy, jeżeli wam trener nie potrzebny, powiedzcie. Odeślemy go z powrotem. Sprowadziliśmy go dla was... mnie on nie jest potrzebny.

— Ale dlaczego robicie to bez nas? — przerwał Kruchy.

— Znam was i wasz stosunek do Króla. Nie zgodzilibyście się. Prawda? A Król jednak nie był odpowiednim trenerem. Wam jest przykro, dobrze wam było z nim. Piliście razem...

Bokserzy zaprotestowali.

— Jakto nie? Czy raz go spotkałem z Obuchem w knajpie?

— Z Obuchem to co innego.

— Nie koledzy. Obuch jest naszym zawodnikiem i my musimy go ratować. Nam nie wolno rezygnować z tego chłopaka. To jest niewłaściwe podejście: „z niego i tak nic nie będzie"... A Felisiak... na złe drogi schodzi.

— Felisiak przecież nie pije...

— Jeszcze nie — powiedział łagodnie przewodniczący — ale jak zacznie pić, może już być za późno.

Zawodnicy mruczeli coś pod nosem. Przewodniczący dodał:

— Koledzy, nie ma sensu stawać w poprzek. Chudzicki jest lepiej wyszkolonym trenerem, a wy nie jesteście nowicjuszami.

— A co z Królem?

— Król jest w Warszawie. Na kursie.

— A będzie mógł trenować?

— Jeżeli zmieni swój stosunek do sportu.

Jula wrócił do domu zdruzgotany psychicznie. Po boksersku to się nazywa: wykończony. Może dlatego, że na pogrzebie zachowywał się dzielnie, tak jak przystało bokserowi. Nie omieszkał również pouczyć Wolskiego, że lewy prosty najkrótszą drogą musi zmierzać do celu. A kiedy zilustrował to na przykładzie, temu gołębiarzowi polała się krew z nosa. Wtedy pocieszył go, że to zdrowo i poszedł na dworzec.

Dopiero w pociągu poczuł ogromny żal. Uświadomił sobie, że stracił nie tylko ojca i przyjaciela, ale i jedynego człowieka, któremu mógłby się zwierzyć ze wszystkiego. Uciekając z domu myślał: „Jeżeli mi gdzieś tam bieda dokuczy, wrócę do domu i u ojca zawsze znajdę zrozumienie". Teraz już nie wróci do Siedlec nigdy.

Po paru dniach przywlókł się na trening. Chłopcy nie chcąc go nękać nie pytali o nic. Jula nie miał ochoty ani się rozbierać, ani trenować. Jedynie Chudzicki prosił, żeby zaczekał. Chce z nim wyjść. Felisiak był obojętny, zrezygnowany.

Chudzicki prędko zakończył trening. Zdał sprzęt, przebrał się i wyszli. Mówił o najbliższych meczach, o narybku i nowych talentach. Felisiak odpowiadał półsłówkami. Najwidoczniej nie miał ochoty na rozmowę. Sam nie wiedział, czego mu brakuje. Szli ulicą Kasprzaka. Nad nimi rozlewało się zielonkawe światło gazowych lamp.

— Czy to wasz brat boksuje w Poznaniu?

— Nie mam brata — odpowiedział Felisiak. Po czym dodał: — Mam tylko matkę — urwał. Czuł, że go coś dusi od wewnątrz. Dodał prawie szeptem: — Przedwczoraj pochowałem ojca. — Więcej nie mógł mówić. Wsadził ręce w kieszenie i szedł ze spuszczoną głową.

— No i jak teraz dacie sobie radę?

Jula nie odpowiedział.

— Pan tu skręca? — zapytał trenera.

Znikła w nim potrzeba samotności. Chciał, żeby go trener jeszcze o coś z osobistych spraw zapytał. Żeby mu dał okazję do wypowiedzenia żalu.

— Tak... a może zajdziesz do mnie?

Felisiak wahał się przez moment.

— Mieszkasz u Piaseckiego?

— Tak.

Zdziwił się, skąd Chudzicki wie o tym.

— A co z matką? — zainteresował się znów trener. — Przecież została sama. — Jula przypomniał sobie, jak go przywitała, kiedy przyjechał pierwszy raz. Ale to nie jej wina. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

Weszli do ciemnej klatki schodowej.

— Uważaj — Chudzicki przytrzymał go za ramię. Zaświecił zapałkę. — Tu są bardzo strome schody — wyjaśnił.

Otworzyła im żona Chudzickiego. Wysoka, gładko uczesana blondynka. Weszli do małego pokoiku. Stało w nim biurko, kozetka i parę krzeseł. Na oknie zobaczył boksera z brązu, a przy drzwiach leżała para rękawic.

Jula nie wiedział, jak to się stało, że opowiedział cały swój życiorys, ale zrobiło mu się lżej.

Żona Chudzickiego podała kolację. Jula był trochę skrępowany, ale po paru słowach zachęty, trzymając niezgrabnie widelec, począł jeść z apetytem.

— A jak z twoją szkołą? — zapytał Chudzicki wysłuchawszy go do końca.

— Zacząłem chodzić do liceum w Siedlcach.

— I nie myślisz kończyć?

Felisiak skrzywił się.

— Wiecznie boksować nie będziesz... — tłumaczył trener. — Czy myślałeś już o swojej przyszłości?

— Ja nie dam rady... ja łaciny nie mogę... Nie nadrobię.

Chudzicki zastanowił się.

— A do jakiejś zawodówki? Na przykład do Budowlanki.

— A z czego będę żył? — wykręcał się Jula.

— Będziesz pracował przed południem, a po południu do szkoły. Tak jak wszyscy.

— A kiedy na trening?

— I o tym pomyślimy, ale sprawa szkoły jest ważniejsza.

Jula był tym zaskoczony. Po raz pierwszy, odkąd boksuje, słyszy, że szkoła jest ważniejsza niż punkty. I z podświadomości gdzieś wypełzła chęć zdobywania wiedzy.

— No i matkę musisz sprowadzić. Cóż, ona tam sama. Ile ma lat?

— Trzydzieści osiem.

— Zdrowa?

— Isjasz ma. Ale gdzieś w kasie mogłaby pracować... — nie dokończył. Matka zawsze marzyła o większym mieście, w którym mogłaby znaleźć odpowiednią pracę.

— Jesteś jedynakiem — pijąc harbatę mówił Chudzicki. — Nie możesz matki zostawiać.

— A gdzie będziemy mieszkać?

— Aha — mruknął trener. — Rzeczywiście problem. No, ale pij herbatę. Jakbym ci nalał czego innego, to byś się nie namyślał — zaśmiał się.

— Słowo honoru, że więcej już nie będę pił — zaklinał się Jula. Potem nieśmiało spojrzał na zegar. Drgnął.

— Ty co?

— Ja już muszę, panie trenerze...

— Co? Chcesz iść? Umówiłeś się?

— Nie — wyjął z kieszeni bilety. — Muszę sprzedać.

— Ty wiesz, że tego nie wolno robić?

— Panie trenerze, jak Boga kocham, na śniadanie jutro nie mam.

— U mnie zjesz śniadanie, a potem pójdziemy do klubu.

— Ale, panie trenerze — mówił błagalnym głosem. — Zmarnują się bilety.

Chudzicki porwał bilety i wrzucił do kosza. Potem wyjął pieniądze i spytał, ile jest winien, ale Felisiak nie chciał rozmawiać.

Przewodniczący zarządu klubu rozkładał ręce.

— Rozumiem, macie rację, trzeba mu pomóc, ale w tej chwili grosza w kasie nie ma. Za jakiś miesiąc. Po pierwszym.

Chudzicki nie ustępował.

— Złóżcie się, spod ziemi wyciągnijcie, a musicie mu dać jakąś pomoc. Czy wiecie, z czego żyje?

Przewodniczący milcząco grzebał w biurku.

— Jest niewielka kwota przeznaczona na sprzęt. Jeżeli się obejdziecie...

— Dawajcie — Chudzicki podszedł do biurka. — Jeszcze miesiąc potrenujemy tym sprzętem, który mamy. Sprawa Felisiaka jest ważniejsza.

Usiadł zadowolony na krześle.

— Czy jeszcze coś? — zapytał przewodniczący.

— Tak. Felisiakowi umarł ojciec. Została matka. Sama. Musi ją tu sprowadzić.

Przewodniczący kiwał głową.

— Chodzi o mieszkanie.

— Więc co, ja jestem urząd mieszkaniowy? — zirytował się.

— Nie, ale życie prywatne zawodnika musi nas obchodzić.

— Więc co, mam go na mieszkanie wziąć?

— Tylko na zimę. W tym środowisku nie może dłużej pozostać.

— Ale...

— Ja wiem, że nie ma miejsca, ale stosunkowo to i tak macie większe mieszkanie niż... — Przerwał telefon. Przewodniczący podniósł słuchawkę, coś zapisał, podziękował i odłożył.

— Następnie trzeba przeznaczyć jakąś sumę na remont tego mieszkania nad świetlicą.

— No, tego już nie możemy zrobić. Prywatne mieszkanie za klubowe pieniądze remontować?

— To będzie mieszkanie klubowe. Taki pokój gościnny. I tam go ulokujemy. Tylko zapiszcie sobie, bo zapomniecie. A jak z Obuchem? W Betoniarni on nie może pracować. Trzeba mu dać pracę w takim zakładzie, gdzie jest dużo sportowców. On nie usiedzi w środowisku ludzi nie znających się na sporcie.

— Tak, myślałem nad tym. W warsztatach komunikacyjnych chcę go ulokować. Przewodniczący znów począł czegoś szukać.

— Czy jeszcze coś? — zapytał żartobliwie.

— Jeszcze taka drobna sprawa. Zadzwońcie do DOSZ, żeby Felisiaka do Budowlanki przyjęli.

Przewodniczący westchnął.

— Zaraz?

— Najlepiej zaraz. Żeby roku nie zmarnował. Błoński mu da pomoc z rosyjskiego, a Drągalski z rysunków technicznych.

— No dobrze, a kiedy będzie trenował?

— Wieczorem. Będę z nim indywidualnie przerabiał.

Przewodniczący uspokoił się.

— Reprezentanta z niego zrobię — powiedział Chudzicki żartobliwie, ale z głębokim przekonaniem.

Edward Kurowski

LELEWEL

Mimo wczesnej pory sień domu Lelewela na Długiej zalegał już zmrok. Na schodach było jeszcze ciemniej. Kozłowski znał jednak dobrze wytarte stopnie wiodące na pierwsze piętro do mieszkania profesora. Namacał po ciemku klamkę i wszedł do przedpokoju. Przywitał go stary służący Lelewela, Gabriel, pochylony jak jego pan i noszący takie same wąsy.

— Profesor w domu? — zapytał Kozłowski.

— A jest, jest — odpowiedział Gabriel machnąwszy ręką. — Jego tylko wtedy nie ma, kiedy się obiad podaje na stół. Gdzieś się zawieruszył, przyszedł późno z jakimiś książkami pod pachą... i siedzi nad szpargałami — zakończył machnąwszy znowu ręką w stronę drzwi.

Kozłowski wszedł bez pukania, jak to było przyjęte u profesora.

Długi pokój tonął w półmroku. Lelewel siedział przy ni to stole, ni to biurku ustawionym dla światła między obu oknami. Głowy profesora nie było widać. Tkwiła wśród dwóch stosów książek, wznoszących się piramidą po obu stronach stołu. Kozłowski stąpał mocno po skrzypiących deskach podłogi, by zwrócić na siebie uwagę profesora, ale naderemnie. Uczony był pochłonięty pracą.

— Dobry wieczór, profesorze — zawołał stanąwszy tuż obok stołu.

Lelewel podniósł znad rękopisu szeroko otwarte oczy i spojrzał nieprzytomnie na Kozłowskiego. W pierwszej sekundzie nie poznał go, dopiero po chwili podniósł się z krzesła i wyciągnął do niego obie ręce.

— A, witaj, Kozłowski, kopę lat. Co cię sprowadza do Lelewela? Mów, serdeńko, bo sobie w żaden sposób nie mogę wytłumaczyć twoich odwiedzin.

— Góra nie chciała do Mahometa, więc Mahomet przyszedł do góry — rzekł Kozłowski wzruszając ramionami.

Lelewel wciąż jeszcze nie wypuszczał go z objęć, poklepywał ręką po plecach i wlepiał weń duże oczy, jak gdyby chciał wyczytać z jego ogorzałej twarzy, co go skusiło do tej niezwykłej wizyty.

— Nie wykręcisz się żarcikami, Kozłowski, zaraz mi tu powiedz, co cię sprowadza.

— Pozdrowienia ci przynoszę, profesorze.

Lelewel wypuścił go z swych rąk, cofnął się o krok i nie odrywając od niego oczu zawołał:

— Pozdrowienia dla mnie? Ty? Od kogo?

— Od Towarzystwa Patriotycznego.

Na wspomnienie Klubu Lelewel nastroszył się, zaciął usta i opuścił wzrok.

— Jak to od Towarzystwa Patriotycznego? — wyrzucił z siebie niemal szorstko. — Nie rozumiem. Tłumacz się jaśniej.

— Całkiem zwyczajnie, profesorze — wyjaśnił Kozłowski swobodnie. — Było dziś posiedzenie Klubu. Przemawiałem i zapytywano mnie z różnych stron, co z Lelewelem.

— Aha — mruknął profesor nie odrywając oczu od podłogi. — Rozumiem. A ty co, Kozłowski, pewnie zawinąłeś rękawy jak rzeźnik i pomstowałeś na Lelewela? Przyznaj się. Czy nie zgadłem?

— Nie, nie zgadłeś, profesorze — odparł Kozłowski wesoło — stanąłem w twojej obronie...

— Aaa. No to ci dziękuję, Kozłowski, dziękuję, przynajmniej ty jeden stanąłeś w mojej obronie. Cenię to, bo już niewielu mi pozostało przyjaciół wśród młodzieży...

Kozłowski spojrzał spod oka na Lelewela. Nie mylił się. W tonie profesora nie było wprawdzie ironii, ale dojrzał ją w lekko skrzywionej linii ust i w przymrużonych oczach.

— Co nie znaczy wcale, profesorze — dokończył Kozłowski przerwane przez Lelewela zdanie, akcentując każdy wyraz — że naprawdę pochwalam twoją nieobecność w Klubie. Nieobecność cielesną i duchową.

— Nieobecność cielesną i duchową — powtórzył za nim Lelewel wyraźnie przedrzeźniając słowa. — Pięknieś to powiedział. Ale siadaj, bo widzę, że zanosi się na dłuższą reprymendę.

Usiedli obaj na sofie, która służyła profesorowi w nocy za łóżko. Kozłowski zaszył się w jednym kącie, Lelewel w drugim.

— Więc co w Klubie? — zaczął Lelewel. — Psy na mnie wieszają, ha?

— Nie, profesorze — odparł Kozłowski — nastrój w Klubie stał się ostatnio bardzo poważny. Sytuacja jest zbyt ciężka, by miano się zajmować wieszaniem psów na kimś. Po prostu pytano, co Lelewel robi w Rządzie, pytano, po co Lelewela do Rządu posłano. Czy po to, by Czartoryski mógł robić, co chce, czy też po to, by Czartoryskiego do działania pobudzać.

Lelewel niespokojnie kręcił się w kącie.

— Nie będę dla was nosa nastawiał na szczutki — zawołał — nie chcę, by mówiono, że się prę. Uniosłem się niedawno na posiedzeniu Rządu, zwymyślałem Czartoryskiego, nazwałem go zdrajcą i co z tego wyszło? Musiałem go przepraszać. Nie, nie zamierzam więcej nosa na szczutki nadstawiać.

— Nie jest ważne, profesorze — zawołał Kozłowski podniesionym głosem — co ty zamierzasz, ważna tu jest wolność narodu. Nie dla nas, profesorze, masz nosa na szczutki nadstawiać, nie dla nas, ale dla Polski, a to, przypuszczam, nie może być dyshonorem dla nikogo, nawet dla ciebie.

Dwie poprzeczne bruzdy przecięły czoło uczonego.

— Wszyscy mi buty szyją teraz. Wszyscy mię nienawidzą. I ci z fakcji artystokratycznej, i ci z Towarzystwa Patriotycznego.

— A jak sądzisz, profesorze, dlaczego? — Szaroniebieskie oczy Kozłowskiego spoczęły na ustach Lelewela. — Jak to się stało, że z bożyszcza ludu stałeś się nagle sfinksem, którego trzeba odgadywać? Jesteś historyk, tajnie wszystkich narodów, wszystkich czasów stoją przed tobą otworem, powinieneś odpowiedzieć na to pytanie.

— Nie kpij ze mnie, Kozłowski.

— Nie kpię, profesorze, ale skoro Lelewel nie chce się zabawić w historyka, ja to muszę zrobić. Wszyscy szyją ci buty, bo się po żadnej stronie nie opowiadasz.

Lelewel roześmiał się zjadliwie.

— Dobryś sobie. A kto Towarzystwo Patriotyczne utrzymał przy życiu wtedy, gdy wyście je rozwiązać chcieli? Czy to się u was nazywa, że się nie opowiadam po żadnej stronie?

— Wiesz, profesorze, że nie chodziło o rozwiązanie, ale o zejście w podziemie. O to, by stronnictwo arystokratyczne atakować z pozycji ukrytych. Ale tyś się bał tego i dlatego wolałeś Towarzystwo utrzymać.

— Z tych podejrzeń ja się dyskulpował nie będę — zawołał Lelewel gniewnie, zerwał się z sofy i założywszy ręce w tył zaczął przemierzać pokój od okien do drzwi, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Kozłowski śledził profesora bacznie spod oka. Czy nie przebrał aby miary? Czy oskarżenie o jakieś ukryte myśli nie było zbyt mocne? Jeśli się Lelewel zatnie, to żadna siła nie pomoże. Ale nie. Z każdą chwilą wyczuwał, jak wolniejsze się staje gwałtowne tempo tego spaceru po pokoju. To znaczyło, że Lelewel się zmiarkował. Uderzenie było mocne, ale nie za silne. Teraz będzie można spokojnie pogadać z profesorem.

Lelewel zatrzymał się przed jedną z szaf bibliotecznych, poszperał, poszperał, wyciągnął coś i przystąpił do Kozłowskiego.

— Zapalimy? W Ameryce, gdy wodzowie dwóch wrogich plemion indiańskich postanawiają po naradzie zakończyć wzajemne spory, zapalają fajki. To się nazywa u nich fajką pokoju. Zapalimy i my fajkę pokoju.

— Mimo że nie byliśmy i nigdy nie będziemy wrogami — dodał uśmiechając się smętnie.

Profesor zapalił lampę stojącą na biurku, a od niej fajkę, potem lampę nakrył kapturem i usiadł znowu na sofie w kącie. Zaciągnął się dymem i tak zaczął mówić:

— Zostawcie wy mnie w spokoju. Stary jestem, sfatygowany, wolałbym, by o mnie zapomniano.

— Profesorze, Czartoryski ma już 60 lat, starszy jest od ciebie, zdaje się o lat piętnaście, a mimo to się krząta.

— Nie, Kozłowski, to nie to samo. Ja już do syta nakarmiony jestem goryczą. Już ja stary jak stara odzież, zużyłem się szybko, tak jak wszystko się dziś na świecie zużywa. Czyński ma rację, że ja już do niczego. Prawda, że mam dopiero czterdzieści pięć lat, ale ja już nie jedno przeżyłem. Ostatni rok powinien mi się liczyć za dziesięć. Na posiedzeniach Rządu jestem sam jeden jak ten palec... Choć siadaj i płacz. Były brudy, cóż mówię, są brudy w Rządzie, maleńkowaci ludzie, ale cóż ja mogę począć... Całkiem skapcaniałem... Jest jakieś fatum przeciwne, które mi zawsze i wszędzie w drogę włazi. A potem przychodzi Kozłowski i kwasi się na mnie...

— Profesorze — przerwał mu Kozłowski — ja nie dla prywaty tu przychodzę. Chodzi o sprawę drogą równie tobie jak nam wszystkim.

— Żadnego żalu do ciebie nie mam, Kozłowski — zapewniał Lelewel — opinię twoją o mnie szanuję. Ale powiedz mi na Boga, co mam robić? Powszechnie panuje mniemanie, że wiele mogę w Rządzie, a im więcej tak się mniema, tym więcej mam przeszkód do przezwyciężenia. To poseł Świdziński urobił mi w sejmie opinię, żem jest potęgą. Gdym się o tym z gazet dowiedział, bom w Sejmie wówczas nie był, urosłem we własnych oczach. A zresztą, co tu gadać — dodał machnąwszy ręką. — Jak mnie przegłosują, to Dembiński zostanie wodzem i nic na to nie poradzę. Zresztą, ja się na sprawach wojskowych nie znam. Nie mogę się wdawać w te rzeczy, to byłoby niestosowne, to byłoby śmieszne... Mówię ci to, nie żeby cię dekurażować, ale żebyście wiedzieli, z jakimi siłami zaczynacie działać. Nie wolno nam nic robić pochopnie, bo przed przyszłym pokoleniem wy-

padnie nam zdać rachunek ze szkód, na jakieśmy niepotrzebnie naród narazili...

— Ja się tego rachunku nie boję, profesorze — przerwał mu gwałtownie Kozłowski — lękam się bardziej zarzutu, żeśmy byli niedbali. Bo widzisz, profesorze, chodzi mi o to, że jak wszyscy dziś będziemy ręce załamywać i łzy wylewać, a wolność przejdzie obok nas bokiem, to boję się, że za kilkadziesiąt lat ktoś nam w wyblakłe od łez oczy napluje, tak, napluje. Bo przez te kilkadziesiąt lat morze łez się z naszej winy wyleje i rzeki krwi. A winić będą pokolenia nas, nas, a nie Czartoryskich.

Kozłowski przez cały czas nie odrywał oczu od Lelewela. Nie dał mu się wymknąć spod natarczywych słów, którymi go zasypywał. Profesor od czasu do czasu uciekał wzrokiem w stronę biurka, na którym leżały otwarte manuskrypty, blachy cynkowe, tablice, plansze, szpargały, karteluszki i wracał do Kozłowskiego, wracał do jego żarliwych słów wydobywanych z serca. Z ust jego znikł przyrodzony mu ironiczny wyraz, z czoła spłynął upór przyczajony zawsze w dwóch podłużnych fałdach. Nasunął brwi na głęboko osadzone oczy, jak gdyby chciał coś ukryć przed Kozłowskim. Ale Kozłowski nacierał na niego w dalszym ciągu, zdecydowany wywrócić na nice tę rogatą duszę.

— Oderwałeś się od narodu, profesorze. Powiadasz, że nie wolno narodu narażać na ofiary. I kto to mówi? Słynny historyk Lelewel. Jak gdyby dzieje ludzkości nie były historią walk z przemocą, w których wciąż ofiary padają. I gdziebyśmy byli teraz, gdyby w każdym pokoleniu nie znaleźli się ludzie, którzy są gotowi padać ofiarą. Ody do młodości nie czytałeś, profesorze, utworu swego ucznia.

— Za wiele bierzecie na siebie — oponował jeszcze Lelewel. — Czy ciężar tego wielkiego zadania nie przydusi was?

— Nie tylko na siebie bierzemy ten ciężar. Na wszystkich tych, którym droga jest wolność.

— Nie zapominaj, Kozłowski — bronił się profesor — że nasza walka nie kończy się tutaj, na tym skrawku ziemi. Możemy i musimy bić się wszędzie o wolność każdego ludu, walczącego o wolność, bo inaczej nasza własna się nie ostoi. Okazji do walki nie zabraknie.

— Więc dlatego mamy zrezygnować z tej tu? — szydził Kozłowski. — Przysięgniemy walczyć w obronie każdego ludu, a teraz, gdy się nadarzyła okazja brania się za bary z przemocą, mamy porzucić pierwszą redutę? Redutę, w którą tyle już krwi wsiąkło. Dziękuję, profesorze, jeśli mamy każdej następnej placówki wolności bronić tak jak tej,

bez wiary w zwycięstwo, bez zaciętości, to lepiej od razu nastawmy ręce, niech nam od razu kajdanki nałożą. Ja się na to nie piszę.

Lelewel znowu wstał i zaczął przemierzać pokój, jak gdyby korzystając z półmroku zalegającego drugą połowę chciał ujść z pola widzenia Kozłowskiego. Stąpał szurając ciężko butami. Od czasu do czasu rozluźniał ręce założone w tył i rozczapierzonymi palcami jednej dłoni uderzał o palce drugiej. Kabałę stawia, czy przyśpieszyć chce obieg krwi w ciele? — pomyślał Kozłowski.

Po chwili profesor zatrzymał się przed drzwiami, zawahał się, czy ma wrócić w kierunku sofy, i odwróciwszy się nagle zapytał Kozłowskiego:

— Napijesz się czego? Bo mnie w gardle zaschło.

Wziął milczenie Kozłowskiego za twierdzącą odpowiedź i otworzywszy drzwi zawołał dwukrotnie:

— Gabrielu, Gabrielu.

Brzmiało to jak wzywanie archanioła na pomoc przeciw kuszącemu szatanowi.

Za chwilę wszedł Gabriel.

— Słucham pana profesora.

— Przynieś nam, kochasiu, herbaty.

— Herbaty, herbaty — burczał służący — od herbaty człek garbaty. Jeszcze pan profesor obiadu dziś nie jadł, a tu herbata. Kto to widział?

— No, nie mrucz, Gabrysiu — mitygował go uczony. — Zaparz nam świeżej, mocnej, to dobre na upał i cholerę.

Ostatni argument przekonał Gabriela, który bał się panicznie cholery. Przeczytawszy raz w Kuryerku, że na zarazę dobrze mieć z sobą wapno, nie rozstawał się od tego czasu z puzderkiem wielkich rozmiarów: i stale chodził ubielony. Gdy przekonał się, że znajomym wapno nie pomogło, zaopatrzył się z kolei w ocet siedmiu złodziei i bez przerwy się nim raczył. To dlatego, twierdził Lelewel, Gabriel taki kwaśny się zrobił ostatnio. Usłyszawszy teraz o herbacie jako panaceum na chorobę od razu się wyprostował i jakby odmieniony wyszedł spełnić polecenie.

Lelewel tymczasem otworzył kredens i długo czegoś tam szukał. Kozłowski słyszał bulgotanie przelewanego płynu i domyślił się, że profesor chce go uraczyć oprócz herbaty jakimś trunkiem. Fajka mu zgasła. Wstał i przybliżył się do stołu, by przypalić od lampy. Wzrok jego zatrzymał się na jakimś starym druku. To pewnie ten sam, po-

myślał, za którym uczony cały dzień uganiał. Nie zdążył odczytać tytułu, gdy za plecami jego wyrósł Lelewel.

— Jak ci się to podoba? — zapytał go zacierając ręce z zadowolenia. — To rarytas. W książkach o tym ani dudu. Nikt nie zna tego, nikt nic nie wie. Ani Czacki, ani Jocher, ani Bantkie. U Zalcsztajna ją kupiłem na Mariensztacie. Całe popołudnie straciłem, ale się opłaciło. Bantkie pęknie z zazdrości. Jakem zobaczył tego białego kruczka, wszystko się we mnie zatrzęsło. Żyd oczywiście ani pojęcia nie miał, co to za cymes. Patrzy mi w oczy, chce wyczytać, co szpargał wart, a ja nic, udaję obojętnego. Pięć złotych zapłaciłem, przedstaw sobie. Trochę mię potem sumienie gryzło, ale pomyślałem sobie, że kto inny by Żyda jeszcze bardziej oszwabił i uspokoiłem się.

Gabriel wniósł na tacy herbatę i filiżanki i ustawiając wszystko z namaszczeniem, patrzył badawczo na profesora, jak gdyby się chciał upewnić, że odwar ten naprawdę chroni przed cholerą. Wbrew zwyczajowi nie mruczał pod nosem, bał się widocznie, żeby go profesor za karę nie wywiódł z błędu i nie skazał znowu na ustawiczny lęk przed przeklętą chorobą.

Lelewel i Kozłowski usiedli znowu na sofie za stołem.

— Tobie cukru? — zapytał profesor. — Bo mnie Czartoryski nauczył pić bez. W Anglii, powiada, inaczej nie piją. Odnoszę się z niedowierzaniem do wszystkiego, co Czartoryski mówi, ale tym razem go usłuchałem. Przekonałem się, że w istocie bez cukru lepiej smakuje. Cukier zabija smak herbaty. Otóż wracając do druku, jakem poczuł książeczkę na sercu — schowałem ją pod surdutem, żeby jej ktoś u mnie po drodze nie zobaczył, gdyby mnie Bantkie spotkał, dopóty by prosił, aż bym ją ustąpił, miękkie serce mam — otóż jakem ją poczuł na sercu, myślałem, że z radości ze skóry wyskoczę. Cały spotniałem.

Profesor tak się rozochocił podczas opowiadania, tak się podniecił własnym sukcesem, że oczy mu się świeciły jak łobuzowi, gdy opowiada, jaką to psotę koledze urządził. Nagle poczuwszy na sobie krytyczny wzrok Kozłowskiego spoważniał i głosem, w którym pobrzmiewała skrucha, powiedział:

— Wiem, Kozłowski, że mnie potępiasz. Pomyślisz sobie zapewne, że ja w Rządzie nic nie robię, że na sesjach zajmuję się korektą swoich książek, jak to Mochnacki po mieście rozpowiada. Ale to nieprawda. Poza *Nowosilcowem w Wilnie*, który był przecież konieczny, nic nie wydałem od nocy listopadowej. A rwę się do tego. Powiedziałem ci już, byłbym zadowolony, gdybym mógł nie być w Rządzie.

— Nie potępiam cię wcale, profesorze — rzekł Kozłowski utkwi-

wszy wzrok w fajce — ale myślę sobie, co będzie, jeśli Paskiewicz zajmie Warszawę, co ty z tymi książkami zrobisz?

Lelewel rozłożył ręce z westchnieniem.

— Ano cóż — kilka najważniejszych zabiorę do pielgrzymiego tobołka i trzeba będzie dalej zbierać. Całe życie zbierałem, dalej będę. A to wszystko, myślę, nie przepadnie. Nie będzie moje, ale nie przepadnie dla narodu. Zbieranie książek, widzisz, mój drogi, to namiętność. Kto w ten nałóg popadnie, z tym koniec, nie uwolni się od tego. Widzisz, bywa podróżny, co podczas drogi liczy każde stąpnięcie każdego z czterech koni z osobna. Liczy każdy obrót kół, na których się toczy, pnie drzew, które przed nim migają, każdą gałązkę i listek, które mu po drodze szumią. Ba, liczy każdy kamień i cegłę w mijających go budynkach, każdą żerdź w płocie, każdą kroplę deszczu, która mu drogę przerywa. Liczy, liczy, a zapomina obliczyć czas na to liczenie łożony. Przyjrzyj się dokładnie takiemu podróżnemu, a będziesz miał obraz pilnego, w obowiązku swoim niestrudzonego bibliografa. Liczy tomy, kartki, wiersze, ba, litery, a nie rachuje minut, które mu z wiatrem ulatują. W przestrzeni niezmiernej nie widzi pięknych okolic, zachwycających widoków, nie czuje uroku wspaniałych lasów, bo go obchodzą liście i gałązki. W drobnych szczegółach zatopiony marnuje drogi czas.

Na chwilę przerwał, fajkę, którą cały czas żywo wymachiwał podkreślając nią fragmenty wyznania, wsadził do ust, ale fajka zgasła. Podniósł się, usypał popiołu, wyrównał tytoń palcem, zapalił fajkę od płomienia lampy i zaciągnął się dymem.

— Długa jest droga — ciągnął dalej usadowiwszy się w kącie sofy — którą się przedsięwzięło. I chociaż są popasy, są noclegi, choć woźnica daje koniom wytchnienie, często staje, konie poi, siana im podrzuca i dobrze obroku zasypuje, oś bryki wyciera się, skrzypi jak pióro na papierze. To szkapy się zmęczą, to podróżny się znuży. Ale mimo wszystko zaczętą podróż należy doprowadzić do końca. Trzeba stanąć na miejscu, do którego zmierzasz. W długą drogę zaprzęgły mnie moje konie, moje księgi.

Kozłowski słuchał tego monologu bibliografa wędrując oczyma po grzbietach książek ułożonych regularnie na półkach otwartych szaf. Potem opuścił głowę i wbił wzrok w podłogę. Zobaczył u stóp kilka okruchów chleba, pochylił się, zebrał je i położył na tacy.

Lelewel roześmiał się.

— Nie ruszaj tego chleba. Rozmyślnie rozrzuciłem okruchy po podłodze, żeby myszy się nimi raczej zajęły niż książkami. Rady sobie nie mogę dać z tymi gryzoniami.

Kozłowski zdjął z powrotem okruchy z tacy i ważąc każdy w palcach poukładał je starannie na podłodze, jak gdyby wykonywał jakiś rytuał. Profesor wrócił do swego monologu, ale on już go nie słuchał. Odbiegł myślami daleko stąd, cofnął się o lata. I on kiedyś rozrzucał kawałki chleba dla myszy, ale nie po to, by uchronić książki przed szkodą. Siebie bronił. Przed samotnością. W więzieniu Karmelickim. Zwabił chlebem myszkę. Jedną małą myszkę, która tak się oswoiła, że sama zgłaszała się po pokarm codziennie o tej samej porze. Najgorzej było wtedy, kiedy sam chleba nie miał. Gdyby to nie była myszka, mógłby wymagać od małej towarzyszki niedoli i samotności, by była wyrozumiała. By głodowała jak on. Ale to była tylko myszka. Gdy zgłaszała się po swój codzienny posiłek, a on głodny i wyczerpany leżał na barłogu, dawała o sobie znać chrobotaniem. Gdyby wymowa rozpalonych od gorączki oczu była zrozumiała dla małej, głodnej myszki, pojęłaby, że chrobotanie na nic się nie przyda, że, gdyby miał kawałek chleba, podzieliłby się z nią. Ale to była tylko myszka. I to niefortunna myszka. Gdyby miała więcej szczęścia, natrafiłaby na innego więźnia. Na mniej upartego, mniej zawziętego, mniej twardego. Tamtym nie najgorzej się wiodło. Tylko Kozłowski uparł się, że nic nie powie. Nie powiem nic, nic nie mogę powiedzieć, bo o niczym nie wiem. A Komisja Śledcza właśnie jego podejrzewała o najgorsze. Że był głową sprzysiężenia. I Komisja postanowiła go zmusić do zeznań głodem. Skrupiło się na biednej myszce. Szczęściem, obok Kozłowskiego siedział Cichowski. On pod siódmym, Cichowski pod szóstym. Szczęście miał Cichowski. Wpływowa przyjaciółka posyłała mu codziennie kosze z kapłonami i winem od samego Szylera. Nie mógł się skarżyć na głód. Kozłowski dowiedział się o tym od strażnika i postanowił też w skromnej choćby mierze korzystać z darów wpływowej przyjaciółki. Wybił w ścianie nad piecem dziurę i resztki kapłona wędrowały spod szóstego numeru do siódmego. Biednej myszce nie było jednak pisane szczęście. W kilka dni po wybiciu dziury w ścianie strażnik ją niechcący przydeptał butem. I tak był tym przejęty, że go sam Kozłowski musiał pocieszać. Po myszce, biednej myszce, towarzyszce samotności została miazga. Tyle lat minęło, a widzi jeszcze przed oczyma krwawy ślad.

— Ty nie słuchasz, Kozłowski — upominał go Lelewel.

— Słucham, słucham, profesorze.

— Otóż widzisz — ciągnął profesor swój monolog — bibliografowie szukają sobie czasem okrasy wśród tej męczącej podróży przez życie. Francuzi na przykład gromadzą różne facecje, bonmoty, powie-

dzonka i fraszki słów. Inaczej Niemcy. Ci obliczają ilość uczonych, którzy przewidywali swą śmierć, zbierają dane o tych, co w kawalerskim stanie umarli, obliczają, ilu z nich było na imię Piotr, a ilu Stefan, jakie który spodnie nosił, a jakie pończochy.

Kozłowski spojrzał na węgierskie buty Lelewela, na cholewy z palonej skóry. Buty te znała już z anegdot cała Polska. Czy przejdą także do historii? I tak bez złej intencji, raczej by pokazać profesorowi, że uważnie słucha jego rozważań o różnicy między bibliografami Francuzami i bibliografami Niemcami, zapytał:

— A Polacy?

Lelewel ściągnął brwi. Przymrużone jego oczy i zaciśnięte usta świadczyły, że Kozłowski niechcący wywołał wilka z lasu.

— Coś chciał przez to powiedzieć, Kozłowski? — zapytał Lelewel gniewnie i sam odpowiedział za niego. — Miałeś pewnie na myśli, że Polacy jak ja umilają sobie nudę bibliografii zabawą w politykę.

Kozłowski zapewniał go, że nic złego nie miał na myśli, że tak sobie rzucił pytanie, ale wszystko na próżno. Wywołał nową falę wynurzeń.

— A może masz rację. To był największy błąd w moim życiu. Dałem się unieść ambicji. Chciałem zostać posłem w Sejmie. Chciałem pokazać, żem sroce spod ogona nie wypadł. Od tego nieszczęście się zaczęło. Później poszło wszystko jak lawina. Cieszyłem się opinią opozycjonisty. Przychodzili do mnie wszyscy niezadowoleni. W końcu przyszedł Wysocki i Zaliwski. Teraz znowu ty przychodzisz. Z propozycją nowej awantury.

— Na tamtą awanturę, jak to nazywasz, profesorze, wyraziłeś przecież zgodę — przypomniał mu Kozłowski.

Lelewel wzruszył ramionami, na usta wypełzł mu znowu szyderczy uśmiech.

— Ja tego nie mogę nazwać wyrażeniem zgody. Przyszli, powiedzieli, że wszystko już zrobione. Cóż miałem im odrzec? Miałem im powiedzieć, żeby szli do diabła? Nic innego mi nie pozostało.

— I słusznie. A kto powiada „a", profesorze, musi powiedzieć „b". Któż jak nie ty, profesorze, powiedział: „Niegodzien ten naród egzystować, co się własnymi nie może utrzymać siłami".

— A powiedziałem — przerwał mu Lelewel wytrząsając gwałtownie popiół z fajki do popielniczki — powiedziałem. Nie zapieram się. Ale te siły muszą być duże, aby się naród nie tylko zewnętrznym, ale i wewnętrznym oparł nieprzyjaciołom. Trzeba najpierw pognębić egoizm, fakcje, arystokrację.

— Tę siłę naród posiada, tylko że jest paraliżowany, skrępowany, uśpiony, a ci, co go powinni budzić...

Nie dokończył. Chciał powiedzieć „sami śpią", ale spojrzał na Lelewela i powstrzymał się. Tyle już dziś profesorowi napsuł krwi, że bał się, by cięciwa zbyt mocno napięta nie pękła.

— Zresztą profesorze — zaczął z innej materii — czy chcemy, czy nie chcemy, musimy wystąpić.

Lelewel uniósł wysoko krótkie kępki brwi i spojrzał nań pytająco, ale szybko opuścił z powrotem oczy, jak gdyby się bał, że to, co teraz Kozłowski powie, zastanie go nieprzygotowanego.

— Sprawa tak wygląda — ciągnął Kozłowski tonem człowieka, który tyle się już napatrzył podłości ludzkiej, że nic go wiecej nie dziwi — sprawa tak wygląda, że teraz musi się wszystko rozstrzygnąć. Jeśli nie wystąpimy rewolucyjnie, to lada dzień armia znajdzie się w rękach nieprzyjaciela. Wszystkie poczynania kamaryli przy naczelnym wodzu i Czartoryskim zmierzają do tego. Brakło im odwagi na początku powstania. Wówczas również mieli ochotę pozbyć się kłopotu wydając w ręce Mikołaja nas wszystkich, którzyśmy powstanie zaczęli, mam na myśli podchorążych i młodzież studencką, ale wtedy lud Warszawy stanął w naszej obronie.

— A teraz — zawołał Lelewel — gdzie teraz jest lud? Przecież wtedy nie mieliśmy jeszcze armii, a teraz co jak co, ale sześćdziesiąt tysięcy stoi pod bronią.

— To wszystko prawda, Lelewelu — mówił dalej Kozłowski głosem beznamiętnym — ale armia jest tak przez Skrzyneckiego zdemoralizowana bezczynnością, odwrotami, paradami, że jeśli nie wkroczymy w te sprawy dziś, jutro, to obojętnie będzie patrzeć na wszystko, co się z nią zrobi. A lud? Szkoda, żeś nie był dziś w Klubie, profesorze, byłbyś zobaczył, że lud pójdzie na pierwsze wezwanie. Pójdzie jak huragan, Ale — zrobił krótką pauzę — ale trzeba go poprowadzić. Trzeba wiedzieć kiedy i na kogo poprowadzić. Bo inaczej gniew ludu znajdzie ujście w pierwszej lepszej burdzie. Gniew ludu rozpłynie się...

— Nie zapominaj — przerwał mu Lelewel posępnie — że jeśli Dembiński pozostanie wodzem naczelnym, to nie tak łatwo dopuści do zaburzeń.

— Nie, profesorze — odparł Kozłowski tonem nie znoszącym sprzeciwu — wiesz przecież z historii, jak te rzeczy wyglądają. Zanim się obejrzy, będzie po wszystkim. Ale że się potem niemało krwi poleje, to jest pewne...

— Zresztą — dodał po pauzie — czy dojdzie do zaburzeń czy nie, i tak się poleje krew patriotów. Jest rzeczą jasną dla każdego, kto patrzy wypadkom prosto w oczy, że arystokraci chcą za wszelką cenę zrobić koniec z tym wszystkim. Chcą się poddać, a wiedzą, że my, jakobini, nie dopuścimy do tego. A więc... nie mam chyba potrzeby kończyć, profesorze. Wniosek narzuca się sam przez się...

Lelewel siedział przez chwilę cicho. Skurczył się w kącie, zwinął w kłębek jak jeż. Dopiero później mruknął.

— Chyba Czartoryski nie dopuści do takiej zbrodni. Bądź co bądź, to zacny człowiek.

Kozłowski roześmiał się zjadliwie.

— Profesorze, profesorze — powiedział kiwając z politowaniem głową — przy swoich książkach stałeś się prosty jak one. Czartoryski zacny człowiek. Wiesz, co Voltaire napisał na ten temat? Ludzie zacni, powiedział, niewiele są warci, oburzają się, płaczą, potem idą na dobrą wieczerzę i zapominają. Ani mi przez myśl przechodzi, że sam do tego przyłoży rękę. O nie, na to książę Czartoryski, pretendent do tronu, jest zbyt delikatny. On nie znosi takich jaskrawych metod. Ale znajdą się tacy, co mu tę myśl podsuną. A on, no cóż, wyszuka sobie jakiś pretekst dla historii, a swoje placet da, placet bez słów. Nie zapominaj, że to przyjaciel cara Aleksandra, przyjaciel i kopia. Aleksander też był aniołem, dopóki mu to było wygodne. Później sam się uśmiechał słodko, a do brudnej roboty wzywał Arakczejewa lub Nowosilcowa.

— Dlaczego ja tego nie widziałem? — zawodził Lelewel zasłaniając sobie uszy dłońmi w nadziei, że przytłumiona w ten sposób prawda będzie mniej gorzka.

— Na to, żeby widzieć rzeczy, tak jak one naprawdę się przedstawiają, jeszcze nie jest za późno — pocieszał go Kozłowski. — Tym bardziej, że myśmy już pomyśleli o tym, żeby istniejący stan rzeczy odmienić.

Lelewel opuścił głowę, potarł czoło dłonią, potem wyciągnął do Kozłowskiego obie ręce i rzekł:

— No cóż, uważacie, że czas pokazać zęby, no to pokazujcie.

— No, nareszcie, Lelewelu — zawołał Kozłowski z westchnieniem ulgi przysuwając się do uczonego i kładąc mu ręce na dłoniach. — Nareszcie przyznałeś, że czas.

— Nie mogłem inaczej — powiedział Lelewel z wyrzutem w głosie, skierowanym nie wiadomo do kogo, do Kozłowskiego, czy do siebie — to tylko arystokraci zawsze krzyczą, że jeszcze nie czas. Nam tego nie wolno czynić.

Mówił wolno rozciągając każde słowo z osobna, jak gdyby sam siebie jeszcze przekonywał, że inaczej być nie może. Potem powiódł wzrokiem po książkach zalegających ściany i powiedział:

— Na wszystko się zgadzam, byleby odmiana była legalna. Wziąłem sobie za cel, żeby powagę sejmu zachować.

— Sejmu nie zamyślamy ruszać, jeżeli oczywiście będzie robił to, czego wymaga dobro powstania. A co do legalności... Gdyby lud francuski czekał na legalną odmianę, chłopi francuscy odrabialiby jeszcze dziś pańszczyznę...

— Bo widzisz — dodał Lelewel na usprawiedliwienie, drapiąc się w głowę — wojna domowa w chwili, gdy nieprzyjaciel stoi pod murami miasta...

— I do wojny domowej nie dojdzie, profesorze, jeżeli będziemy energicznie działać...

Lelewel nasunął brwi, zajrzał mu głęboko w oczy, położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

— No, widzę, żeście już wszystko obmyślili. Mam zaufanie do ciebie.

— To nie dobrze, profesorze — zaprotestował Kozłowski ze śmiechem. — Nie do mnie miej zaufanie, tylko do ludu. Lud nigdy nie zawiedzie. A ja, cóż, człowiek jestem, może mi się niejedno przytrafić. Słyszałem, że arystokraci mają mnie na oku... Cóż, à la guerre comme à la guerre...

— Zostaw to powiedzenie — przerwał mu Lelewel — nie znoszę go. Tym powiedzeniem można wszystkie zbrodnie usprawiedliwić.

— Chciałem przez to, profesorze, tylko to powiedzieć, że historia to nie spacer po Miodowej. Nie była nim nawet wówczas, gdy Miodowa była ulicą Napoleona. Ofiary to nieodłączna część każdej walki...

— Rozumie się, serdeńko, ale... ale jednego mi żal — Warszawy...

— Czego ci szkoda, profesorze? Pałaców, jak arystokratom? Moim znajomym ze Starego Miasta nie szkoda nor i lepianek.

— No cóż — rozłożył Lelewel ręce — skoro masz na wszystko gotową odpowiedź, no to rozpocznijcie przygotowane działania. Komunikuj moje uwagi, komu będziesz uważał za konieczne i udziel ludziom dobrej wiary.

— Czy mogę to uczynić w twoim imieniu, profesorze?

— A jakże, Kozłowski, a jakże, w moim imieniu.

Wąska dłoń uczonego utonęła w mięsistej ręce Kozłowskiego.

— Tylko pamiętajcie o ulotkach dla wojska rosyjskiego. Przypomnijcie im jeszcze raz, że walczymy za naszą i ich wolność. Koniecznie o tym pamiętajcie.

Profesor rzucił te zdania wychodzącemu Kozłowskiemu, siedząc już za biurkiem. Gdy drzwi się zamknęły za gościem, zerwał się z miejsca, wypadł z pokoju i krzyknął donośnie:

— Poczekaj na mnie. Idę także. Przypomniałem sobie, że jest dziś jeszcze posiedzenie Rządu.

Zeszli obaj razem po stromych schodach wśród cieni rzucanych przez świeczkę, którą im Gabriel oświecał drogę. Na ulicy przywitał ich srebrny księżyc. Przechodniów było już niewielu. Zegar ratuszowy wydzwaniał właśnie dziesiątą.

Kozłowski odprowadził uczonego tylko do rogu Miodowej. Gdy się żegnali, Lelewel przełożył jakieś zawiniątko z prawej ręki do lewej, ale uczynił to tak niezręcznie, że paczuszka upadła na ziemię. Kozłowski pochylił się, podniósł ją i podał profesorowi. Zauważył, że jest to szczotkowa odbitka.

Lelewel zmieszał się i zaczął tłumaczyć, zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo go Kozłowski o nic nie pytał.

— Jaki ja roztrzepany — mamrotał profesor — sam nie wiem, po co to z sobą zabrałem. Tylko kłopot.

„Kłopot z tym Lelewelem" powtarzał sobie Kozłowski w duchu podczas całej drogi.

Leon Przemski

POPOŁUDNIE W TRIGORSKOJE

Salon w Trigorskoje, majątku Osipowych-Wulfów. Jedno wyjście na ganek i ogród, drugie w głąb mieszkania. Pora popołudniowa.

Scena 1

PUSZKIN: *(wchodząc z ogrodu w czerwonej rubaszce pod szyję niedopiętej, włosy w nieładzie, bokobrody zapuszczone)* No chodź, chodź, Fied'ka! Nie masz się co ceregielować.

FIED'KA: *(jeszcze za sceną, żartobliwie)* Żebym był wiedział, to bym się przyodział paradnie... *(staje w progu obdarty włóczęga)* Nie wystrojonym na takie salony.

PUSZKIN: Właź śmiało. Dziś ja cię tu zapraszam. Ale za jakie sto lat, pewnie wy tu będziecie panami, i wy nas będziecie zapraszać. E, co ja mówię „za sto lat"... za pięćdziesiąt, a nawet...

FIEDK'A: Jeszcze nie tak prędko, paniczu, nie tak prędko *(ogromny, słomiany kapelusz stawia koło fotela)*. Może i nie za sto, ale my już tego nie doczekamy. Że ja nie doczekam, to nie dziwne, ale i wy też... *(zadumał się)*.

PUSZKIN: Cóż tak kraczesz dziś, Fied'ka? Co cię znów naszło, jakie licho?

FIED'KA: *(w zadumie, poczyna się uśmiechać do siebie)* To będzie ciekawe, ta rewolucyja... Jak też się zacznie? Jak to będzie w środku, i co będzie po tym?

PUSZKIN: Zaraz pomyślimy, ale siadaj, Fied'ka. O, tu, na tym fotelu *(wskazuje najokazalszy fotel)*, tu ci będzie wygodnie pofilozofować. Siadaj, przecież chłop wolny, wolny człowiek *(sadza Fied'kę)*.

Scena 2

SISI: *(zaglądając przez drzwi od strony mieszkania)* To ty, Sasza? Wszedłeś oknem czy drzwiami?

PUSZKIN: *(wskazuje na Fied'kę)* Z gośćmi zawsze drzwiami.

SISI: A, jest tu ktoś z tobą. Myślałam, że tak sam z sobą rozmawiasz, hihihi...

PUSZKIN: To mój stary przyjaciel, nie poznajesz?

SISI: Jeszcze by też! Fied'ki nie poznaję! Jestem trés enchantée, ale to trés, trés, trés...

PUSZKIN: Jakoś nic nie wydoroślałaś, Sisi, od wczoraj.

SISI: *(wciąż tylko głowa w drzwiach)* Nie zdążyłam. Po prostu nie miałam czasu, tyle na głowie...

PUSZKIN: Włosów.

SISI: Sama żałuję, ale co robić. C'est la vie.

PUSZKIN: Cóż się tak popisujesz francuszczyzną?

SISI: Malgré moi.

PUSZKIN: Błazenek! Co tak cicho w domu?

SISI: Zostałyśmy same z Anusią. Mama z dzieciarnią wróci pod wieczór...

PUSZKIN: Dobrze, dobrze. Opowiesz nam potem. Na razie zostaw panów samych.

SISI: Bardzo ładnie wyszło z tym błazenkiem. Aleś się Sasza popisał przy gościu. Wstyd po prostu. Jestem tak oburzona, że nie znajduję słów, żeby to wyrazić... Mon indignation faire exprimer.

PUSZKIN: Widziałeś kiedy, Fied'ka, taką paplę?

FIED'KA: O, przepraszam was, paniczu. Nie zrozumieliście. To wszystko dlatego, żeby sobie na Fied'kę dłużej popatrzeć.

PUSZKIN: Masz tobie.

FIED'KA: Spodobałem się panience, nabrała do mnie gustu.

PUSZKIN: Nie wiedziałem, żeś taki galant, Fied'ka.

SISI: Widzisz go! Pewnie, że Fied'ka jest cudny. Zaraz bym się za niego machnęła, tylko że tyle mam na głowie. A teraz au revoir. Za chwilę tu do was przyjdziemy.

Scena 3

PUSZKIN: No, to już jedną gospodynię mamy po swojej stronie.

FIED'KA: Jak po naszej stronie, to mogłaby nam co przynieść. W garle zaschło od tego skwaru.

PUSZKIN: Masz rację, dzień dziś gorący. Początek września, a upał jak w środku lata. Zaraz nam coś pewnie przyniosą.

FIED'KA: No to mówcie, paniczu, jak też to będzie wyglądało, taka rewolucyja u nas, w Rosji? Ciekawe, co?

PUSZKIN: Hm... *(zamyślony)*.

FIED'KA: Hej, co i raz będą puszczać czerwonego kura, a podpiekać panów, jak oni nas *(przeciąga ręką po szerokiej bliźnie na czole)*.

PUSZKIN: *(patrząc uważnie na tę jego bliznę)* Tobie też ktoś nieźle dopiekł, Fied'ka, co? Przyznaj się...

FIED'KA: E, zwyczajne w życiu chłopskim.

PUSZKIN: Zawsze mnie zbywasz, kiedy o to pytam. Pomyśl, czy to ładnie tak? Już wnet będzie dziesięć lat, jak się znamy. Pamiętasz, jakem pierwszy raz do Michajłowskoje przyjechał? Jeszcze zielony młodziak i... wolny.

FIED'KA: Pamiętam, jakby dziś. Ale choć i młodziak, byliście inni od waszego dziada, od ojca, od matki. Powiadano mi, że miała ona kiedyś rzec o was: „wyrodek, taki wyrodek". Prawdziwie, jakby nie Nadieżda Osipowna was rodziła, a już prędzej niania wasza, Arina...

PUSZKIN: Arina, niania... Ona od maleńkości była mi najbliższa. Ona mnie w kolebce układała i nasze rzewne pieśni nuciła. Ona karmiła i baśnie do snu powiadała. Ona mnie o życiu naszym tu, w Rosji, prawdę wiedzieć uczyła. O takich jak ty, Fied'ka. Ona do liceum wyprawiała. A kiedym tam chory, bez pamięci leżał, to ją oczy moje, z kubkiem ziół chłodzących nachyloną zobaczyły. I tu na wygnaniu siedzi ze mną, żeby strzec i ochraniać, karmić i przyodziewać, koić baśnią i pieśnią, gdy tęsknota gniecie. Nigdy nie miałem, i dziś nie mam bliższej istoty na świecie jak Arina Radionowna, niania... matka moja jedyna.

FIED'KA: Baczę, jakeście już wtedy o niej powiadali. Od tego się i nasza komitywa zaczęła. Nałaziliśmy się niemało, Aleksandrze Siergiejewiczu. Jeszcze Fied'kę lekko nogi nosiły, ho, ho.

PUSZKIN: Pamiętasz, jakeśmy to za namową niani poszli do starego Łuki?

FIED'KA: Ba!

PUSZKIN: Zeszliśmy ładny kawał drogi, co? Alem za to ujrzał i gadał z prawdziwym chłopem z pugaczowskiego buntu. Wspaniały dziad był ten Łuka! Ty, Fied'ka, miałeś z nim coś? Nie?

FIED'KA: Nauczył mnie on niejednego. Stary Łuka mądry był jak sam król Salomon. To on mnie wyzwolił, kiedym zarobił tę bliznę.

PUSZKIN: Może mi wreszcie powiesz, skąd ją masz?

FIED'KA: Panicz zawsze swoje. Gadaj, Fied'ka i gadaj, ale czy ci w gardle zaschło, o to nikt nie spyta.

PUSZKIN: *(podrywając się z krzesła, biegnie do drzwi)* Zaraz, już przynoszę. Wybacz mi, Fied'ka.

Scena 4

FIED'KA: *(wstaje ociężale z fotela i podchodzi do wielkiego lustra, tam badawczo, w skupieniu ogląda bliznę na czole, wodzi po niej palcem)* Pierwsze cię tak oto oglądam, — odkąd cię noszę. A noszę już pewnie z ćwierć wieku. Oglądały cię moje oczy dotąd jeno w wodach źródlanych, zwierciadłach studnianych, po stawach i jeziorach. Ale nie wiedziałem, żeś taka czerwona. Ognista jak żywy ogień. Zaleję cię, zagaszę juchą pana hrabiego. Nie ujdzie sprawiedliwości. Wy-

płacę mu wszystko, całe moje ukrzywdzenie... całe ludzkie krzywdy. Za wszystko i za wszystkich...

Scena 5

PUSZKIN: *(wpada z butelką, dzbanem i czarkami)* Patrz, Fied'ka, odwilżymy sobie gardła. Wolisz kwas czy mleko? *(dostrzega, że Fied'ka bardzo ponury stoi obok lustra)*. Coś taki zbieszony?! Patrz, przyniosłem i trochę nalewki ze smorodiny. Pij bracie, to cię rozweseli, a kwas ochłodzi.

FIED'KA: *(rozpogadzając się wolno)* Dobrzeście, Aleksandrze Siergiejewiczu, pomyśleli *(bierze czarkę, pije smakując, potem drugą, którą mu Puszkin napełnił kwasem z butelki)*. A, teraz mówcie, paniczu, jak też to będzie z tą rewolucyją. Potem, już po zapłacie... Myślę, że najpierwsze, to po starym co pójdzie precz, budować nowe, lepsze.

PUSZKIN: I sprawiedliwe, przede wszystkim sprawiedliwe.

FIED'KA: O, właśnie, sprawiedliwe. Bo tym Francuzom, na mój rozum, nie wyszło z ich rewolucyją. Prawda, paniczu, że im nie wyszło?

PUSZKIN: *(trochę zdziwiony)* Masz rację, ale skąd ci to przyszło do głowy?

FIED'KA: Rewolucyję zrobili u siebie, a panowie znów rządzą, jak i pierwej. Niby tyle, że nowi, ale tacy sami panowie... a naród... *(macha ręką)*. W osiemset dwunastym chodziłem i ja po lasach z chłopami, co się ruszyli byli na panów. Jak Napolion kazał chłopów wieszać i siec rózgami, a jeszcze Moskwę-Matuszkę jął palić, to my dawaj Francuza za gardziel...

PUSZKIN: *(zainteresowany)* O tymś mi nigdy nie gadał. I co?

FIED'KA: Tak mi przyszło przedzierać się przez bory, śniegi i drogi pełne wilków, a wybierać tych Francuzów, psia ich mać, gdzie się da. Tośmy wtedy złapali raz takiego, co potrafił wcale dobrze gadać po polsku. A, że polski podobny naszemu, tośmy Francuza nie ubili, a jęli z nim mówić, rozpytywać. Był on, jak się pokazało, strasznym wrogiem królów i panów. Napoliona miał za najgorszego zbója. Najbardziej nas ciekawił tym, co powiadał o tej ich rewolucyji.

PUSZKIN: A kto to był taki?

FIED'KA: Był chłopem jak i my. Jego ojciec to rżnął panów... jakoś się nazywają po ichniemu tacy...

PUSZKIN: Sankiuloci.

FIED'KA: Pewnie i tak. Zresztą, jak się zwał tak się zwał, dość, że panów tęgo prał.

PUSZKIN: Ej, ty, Fied'ka!

FIED'KA: To ten jego ojciec myślał, że nastanie sprawiedliwość, że będzie już dobrze biednym ludziom w tej ich Francyji. Ale nie poradzili, ci... jak to ich panicz nazwał?...

PUSZKIN: Sankiuloci.

FIED'KA: O to, to. Sankiuloty. Powiadał nam ten Francuzik, że jak była u nich ta rewolucyja, to krwi poszło tyle, że można było tą juchą — bo to była krew pańska, zbójecka — całe morze zapełnić. Ale narodowi nic z tego nie przyszło; co było na stole uprzątnęli rabusie, nowi panowie. Połączyli się oni ze starymi, co jeszcze byli zostali, i uciskają biedny naród jak przódziej.

PUSZKIN: Tak wam mówił ten Francuz. To ciekawe...

FIED'KA: I jeszcze nas pouczał, żebyśmy do końca nikomu nie wierzyli, jak by u nas do czego przyszło. Panowanie w garść i nie puszczać, nie puszczać, nie puszczać.

PUSZKIN: Zmarnowali tak wspaniały poryw. A u nas... *(z rozpaczą)* dekabryści.

FIED'KA: Panicz ich znał przecie. Może chcieli oni i dobrze, ino może nie potrafili. Żeby się byli zwarli z narodem... Naród choć ta nieoświecony, ciemny, ale się przecież podrywa, bo go krzywda rozumu uczy.

PUSZKIN: Widzisz, Fied'ka, mówiłem to nieraz. Trzeba iść z ludem, trzeba lud ośmielić, oświecić, powiązać się razem i wtedy walkę zacząć...

FIED'KA: Teraz, paniczu, jak co do czego przyjdzie, to się nie zmarnuje. Oni też nie na marne... Żeby lepsze budować, obalić stare, trzeba dużo umęczenia, ofiary i... czasu. To się nie da tak od razu. Rok, dwa, pięć — mało. I sześć, osiem, dziesięć — też mało. Wszystko potrzebuje swego czasu, a jak już przyjdzie, to panowania pilnować, nie puścić z garści. Nasz naród twardy. Wytrzymał tyle to i jeszcze wytrzyma, ale potem nie popuści.

PUSZKIN: *(ożywiony)* Dobrze mówisz, Fied'ka. Święte słowa. To nie na marne. To nie może być na marne. Oni, choć powywieszani, wywiezieni na Sybir, i tak zwyciężą. Zwyciężą na pewno, z ludem, bo walczyli sprawiedliwie o wolność. Kiedy zamiast jednostek ruszą do walki tysiące i miliony... wtedy dopiero...

FIED'KA: *(spoglądając na Puszkina z czułością)* Tak, Aleksandrze Siegiejewiczu, musisz pieśni stroić do walki, a swój czas przyjdzie i my będziemy górą. Chłop wszystko wytrzyma, zobaczycie, że jeszcze nowy Pugaczow łunę na niebie zapali *(chwila milczenia)*.

PUSZKIN: *(nagle posmutniawszy)* Tylko czy ja wytrzymam... Już chyba z mego wygnania nie powrócę. Sześć lat minęło, jak mnie trzymają po różnych dziurach. I końca nie widać... A jeszcze teraz po procesie dekabrystów...

FIED'KA: Nowy car, nowa gra. Ten widzi się chytrzejszy...

PUSZKIN: Co masz na myśli?

FIED'KA: Bo jak przychodzi nowy pan, to zawsze na początku coś nowe. Żeby się ludziom widziało, że to nowe. A to jeno zawżdy nowe... oszustwo. Ale wy możecie na tym coś zyskać...

Scena 6

ANNA: *(wchodzi z Sisi)* Witaj, Sasza! O, Fied'ka...

SISI: *(składając ceremonialny ukłon przed Fied'ką)* Sisi swoje poważania.

FIED'KA: *(niestropiony)* Bóg zapłać.

ANNA: Sisi, uspokój się. A ty, Saszeńka, udręczasz tu Fied'kę zamiast posłać do kuchni, gdzie by go nakarmili.

FIED'KA: *(który tymczasem wstał i podszedł do okna)*. O, Aleksander Siergiejewicz pamiętał i już mnie napoił.

PUSZKIN: My tu sobie rozmawiamy ciekawie, a wy...

SISI: Patrzcie! Patrzcie! Ktoś tu do nas idzie.

ANNA: *(podchodzi do okna, a Fied'ka niepostrzeżenie wysuwa się na ganek)* Rzeczywiście, idą do nas.

PUSZKIN: Cóż w tym niezwykłego? Pewnie...

ANNA: Ale to jacyś nieznajomi...

SISI: I widać, z wyższych sfer.

PUSZKIN: Może to ktoś z bajki?

SISI: Niestety, to na pewno mąż z żoną. *(z udaną boleścią)* Nie dla nas on.

PUSZKIN: Z damą?

SISI: Sasza zaczyna się interesować.

ANNA: Przestałabyś szczebiotać. Sasza, chodź, spójrz, kto to może być?

PUSZKIN: *(zbliżając się do okna)* Bo ja wiem, jacyś nieznajomi...

ANNA: Mamy nie ma, musimy sami robić honory domu. Sisi, popraw włosy.

SISI: *(przed ścianą, jak przed lustrem)* Właśnie, już poprawiam.

ANNA: *(przed lustrem, poprawia uczesanie)* Sisi, pamiętaj, tylko bez psot.

PUSZKIN: *(dalej przed oknem)* Rzeczywiście, kto to może być? Fied'ka *(rozgląda się)* Poszedł? Tak bez słowa? Hm... No, panienki, musicie już wyjść na ganek, bo dochodzą... Żegnajcie, pojadę do siebie.

ANNA: *(przystając)* Sasza, proszę nie odchodź, nie zostawiaj nas samych.

PUSZKIN: Pójdą sobie jak przyszli. Pewnie ugrzęzła im kareta, a tylko kupa ceregieli.

ANNA: Zostań, błagam cię! Możesz nam być bardzo potrzebny.

SISI: *(błagalnie)* Zostań, Sasza! *(wybucha śmiechem)* Płonie z ciekawości, a udaje niby obojętnego, takiego znudzonego.

PUSZKIN: Ej, ty paplo, żółtodziobie.

SISI: *(składając ukłon)* Jestem do usług pana poety — skromny żółtodziób. Zaraz mogę zacząć wyśpiewywać trele z twego Rusłana...

ANNA: *(woła z ganku)* Sisi!

SISI: *(w biegu poszturchuje Puszkina)* Popatrz jacy dostojni. Można pęc.

Scena 7

HRABINA: *(na ganku)* A jednak, widzisz, zastaliśmy tu kogoś.

HRABIA: *(na ganku)* Czyż ja temu przeczyłem?

HRABINA: *(wciąż jeszcze na ganku)* Owszem, tylko teraz zmieniłeś zdanie. Zresztą nie czas na spory. Panie wybaczą mi. Z mężczyznami tak trudno dojść do ładu. Stąd zwłoka w dopełnieniu towarzyskich powinności *(wszyscy wchodzą do salonu)* Proszę pozwolić *(wyciąga rękę do Anny)* — hrabina Natalia Aleksiejewna Bogaczow. — A to, mój małżonek, hrabia Michał Grigoriewicz Bogaczow.

ANNA: Bardzo nam przyjemnie — Anna Nikołajewna Wulf, córka pani tej posiadłości, Praskowii Osipownej, a to moja siostra Sisi.

HRABINA: Bardzo nam przyjemnie, trés enchantée.

HRABIA: Nad wyraz. Trés enchantée.

ANNA: Proszę, państwo zechcą spocząć, rozgościć się. Mama wyjechała na parę godzin...

HRABINA: *(wskazując na Puszkina stojącego przy oknie, do Anny)* A ten człowiek?

ANNA: *(spoglądając z niepokojem na ponurego Puszkina)* Ach, przepraszam najmocniej... To nasz drogi sąsiad i przyjaciel — pan Aleksander Siergiejewicz Puszkin.

HRABINA: Czyżby nasz znakomity poeta?!

HRABIA: Co za wspaniała niespodzianka!!

HRABINA: *(witając się z Puszkinem)* Na głuchej wsi takie nadzwyczajne spotkanie.

HRABIA: *(podając rękę Puszkinowi)* Witaj, nasz wielki poeto!

SISI: *(wybucha śmiechem)*

PUSZKIN: Państwo wybaczą, tyle komplementów. Biedna Sisi nie wytrzymała i śmieje się ze mnie.

SISI: Wcale nie z ciebie, tylko...

HRABIA: Czyżby ze mnie, kochanie?

SISI: Nie jestem żadne „kochanie", tylko Sisi.

HRABIA: Sisi? Co za prześliczne imię. Nieprawdaż, Natalio Aleksiejewno? *(odchodzi do okna, gdzie pilnie czegoś szuka wzrokiem w ogrodzie)*

HRABINA: *(zniecierpliwiona)* Nadzwyczajne. Ale wiesz, Michale Grigoriewiczu, że mnie zaczyna głowa z bólu pękać?

PUSZKIN: To pewnie z upału. Państwo szli taki kawał drogi pieszo po słońcu.

ANNA: W dodatku droga piaszczysta.

HRABIA: *(odchodząc od okna)* Ach, doprawdy, co z nas za roztrzepani ludzie. Przyszliśmy tu, korzystamy z gościnności państwa, a nic nie mówimy o istotnej przyczynie tego najścia.

HRABINA: *(nagle ożywiona)* Właśnie, winniśmy to wyjaśnić...

SISI: *(podchodzi bliżej)* O, właśnie...

ANNA: *(z wyrzutem)* Sisi, siadaj proszę.

PUSZKIN: *(wybucha śmiechem)*

HRABIA: *(z niepokojem)* Co pana tak rozśmieszyło?

PUSZKIN: *(śmiejąc się dalej)* Małe nieporozumienie. Bo my tu, proszę państwa, *(wskazując na panny)* często jak małe dzieci.

HRABINA: *(wdzięcząc się)* Przyjmijcie więc i mnie do swego grona.

HRABIA: Tak, przyjmijcie państwo Natalię Aleksiejewną do swego grona. Ona zawsze gotowa z młodzieżą... Ale wracając do wyjaśnień...

SISI: To ogromnie ciekawe, czemu zawdzięczamy ten wielki zaszczyt, jaki spotkał nasz dom...

ANNA: *(przerywa jej gwałtownie)* Czyżby jakaś przygoda?

HRABINA: Zgadła pani.

PUSZKIN: Kareta?

HRABINA: *(niepewnie)* Kareta się popsuła...

PUSZKIN: Przygoda raczej banalna. Szkoda, że nie coś bardziej wymyślnego.

HRABIA: Początek może banalny, ale dalszy ciąg zapowiada się *(z naciskiem)* nader interesująco.

HRABINA: Znudzeni oczekiwaniem na ludzi, którzy poszli szukać kowala, dostrzegliśmy z daleka wasz dom bielejący wśród zieleni i oto jesteśmy *(zwraca się do Puszkina)*. A pan, Aleksandrze Siergiejewiczu, mieszka tu stale?

ANNA: Ależ nie...

PUSZKIN: Mieszkam, droga hrabino, u siebie w majątku, w Michajłowskoje.

ANNA: To zaraz w sąsiedztwie.

SISI: A właśnie, że nie mieszkasz, tylko jesteś na wygnaniu *(wyzywająco)* pod dozorem szpiclów... policji. Jesteś przecież wielki przestępca.

ANNA: *(przerażona)* Sisi, zwariowałaś!

SISI: Ależ to prawda.

HRABINA: Oczywiście. O tym wie całe towarzystwo w Petersburgu.

HRABIA: Ba, o tym wie cała Rosja.

HRABINA: Więc pan tu zagląda od czasu do czasu?

PUSZKIN: W Michajłowskoje pusto. *(wskazując na panny)* Zastępują mi rodzinę. Znamy się od dzieci.

ANNA: O, Sasza jest w Michajłowskoje bardzo samotny. Z bliskich bawi tam tylko jego niania, staruszka.

HRABINA: Ach, ta wiedźma! *(nagle bardzo zmieszana)*

PUSZKIN: *(blednąc)* Co?

HRABIA: *(nerwowo)* Ach, to bardzo proste. Na salonach, w Petersburgu opowiadają sobie, że mieszkasz na wygnaniu, Aleksandrze Siergiejewiczu, ze swo-

ją niańką, taką starą babą, co na człowieka urok rzuca i inne praktyki szatańskie uprawia... Czego to ludzie nie opowiadają...

SISI: *(oburzona)* A więc takie bajdy opowiadają sobie na salonach o Arinie, twojej poczciwej niani, Saszeńka. Ciekawam, co w takim razie opowiadają sobie o Saszy?!

HRABINA: *(już opanowana)* Żałują, *(słodziutko)* wszyscy strasznie żałują Aleksandra Siergiejewicza. Wzdychają do jego powrotu... Wciąż interesują się, co też nowego tworzy nasz poeta?

SISI: *(podniecona)* A właśnie, że tworzy, pracuje, wciąż nowe wiersze pisze. A jakie piękne. A jakie piękne, to my tu najlepiej wiemy. Napisał dramę „Borys Godunow" i skończył poemat o cyganach, „Oniegina"...

ANNA: *(patrzy z niepokojem na Puszkina)* Ale... może pani hrabina, Natalio Aleksiejewno, i pan, Michale Grigoriewiczu, pragną się odświeżyć, wypocząć nieco przed podwieczorkiem, który nam za chwilę podadzą...

HRABIA: Świetna myśl!

HRABINA: *(patetycznie)* Z pani prawdziwy anioł, Anno Nikołajewno!

ANNA: *(prowadząc gości do drzwi w głąb mieszkania)* Proszę, proszę za mną.

HRABINA: Zaraz powrócimy, Aleksandrze Sergiejewiczu. Niech pan nie ucieka. Musimy się nacieszyć spotkaniem tak niespodziewanym z naszym największym poetą. Może pan napiszesz później jaki nowy wiersz... *(już w drzwiach)* o tym spotkaniu...

SISI: *(półgłosem)* Nader banalnym.

HRABIA: *(już we drzwiach)* A może jakiś epigramat? *(zamyka drzwi)*

PUSZKIN: *(brutalnie)* Żebyś nie pożałował tego.

Scena 8

SISI: *(dopada do Puszkina mówiąc półgłosem)* Saszeńka, oni mi się strasznie nie podobają.

PUSZKIN: *(figlarnie)* Chociaż, musisz przyznać... Natalia Aleksiejewna niczego sobie damulka. Taka z petersburskim żądełkiem... Nawet rad jestem, żem ją poznał.

SISI: Sasza, nie błaznuj. Musisz się pilnować. To niedobrzy ludzie. Anna też nieswoja, poznałam to po niej.

PUSZKIN: Bo przejmuje się twoim błazenkowaniem... Ale gdzie się też podział mój Fied'ka? Wymknął się stąd jak kot.

SISI: *(stuka się w czoło)* Już wiem, już wszystko wiem. Zauważyłeś, jak ten hrabia wciąż czegoś szukał w ogrodzie. To wchodził na ganek, to cofał się. O mało nie spadł ze schodów, tak się rozglądał po krzakach. A tu wciąż latał do okna. Musiał Fied'kę zobaczyć koło domu i... jakby go się zląkł... Ale czemu?

PUSZKIN: *(z uwagą)* Boi się...

SISI: *(kiwając głową)* E, w tym się coś kryje. Ja ci mówię, Sasza.

PUSZKIN: Zaraz się dowiemy. Fied'ka na pewno nie odszedł od domu. Miał mi jeszcze coś powiedzieć. Zaraz go tu zawołam. A ty, Sisi, staniesz w pobliżu tamtych drzwi. Jak posłyszysz kroki, to dasz znak.

SISI: *(podbiegając do drzwi)* No to już. Je fais ma sentinelle. Tylko wołaj go cicho.

PUSZKIN Dlaczego?

SISI: Żeby nie usłyszeli. Chociaż okna gotowalni wychodzą na tamtą stronę domu, ale zawsze ostrożność nie zawadzi.

PUSZKIN: Dobrze *(z ganku półgłosem)* Fied'ka! Fied'ka, chodź tutaj!

Scena 9

FIED'KA: *(przez całą scenę chodzi po ganku; chwilami przystaje w drzwiach salonu, chwilami znika i tylko słychać jego głos)* Jestem, paniczu.

PUSZKIN: Coś tak uciekł?

FIED'KA: Bo tak trzeba. Musicie się strzec, paniczu, tego hrabiego. Przyleciał w karecie, we wsi ją zatrzymał, i przyczłapali tu z tą wredną babą na waszą zdradę.

PUSZKIN: Jego żona?

FIED'KA: Łże. To wcale nie jego baba...

PUSZKIN: Powiadasz?... *(zaskakująco)* A ty skąd go znasz?

FIED'KA: E... Stara znajomość. Od samego urodzenia aż do... śmierci...

PUSZKIN: Więc... byłeś jego pańszczyźniany?

FIED'KA: Ojcowie, dziadkowie moi byli, to byłem i ja. Baba i córunia moja, gołąbka najmilejsza, takoż z nami... Zmarnował mi ją... Kiedym poszedł ją wydrzeć, upomnieć się za nią, dostałem odznaczenie: o, to czerwone na czole... Rzucił we mnie głownią z komina. Podpiekł. Myślałem, że oczy stracone... Baczycie starego Łukę, tego co to od Pugaczowa?... On mi oczy zratował i rozum mój naprostował. Poprzysiągłem mu, że zemszczę się za swoją i... ludzką krzywdę... Przysięgi dotrzymałem i dotrzymam. Już dwadzieścia przeszło roków wodzę się z tym gadem. Nie ma on nigdy spokoju ode mnie. Ale teraz mi już nie ujdzie... Dość ludzi namarnował, a jeszcze i za wami tu przyszedł.

SISI: *(podbiega do Fied'ki i gładzi po ramieniu, zapłakana)* Fied'ka, mój Fied'ka... Nie dasz skrzywdzić Saszeńki.

PUSZKIN: *(bardzo opanowany)* Sisi, wracaj na posterunek! A ty, Fied'ka, nie bój się o mnie. Poradzę sobie z nim.

SISI: *(już pod drzwiami zaczyna cichutko)* Tra, la, la, li, li,

PUSZKIN: Czas na ciebie, Fied'ka. Już wracają tu.

FIED'KA: Niech was Bóg błogosławi, paniczu. Byliście zawsze dla Fied'ki jak syn dla ojca... jak brat *(wychodzi)*

PUSZKIN: *(wychodząc za nim)* Pójdę z tobą, Fied'ka. Jeszcze mam ci...

SISI: *(biegnie za Puszkinem)* Ale zaraz wracaj, Sasza!

PUSZKIN: *(już za sceną)* Wrócę, Sisi, wrócę.

SISI: *(zatrzymuje się na ganku, skąd podgląda hrabiego)*

Scena 10

HRABIA: *(wchodzi ostrożnie, rozgląda się, zbliża do okna, zawraca do stołu, przerzuca leżące tam albumy; następnie przechodzi do serwantki, gdzie znajduje papiery. Ogląda je nerwowo, jak i leżące tam książki)* O, wiersze naszego *(ironicznie)* geniusza. Widać jakieś poemata... O!!! proszę, a to co? Radiszczew?! „Podróż z Petersburga do Moskwy". Byłżeby to jeden z kilku egzemplarzy, co uszły konfiskacie? No, no... To mi niespodzianka. Oto, czym się krzepi nasz poeta na wygnaniu. Najjaśniejszy pan...

SISI: *(nerwowo, w podskokach, wpada niby z ogrodu coś nucąc)* Ach, pan hrabia już powrócił. I widzę... szczęśliwie, nie nudzi się pan *(spoglądając na książkę, którą hrabia trzyma w ręku)*. Ma pan jakąś ciekawą książkę? Wszystkie nasze już przeczytałam...

HRABIA: *(trochę niepewny)* Leżała tu oto i właśnie chciałem ją przeglądnąć.

SISI: *(zbliżając się do hrabiego)* To może jakaś ciekawa książeczka?

HRABIA: Nigdy nie słyszałem o takim autorze. Zdaje się, tak przynajmniej głosi tytuł, że to jakaś podróżnicza historia.

SISI: To musi być na pewno ciekawa. Dla pana, hrabio, mniej, bo pan zapewne dużo wojażuje. Ale ja przepadam za lekturą o wojażach, bo siedzę w Trigorskoje i nosa na świat nie wysuwam *(usiłuje wziąć książkę z rąk hrabiego, który jej nie wypuszcza. Lekko się szamocą)*.

Scena 11

PUSZKIN: *(wskakuje przez okno)* Sisi! Jak ty się zachowujesz! Jakże można wyrywać gościowi, panu hrabiemu, jego książkę...

HRABIA: *(zmieszany)* Właśnie, mam podróżniczą książkę o jakimś wojażu *(bacznie patrzy na Puszkina, który słucha wszystkiego z równym zainteresowaniem)* z „Petersburga do Moskwy" i... przeglądam ją sobie, a tu gospodyni domu, panna Sisi, wyrywa mi ją *(puszcza z rąk książkę, którą Sisi łapie i zmierza do drzwi)*

PUSZKIN: O, Sisi, nie uciekaj, pokaż no tę książkę *(do hrabiego)* Stałe z nią kłopoty. Ogromnie zamiłowana w lekturach, porywa wszystko jak sroka... Daj no, Sisi, pokaż książkę!

SISI: Nie odbieraj mi, Sasza. Wiesz, jak strasznie lubię wszystko co o wojażach. Zaraz przeczytam i oddam ją panu hrabiemu.

PUSZKIN: Pokaż, niech tylko rzucę okiem... Zaraz ci ją zwrócę.

SISI: *(wraca od drzwi)* Dobrze, pokażę ci, ale musisz przysiąc, że mi ją zaraz zwrócisz.

HRABIA: Ależ...

PUSZKIN: Przysięgam *(bierze książkę z rąk Sisi)*. Tylko nie bierzesz jednego pod uwagę. Skoro książka jest własnością pana hrabiego, mogę jedynie interweniować, prosząc Michała Grigoriewicza o wypożyczenie jej dla ciebie.

HRABIA: *(zdezorientowany)* Ale cóż znowu. Książkę tę...

PUSZKIN: *(przerywając mu)* Widzisz sama, Sisi, że hrabia ma jakieś powody, dla których nie chce ci jej pożyczyć. Zapewne to francuski autor opisuje w niej nazbyt frywolne przygody swoje w wojażach.

SISI: *(dusząc się ze śmiechu)* Takie czy owakie, ale wojaże. Zresztą przysiągłeś i koniec.

HRABIA: *(z furią)* Państwo pozwolą mi wyjaśnić... To wcale nie moja książka. Znalazłem ją...

PUSZKIN: *(wpadając w tok wyjaśnień hrabiego)* Och, to nie stanowi różnicy, czy pan, Michale Grigoriewiczu, ją znalazłeś, czyś ją dostał w prezencie *(przegląda książkę i czyta)* Aleksander Radiszczew... hm... to widać jakiś nasz, rosyjski podróżnik... „Podróż z Petersburga do Moskwy"... To niewielka podróż. Myślałem, że do Chin albo do Indii. Więc jak, hrabio, może ją pan pożyczyć Sisi?

HRABIA: *(już opanowany)* Książka ta, jak już mówiłem, nie stanowi mojej własności. Ja nie miewam takich książek... to...

SISI: *(wyciąga rękę po książkę)* W takim razie, Sasza....

PUSZKIN: *(z udaną surowością)* Jak widać z tonu i akcentu położonego na „takich książkach", Michał Grigoriewicz uważa, że książka ta jest nieodpowiednia dla młodej panny...

HRABIA: *(znów z furią)* Ależ pozwól pan, Aleksandrze Siergiejewiczu, ja nigdy tej książki nie czytałem, a tylko słyszałem coś...

PUSZKIN: To wystarcza najzupełniej, żeby nie dawać jej Sisi, póki ja nie zapoznam się z treścią *(do Sisi)*. Idź teraz pomóc Annie, a potem pomówimy o książce. Być może informacje Michała Grigoriewicza są echem jakichś opinii wrogich lekturom o wojażach i okaże się, że będziesz mogła przeczytać sobie tę błahą historię małej podróży.

SISI: *(udaje obrażoną)* Dobrze, idę, ale żebyś wiedział, że i tak przeczytam sobie o tym wojażu *(wybiega)*.

Scena 12

HRABIA: *(znów opanowany zupełnie)* Może siądziemy, Aleksandrze Siergiejewiczu, będzie nam wygodniej dyskutować.

PUSZKIN: *(z wyszukaną uprzejmością)* Ależ oczywiście, proszę spocząć, panie hrabio... Ja chwilowo postoję.

HRABIA: *(siadając)* Muszę usiąść, bo diabelnie mnie zmęczył ten spacer po słońcu... Grzeje dziś jak w lipcu... To już który rok pańskiego wygnania, Aleksandrze Siergiejewiczu?

PUSZKIN: *(przeglądając wciąż książkę)* Tego lata zaczął się siódmy.

HRABIA: I tak wciąż bez zmian?

PUSZKIN: No, zmieniały się miejsca zesłania: Kiszyniew, Odessa, a wreszcie Michajłowskoje... Cóż innego miałoby się zmienić?

HRABIA: W Rosji wiele się zmieniło... Mamy nowego cara... Nasz obecny najjaśniejszy pan inaczej pojmuje swoje wysokie posłannictwo, aniżeli jego wielki brat... Bardziej ludzko, powiedziałbym.

PUSZKIN: Jak pan, hrabio, to określił?

HRABIA: Nasz miłościwy pan pojmuje swoje obowiązki wobec poddanych z niezwykłą ludzkością. Każdemu radby przyjść z pomocą, opieką...

PUSZKIN: *(wzburzony)* Pan ostatnio pewno nie bawił w Petersburgu? Chociażby w lipcu...

HRABIA: Właśnie stamtąd przyjechaliśmy. Całe lato spędziliśmy w stolicy.

PUSZKIN: I!?

HRABIA: *(obserwując go spod oka)* I teraz wyjechaliśmy trochę powojażować.

PUSZKIN: *(chrapliwie)* Powojażować!... *(jakby rzucony jakąś potężną siłą przebiega parę razy przez pokój dziwacznymi, tygrysimi skokami; nagle uspokaja się, opiera o jakiś mebel, ręka z książką założona w tyle).*

HRABIA: *(z lekkim uśmiechem)* No cóż... Jedni wyjechali na wieś, inni gdzie indziej... Pan myśli zapewne, Aleksandrze Siergiejewiczu, o tych dekabrystach... Ależ to gromada szaleńców. Do czego doszła nasza arystokracja... Zdumienie człowieka ogarnia, gdy zastanowi się nad całą tą sprawą. Żeby sam kwiat naszej sfery ważył się rozpętać taką straszliwą historię przeciw miłościwemu panu, przeciw samodzierżawiu, temu świętemu ustrojowi, jaki tylko w Rosji mógł powstać...

PUSZKIN: *(szarmancko)* Racja, Michale Grigoriewiczu, racja. Tylko w Rosji można było sobie pozwolić na coś podobnego.

HRABIA *(dobrotliwie i poufnie)* A czy panu wiadomo, Aleksandrze Siergiejewiczu, że w papierach dekabrystów, i to niemal wszystkich, znajdowano

pańskie wiersze?... Nie „Rusłana", o nie! Ale odę „Wolność", ale „Kirdżalego"... Taki wierszyk „Wieś"...

PUSZKIN: *(niedbale)* Czy pan, hrabio, może przeglądał także papiery dekabrystów?

HRABIA: *(z noszalancją)* Ach, na wszystkich salonach o tym się mówiło.... Mówiono tam również, że właściwie to i pan, Aleksandrze Siergiejewiczu, jest dekabrystą i... niektórzy uważali, że pańskie miejsce winno być obok nich!

PUSZKIN: *(gorąco)* Och, byłem na to gotów. Czekałem.

HRABIA: *(śmiejąc się)* I, nie przyszli, *(z ironią)* co?

PUSZKIN: *(spokojnie)* Dziwne, dlaczego? Nie wiem, czemu to przypisać.

HRABIA: Taka wola naszego najmiłościwszego pana. Widocznie ma on inne zamysły co do największego poety naszej wielkiej ojczyzny.

PUSZKIN: *(gwałtownie)* Jakie?!

HRABIA: Ba, tylko tak suponuję. To przypuszczenie człowieka, który wypoczywa w gościnnym salonie oczekując na przyjście dam.

PUSZKIN: Tak, przyjście dam... *(opanowany)* Sześć lat już upłynęło... Zresztą nie mogę powiedzieć, żebym uważał ten czas za stracony. Wielem się nauczył. I zapoznałem się z życiem naszego narodu bliżej, niż gdybym był te lata spędzał w stolicy.

HRABIA: To ciekawe...

PUSZKIN: Ściślej mówiąc... naszego ludu. Poznałem życie jego i wieś tak do głębi, że nic mi nie jest tu obce. Znam każdą ich myśl, każdy prąd uczuć, każdą radość, smutek, krzywdę. O, tę znam najlepiej, bo jej tu najwięcej. Całe morze krzywdy. Nic tylko krzywda.

HRABIA: *(zimno)* Lud jest wymysłem zachodnich burzycieli ładu społecznego, resztką pozostałą po zbrodniarzach, co spowodowali francuską rewolucję. U nas w Rosji jest inaczej. Lud wierzy w Boga i kocha cara. Gdyby nie ta garstka szaleńców, ludzi, niestety, naszej sfery, nic by nie mąciło spokoju na pięknej ziemi rosyjskiej.

PUSZKIN: Ma pan rację, hrabio. Dekabryści to szaleńcy. Tylko... i tu się różnimy — szaleństwo ich polegało na tym, że szli sami, niepowiązani z masą żołnierską, z ludem. A... jak nas uczą doświadczenia rewolucji francuskiej, każdy ruch rewolucyjny musi szukać oparcia o szersze podłoże. W danym wypadku trzeba było...

HRABIA: Ogromnie dziwne rozumowanie i zupełnie nie mogę go pojąć. Przecież ludowi, jak to ich pan nazywa, można, ba, należy tylko rozkazywać. Tu nie może być i mowy o porozumiewaniu się. Rozkazać, i ma być spełnione. C'est tout.

PUSZKIN: Pan hrabia...

HRABIA: *(przerywając gwałtownie)* Drogi Aleksandrze Siergiejewiczu, to co pan mi tu usiłuje dowieść, jest tak nierealne, że nawet na Zachodzie jeszcze o tym nie pomyślano. Typowe dla naszych pewnych sfer nurzanie się w mgławicach, bez jasnego spojrzenia na fakty.

PUSZKIN: *(wybucha śmiechem).*

HRABIA: Z czego pan się śmieje?

PUSZKIN: *(opanowując śmiech)* Może z dekabrystów?

HRABIA: I wtedy ma pan najwięcej racji. Gdyby umieli byli rozkazywać, kto wie co by było...

PUSZKIN: *(podchwytliwie)* Jak to mam rozumieć?

HRABIA: Był taki moment na placu Senackim, że mogli oni pułki stojące pod ich komendą rzucić do boju. A oni czekali. Na co właściwie czekali?! Przypuszczali, że żołnierstwo samo się ruszy? Głupcy! Szaleńcy! *(nagle opanowuje się).* Ale nasz pan najmiłościwszy nie czekał. On wie, co trzeba i umie rozkazywać.

PUSZKIN: A może oni nie chcieli czyjąś krwią szafować... Czyjąś krew przelewać?

HRAIBIA: Najjaśniejszy pan nie bał się przelewu krwi, gdy chodziło o wielkość naszej krainy.

PUSZKIN: Słuszność zostanie przy nich. Przy dekabrystach na wieki. A zbrodnia, piętno zbrodni spadnie...

HRABIA: *(cierpko)* Widzę, Aleksandrze Siergiejewiczu, że niczego nie nauczyły cię te sześć lat wygnania. Wszystko to mało.

PUSZKIN: Za to wiele nauczyły mnie szubienice Rylejewa, Bestużewa i innych. Więzienia i zsyłki moich drogich przyjaciół. Nauczyła mnie wiele krzywda chłopska.

HRABIA: Myślę, że za dużo czasu poświęcałeś lekturze pisarzy zachodnich. Wszystkie twoje teorie, twoje ideje o ludzie są czczym i utopijnym wymysłem dalekich i obcych nam myślicieli Zachodu.

PUSZKIN: Tak więc waszym zdaniem, Michale Grigoriewiczu, krzywda ludu, pragnienie wolności, i moje poglądy na te sprawy są czczym idealizmem i mrzonką zapożyczoną z Zachodu?... Czy jesteś pan aby tego pewien, hrabio?

HRABIA: Twierdzę to z całą stanowczością, przekonany o tym najgłębiej.

PUSZKIN: *(który już od chwili przerzuca kartki trzymanej przez cały czas książki)* I, że są to wszystko obce naleciałości... jakieś obce naleciałości na zdrowym pniu rosyjskim!

HRABIA: Bez wątpienia.

PUSZKIN: *(zaczyna się śmiać i zanosi się od śmiechu tak, że hrabia jest pełen niepokoju).*

HRABIA: Co się panu stało? Ależ, Aleksandrze Siergiejewiczu!

PUSZKIN: *(śmiech jego jest teraz pełen grozy).*

HRABIA: Może panu wody? *(niespokojny zrywa się)* Aleksandrze Siergiejewiczu!

PUSZKIN: *(blady, oparty o jakieś krzesło dyszy ciężko, po chwili wolno wraca do siebie; podsuwa pod oczy hrabiego trzymaną wciąż w ręku książkę)* Przecież to pan hrabia zna?!

HRABIA: *(cofa się, zaprzeczając gwałtownym gestem).*

PUSZKIN: Nie? Ponieważ ja na pewno pierwszy raz się z nią spotykam, możemy przeczytać sobie jeden jej fragment, co przed chwilą wpadł mi w oczy...

HRABIA: Co? Czytać głośno Radiszczewa?! *(ze zgrozą)* Radisz... czewa?...

PUSZKIN: A czemużby nie? Skoro już mamy pod ręką. Czyż to, że autor skazany został za nią na zesłanie?... że zapłacił rozpowszechnianie jej zdrowiem i życiem?... to, ma nas odstraszać od poznania jakiegoś małego urywku?! *(obejrzawszy się z udaną podejrzliwością)* Zresztą jesteśmy tu sami... I... ludzie honoru.

HRABIA: Ależ Radiszczew obraził majestat. Imperatorową. Naszą wielką Katarzynę II...

PUSZKIN: *(dobrotliwie)* Tak. Semiramidę Północy. Protektorkę Diderota, przyjaciółkę Woltera i wielbicielkę francuskich encyklopedystów. Jakoś dziwnie łatwo godziła obcowanie i popieranie zarazy rewolucyjnej Francji z tępieniem i bezlitosnym tłumieniem naszego własnego, narodowego nurtu reform społeczno-politycznych. Oklaskiwana przez całą Europę za wolnomyślność nie zawahała się wielka Katarzyna brutalnie niszczyć każdy szlachetny odruch sumienia publicznego we własnym kraju.

HRABIA: Do czego pan właściwie zmierza, Aleksandrze Siergiejewiczu?

PUSZKIN: To proste. Do wyjaśnienia tego, co mnie tak rozśmieszyło w pańskim rozumowaniu. Pan twierdzi, jakobym ja kierował się francuskimi teoriami rewolucyjnymi. Jakobym był utopistą i czczym naśladowcą nowinek zagranicznych. Pan twierdzisz, jakoby święta i prawosławna Rosja była bez najmniejszej skazy pod światłym panowaniem naszych miłościwych władców... A tymczasem *(zapalczywie)* Tymczasem trzydzieści kilka lat temu ukazała się ta oto książeczka w Rosji. Znajdujemy tam obraz innej Rosji aniżeli pan, hrabio...

HRABIA: *(filuternie)* Ach, więc znana ci jest, Aleksandrze Siergiejewiczu, ta książeczka, ta błaha podróż...

PUSZKIN: *(gwałtownie)* Znana tak samo jak i panu, Michale Grigoriewiczu. Jest w niej obraz Rosji tyranii, ucisku, okrutnej władzy panów i straszliwej nędzy, krzywdy chłopa... Wprawdzie Radiszczew poszedł za nią na Sybir, do katorgi, nakład jej zniszczono, wszystkie moce carskie sprzysięgły się na jej zagładę, to jednak mamy tu oto jeden z ocalałych przedziwnie jej egzemplarzy...

HRABIA: Przyznaj się, Aleksandrze Siergiejewiczu, skąd pan ma ten egzemplarz?

PUSZKIN: *(czarująco)* Od pana, hrabio. Ściślej z rąk Sisi, która ją panu tak niegrzecznie wyrwała.

HRABIA: *(wzburzony)* Ależ to przekręcanie prawdy! To szantaż!...

PUSZKIN: Niech pan się uspokoi, hrabio... *(zagłębiając się w książkę)* Oto co pisze Aleksander Radiszczew: „Lecz kto między nami nosi okowy, kto odczuwa brzemię niewoli? Ten co ziemię uprawia! Karmiciel naszego wychudzenia, ten, który syci nasz głód, który obdarza nas zdrowiem, przedłuża nasze życie, nie mając prawa rozporządzania ani tym co obrabia, ani tym co wytwarza!" — i dalej *(spoglądając na hrabiego)* ...jeszcze tylko jedno małe zdanie: „Czyż państwo, gdzie dwie trzecie obywateli pozbawione jest obywatelskiej godności i po części jakby nieistniejące, może nazwać się błogosławionym?"

HRABIA: *(wściekły)* To podłe oszczerstwa rzucane na własny kraj.

PUSZKIN: *(słodziutko)* To już nie mrzonki Zachodu. To ogarnięcie potrzeb własnego społeczeństwa, wad ustrojowych, ogarnięcia całości życia naszego narodu, rosyjskiego narodu.

HRABIA: *(wstając z fotela)* Zdaje się, że nie zdołamy dojść do porozumienia, Aleksandrze Siergiejewiczu.

PUSZKIN: *(z niesłychaną gracją i spokojem)* I mnie się podobnie wydaje.

HRABIA: *(już opanowany)* Ale muszę wyznać, że *(z uśmiechem)* jestem pełen podziwu dla pana, drogi Aleksandrze Siergiejewiczu.

PUSZKIN: *(z rezerwą)* Podziwu?! Nie rozumiem...

HRABIA: Tak, podziwu! Dla pańskiego niezłomnego charakteru, wzniosłości duszy. Przecież to zupełnie niezwykłe spotkać kogoś, po sześciu latach wygnania, w warunkach bądź co bądź *(wskazując na otoczenie rzuca wzrokiem w okno)* głęboko prowincjonalnych, tak ożywionego twórczo, tak pełnego ognia do zagadnień rewolucyjnych... *(przy tych słowach hrabia doskakuje do okna i wykrzykuje)*. O, widzi pan, ten człowiek?!

PUSZKIN: *(zbliża się do okna)* A, widzę.

HRABIA: *(nerwowo)* Co on tu robi? Zna go pan może?

PUSZKIN: *(leniwie)* Ot, włóczęga, zabawny dziad... *(znacząco)* Jeden z tych, o których mówi Radiszczew. Ofiara naszego porządku społecznego...

HRABIA: *(bardzo podniecony)* Jak tu szliśmy z Natalią Aleksiejewną, zdawało mi się, że... ten włóczęga stąd wychodził *(odwraca się do okna, a Puszkin, któ-*

ry już od chwili zauważył leżący obok fotela kapelusz Fied'ki wpycha go stopą pod spód). Przypomina mi on kogoś... Czyś nie zauważył pan, Aleksandrze Siergiejewiczu, na jego czole takiej blizny... szramy, powiedzmy.

PUSZKIN: *(flegmatycznie)* Szramy? Blizny?... Nie przypominam sobie.

HRABIA: Może miał on... *(nagle dodaje)* Pewnie mi się przywidziało.

PUSZKIN: *(obojętnie)* Pewnie... *(drapieżnie)* A może wyjrzała z jego oczu krzywda pańszczyźnianego chłopa, co, hrabio?

HRABIA: Ach, pan zawsze musisz, Aleksandrze Siergiejewiczu, tak zasadniczo, a to prosty przypadek. Ot... błahe zdarzenie *(zaskakująco)* Skąd pan wie, że on pańszczyźniany, co?

PUSZKIN: *(parskając śmiechem)* A jakiż może być dzisiaj chłop w Rosji, co? Kapitalne!

Scena 13

SISI: *(wpada do pokoju)* Och, bardzo przepraszam. Ale kazano mi natychmiast ekskuzować się przed panem hrabią i Saszą...

HRABIA: *(roztargniony)* Za cóż to, piękna panienko?

SISI: Pani hrabina zaraz tu będzie z Anną. Nieobecność jej przeciągnęła się... Ale po prostu „zaopowiadały" się z Anną. Pani hrabina naprawdę się zmęczyła i nagle poczuła się bardzo... niewyraźnie. Tak, naprawdę bardzo... niewyraźnie *(spogląda błagalnie na Puszkina).*

PUSZKIN: Ach, to zupełnie zrozumiałe, po takim spacerze. I my, tutaj, też czuliśmy się chwilami niewyraźnie... To jest, chciałem powiedzieć, że pan hrabia czuje się...

SISI: Czyżby z powodu tej książki? Pokłóciliście się może?

HRABIA: Ależ, co za przypuszczenie *(znów przy oknie)* Ach, panno Sisi, pani na pewno mi pomoże rozwikłać, kim jest ten człowiek, co przed chwilą szedł tędy przez park... O, tam, w tej alejce zniknął mi w tej chwili z oczu.

SISI: *(która podeszła do okna)* Nie widzę nikogo, i nie wiem, o kim pan mówi.

PUSZKIN: *(dobrotliwie)* O Fied'kę, Michałowi Grigoriewiczowi chodzi o Fied'kę.

SISI: Fied'ka, to dziad, panie hrabio, taki włóczęga. Zjawi się raz na rok, albo i rzadziej, nakarmią go w kuchni, pogada coś o swojej gołąbce i...

HRABIA: *(z tajonym drżeniem)* Cóż to znów za opowieść o jakiejś gołąbce?

SISI: Mogę panu hrabiemu powiedzieć tę bajkę. Słyszałam ze trzy razy, jak Fied'ka ją opowiadał. Proszę, siadajcie, panowie!

HRABIA: *(siadając)* Hm... Bajkę?...

SISI: U łuku morza dąb zielony...

PUSZKIN: *(gwałtownie)* Coś ty, Sisi?!..

SISI: *(z powagą)* Nie przeszkadzaj mi, Saszeńka. Czuję wenę. Siadaj proszę i posłuchaj... Muszę jeszcze raz od początku...

„U łuku morza dąb zielony,
Złocisty łańcuch wieńczy dąb,
A po łańcuchu kot uczony
I dniem i nocą chodzi w krąg.
Idzie na prawo — pieśń zawodzi,
W lewo — i bajka już złożona.
Dziw tam nad dziwy: kusy brodzi,
A na gałęziach dziwożona.
Tam na nieznanych ludziom dróżkach,
Ślad niebywałych jakichś zwierzy.
Chatynka tam na kurzych nóżkach
Stoi bez okien i bez dźwierzy..."

I w tym miejscu pojawia się Fied'ka. Żył on sobie w takiej chatynce, bez okien i dźwierzy, i chował w niej swoją gołąbkę, co była dlań wielkim, ogromnym skarbem. A opodal we wspaniałym dworze żył jastrząb, takie *(jakby wskazując na hrabiego)* potworne ptaszysko. I pewnego dnia ten zły jastrząb porwał Fied'ce białą gołąbkę. Zaś kiedy Fied'ka chciał ją ratować, taką biedną, skrwawioną, ale jeszcze żywą, wtedy okrutny jastrząb rzucił...

HRABIA: *(nieopanowanie)* Rzucił?!

SISI: *(naiwnie)* Rzucił się na Fied'kę i oślepił go.

HRABIA: *(podniesionym głosem)* Łże łajdak! Widzi on doskonale. Nie oślepł!

PUSZKIN: Jak pan powiada, hrabio?

SISI: *(niby rozbawiona)* Pan hrabia tak się przejął tą bajką Fied'ki, jakby to było naprawdę. Ja także za każdym razem, kiedy Fied'ka ją opowiadał, podobnie się przejmowałam. Tylko... że wcale się na niego nie gniewałam, nie złościłam, jak pan hrabia.

HRABIA: *(zmieszany)* Bo ja, panno Sisi, nie znoszę tych wszystkich włóczęgów. To rzezimieszki, złodziejaszki.

SISI: Ależ Fied'ka nigdy nic w naszym domu nie ukradł.

HRABIA: O, pani go nie zna, panno Sisi. To musi być wyjątkowy hunc-wot.

SISI: Widać, że pan hrabia go zna, skoro...

HRABIA: Nie, nie mam przyjemności. Tylko wiem z długoletniego doświadczenia, że wszystkie te Iwany, Fiodory i Fied'ki jednakie nasienie. Przyjrzałem

im się. Możem i jego kiedy widział. Taki włóczęga wszędzie trafi... Ale, czy nie pamięta pani czasem takiej szramy... no blizny, na czole tego, jak go nazywacie, Fied'ki?

SISI: *(rzucając przelotne spojrzenie na Puszkina, który siedzi niedbale w fotelu)* Nie zauważyłam. Zresztą... nie przyglądałam mu się nigdy tak bliżej.

PUSZKIN: Zawsze jesteś roztrzepana, Sisi. I widzisz jak to niedobrze. Gdybyś przyjrzała się Fied'ce, mogłabyś teraz ukoić niepokój naszego drogiego gościa, Michała Grigoriewicza.

HRABIA: *(wyniośle)* Och, to sprawa o wiele donioślejsza, niż się nią być wydaje. Tu chodzi o równowagę sprawiedliwości, praworządności. Ta blizna, o którą zapytywałem, to znamię jednego z moich chłopów, który zbiegł mi przed laty. Mało tego. Za jego podszeptami zbiegło już z moich wsi kilkunastu innych pańszczyźnianych. I to co najrobotniejszych. A ile pożarów już miałem, ile bydła mi pokradli, ile koni zmarnowali *(w miarę zapala się)*. Mam więc głębokie powody, żeby tępić tych wszystkich Fied'ków, Iwanów, Fiodorów, łotrów, rozbójników...

Scena 14

HRABINA: *(wyświeżona wchodzi z Anną)* Ach, najmocniej przepraszam za tak długą absencję, ale mademoiselle Anna zajęła się mną aż do samozaparcia. Musiałam słuchać jej rad i wypocząć należycie. Za to ból głowy przeszedł bez śladu.

HRABIA: *(spokojniejszy już)* Właśnie przepraszała nas w twoim imieniu panna Sisi.

HRABINA: *(zdziwiona)* Panna Sisi?

ANNA: *(pośpiesznie)* To ja, pani hrabino, wysłałam tu naszą Sisi, żeby wytłumaczyła panom tę przedłużającą się naszą nieobecność.

HRABINA: *(słodko)* Pani jest cudna, mademoiselle Anno. Pamięta pani o każdym drobiazgu; doprawdy nigdy nie zapomnę tych chwil spędzonych w towarzystwie pani.

PUSZKIN: Już widzę, Anno, że cnoty twoje opiewane będą na petersburskich salonach.

HRABINA: *(z dąsem)* Ach, co za perfidia. Nie pozwolił mi pan dokończyć głoszonej pochwały.

HRABIA: *(niecierpliwie, od okna, przy którym znów się kręci)* Nie rozumiesz, że Aleksandrowi Siergiejewiczowi chodzi o powiększenie efektu. *(zwraca się nagle do Anny)* Czy nie zechciałaby pani, Anno Nikołajewno, pokazać mi swoje kwiaty w parku?

ANNA: *(niepewnie)* Ależ najchętniej, hrabio. Tylko czy pana nie zmęczy spacer? Co prawda żar już zelżał, powietrze się orzeźwiło.

HRABIA: O tak. Nawet spragniony jestem powietrza. Pozwolisz, Natalio, że pozostawię cię tu w towarzystwie... *(wskazuje na Puszkina).*

HRABINA: *(patrząc na poetę w rozmarzeniu)* Tak ekscytującym... *(nagle)* Oczywiście panna Sisi będzie wam towarzyszyć.

ANNA: Ależ tak, oczywiście. Chodź, Sisi!

SISI: *(ze złością)* Dobrze, mogę pójść do parku z państwem *(z nagłym błyskiem)* Ale pobiegnę przodem. Na spotkanie gońca, którego wysłałam po wiadomość o losie karety.

HRABIA: *(opanowując wściekłość)* Doprawdy, jaka pani uprzejma, panno Sisi.

ANNA: *(radośnie)* Ach, jak to dobrze, że o tym pomyślałaś, Sisi. Zapomniałam najzupełniej o tak ważnym obowiązku. Czy kazałaś Miszy zabrać narzędzia?

SISI: A po cóż go się posyłało? Żeby dopomógł w reperacji karety.

PUSZKIN: *(wesoło)* Widzę, że Sisi dorośleje. Zaczyna pojmować obowiązki gospodyni. To dopiero mama się ucieszy.

HRABIA: A więc idziemy, miła mademoiselle Anno. *(biorę Annę pod rękę i wychodzą)* Panna Sisi, oczywiście.

SISI: *(pospieszając za nimi, robi miny do Puszkina)* Ależ oczywiście, oczywiście, oczywiście!

Scena 15

HRABINA: Uroczy diabełek z tej pańskiej kuzyneczki.

PUSZKIN: Uroczy.

HRABINA: Zresztą mniejsza o tę dziewczynę. Nie powinna nam ona mącić tej cudownej chwili, na którą czekałam od wieków.

PUSZKIN: Nie rozumiem?

HRABINA: Móc z panem, Aleksandrze Siergiejewiczu, rozmawiać bez świadków, poić się twoimi słowami, czarem głosu, jak *(patrzy na Puszkina, który siedzi nonszalancko, spoglądając przed siebie)* poiłam się dotąd twoją poezją.

PUSZKIN: Hm... Ale ja nie jestem wcale tym, za kogo mnie pani uważa.

HRABINA: *(zdetonowana)* Pan nie Puszkin?... nie Aleksander Siergiejewicz Puszkin?

PUSZKIN: Puszkin.

HRABINA: *(z ulgą)* Przeraził mnie pan... Tak się zawsze składało, że wiele o panu słyszałam, pańskie poezje poznałam, a nigdy nie mogłam pana poznać osobiście. I oto dziś ten najpiękniejszy dzień w moim życiu. Tak olbrzymia nagroda za drobną przykrość z tą karetą. Pańska kuzynka, Anna Wulf, osładzała mi cały czas mojej tu nieobecności rozmową o panu, Aleksandrze Siergiejewiczu. Tylko o panu, drogi...

PUSZKIN: *(podejrzliwie)* O mnie, tylko o mnie? *(gwałtownie)* A to po co?

HRABINA: *(zmieszana)* Pan się dziwi? *(opanowana, znów zalotnie)* Przecież to naturalne. Mademoiselle Anna rozumiała, jakim balsamem jest ten uroczy temat dla mej chwilowej niedyspozycji...

PUSZKIN: *(z udaną troskliwością)* Ale już teraz minęło? Czuje się pani dobrze, hrabino?

HRABINA: Dobrze? To nie wyraża zupełnie moich uczuć... mego stanu w tej chwili...

PUSZKIN: Ach, Ania to prawdziwa czarodziejka. To okropne, że porwał ją Michał Grigoriewicz, bo i mnie potrzebny jej balsam... Myśmy tu z hrabią nie spędzili czasu tak... rozkosznie.

HRABINA: *(nieco nerwowo)* Ach, mój mąż strasznie ma rozstrojone nerwy. I nieustannie interesuje go, jak zresztą was wszystkich, tyle różnych spraw i ta polityka. A znów my, kobiety... *(rzuca kokieteryjne spojrzenie i widzi, że Puszkin pilnie obserwuje szpic buta)* Ale... czy nie mogłabym wiedzieć, co też pan teraz pisze, nad czym pracuje?

PUSZKIN: *(cedząc)* Myślę, że znudziłbym panią, hrabino, powtarzając, co słyszała już pani od Anny.

HRABINA: Oczywiście, że Anna Nikołajewna opowiadała mi wiele o pracy pana. Ale to nie to samo... Widzę, że znalazł pan tu prawdziwie rodzinny dom... *(z nagłym ożywieniem)*. Ach, byłabym zapomniała. Jesteśmy w doskonałych stosunkach z pańskim stryjem, Wasilem Lwowiczem... Jakiż to uroczy człowiek, a co za causeur! I bardzo, bardzo dobry poeta. Ależ w pańskiej rodzinie to same talenty... Przecież i ojciec pana pisze...

PUSZKIN: *(ponuro)* Raporty.

HRABINA: Jakto?

PUSZKIN: Zresztą nie mam już ojca.

HRABINA: *(zaniepokojona)* Czyżby go spotkało jakie nieszczęście? Tak niedawno z nim...

PUSZKIN: *(z uśmiechem)* Rozmawiała pani? *(powstając z fotela)*. Więc powinna pani wiedzieć, że rozstaliśmy się. Wyjechał *(robi ruch, że ojciec rozpłynął się w powietrzu)*.

HRABINA: O tym to wiem. Przecież bawi w stolicy, a nie tu. Nie wspominał mi nic, że panowie są un peu... Nie zwierzył mi się z tym... widać, że to bolesne dla niego... Jakże bolesne musi być dla niego, skoro dla mnie...

PUSZKIN: *(brutalnie)* Dla takich nie ma nic bolesnego.

HRABINA: *(bardzo zmieszana)* Co pan mówi?! Pan jest okropny, Aleksandrze Siergiejewiczu! Pan jest straszny człowiek!

PUSZKIN: *(znów czarujący)* A pani tak marzyła, żeby rozmawiać, żeby poznać poetę... *(zbliżając się do niej zagląda bezczelnie w oczy)* I... rozczarowała

się, pani, co? *(ironicznie)*. Myślałaś hrabino: znarowiony łoszak, z którym poigram... A to wściekłe konisko!

Scena 16

SISI: *(wpada zdyszana)* Przybiegłam po panią hrabinę i ciebie, Sasza. Kareta już wyzdrowiała... o jej, pomyliłam się. Już się nareperowała, i pan hrabia prosił, żebyśmy sprowadzili panią hrabinę, bo się ogromnie spieszy z odjazdem. Mówił, że macie państwo jeszcze jakąś pilną wizytę, proszoną. Prosił, żebym go wytłumaczyła, że sam nie przychodzi, ale już nie chce się męczyć przed tą wizytą, proszoną...

PUSZKIN: A jakże kwiaty znalazł pan hrabia? Podobały się?

SISI: Zachwycony. Spacer udał się wybornie, bez żadnych accidents *(do hrabiny)*. Pozwoli pani, hrabino, że będziemy ci towarzyszyć.

HRABINA: *(przymilnie do Sisi)* Dziękuję, po stokroć dziękuję, panno Sisi *(chłodno)* Pana, Aleksandrze Siergiejewiczu, nie będę trudziła...

SISI: *(rozglądając się po pokoju, gwałtownie do Puszkina)* A książka, gdzie?!

PUSZKIN: O, tutaj *(podnosi ją z kozetki)*. Jest.

HRABINA: *(zainteresowana)* Cóż to za ciekawa książeczka, że panna Sisi tak się niepokoi o nią?

SISI: To o jakimś wojażu. Pan hrabia był łaskaw wypożyczyć mi ją.

HRABINA: *(zdziwiona)* Michał Grigoriewicz? Ciekawe skąd on mógł...

PUSZKIN: *(z galanterią)* Tak się szczęśliwie składa, że mogę zaspokoić ciekawość pani, hrabino. Byłem bowiem świadkiem, jak Sisi prawie że wyrywała ją z rąk hrabiego, który bawiąc przez chwilę sam w salonie feilletonował sobie tę książeczkę.

HRABINA: Nic nie rozumiem.

SISI: Właśnie. I pan hrabia pożyczył mi tę książkę.

PUSZKIN: Mogę to potwierdzić.

HRABINA: *(wściekła)* Ach, tracę tu czas, a tam Michał Grigoriewicz na pewno się denerwuje. Żegnam pana, Aleksandrze Siergiejewiczu i... pewnie spotkamy się wkrótce w stolicy... w przyjaźniejszych dla mnie okolicznościach...

PUSZKIN: *(składając ukłon)* Pani. Jestem ożywiony tą samą nadzieją *(hrabina i Sisi wychodzą odprowadzane przez Puszkina do drzwi i na ganek)*.

Scena 17

PUSZKIN: *(powracając z ganku)* Kanalie!! *(twarz nabiera niespodziewanej dzikości, tej Hannibalowej, pięść zaciśnięta)* Żmije i zbiry! Donosiciele! Carskie jady!

FIED'KA: *(ukazuje się w oknie, szeptem)* Paniczu!

PUSZKIN: *(odwracając się gwałtownie)* Ach, to ty, Fied'ka? Jesteś, to właź tu, już sobie poszły te gady.

FIED'KA: Wróciłem się tylko po kapelusz, com go tu zostawił. Tam leżał, koło tego krzesła com...

PUSZKIN: Jest *(dobywa go spod fotela)*. Schowałem go... Masz. Nie chcesz ze mną porozprawiać. Zabiorę cię do Michajłowskoje....

FIED'KA: Spieszno mi. Niech was Bóg błogosławi *(znika)*.

PUSZKIN: *(wychyla się i woła półgłosem)* Fied'ka, słuchajno, Fied'ka... *(po chwili odwraca się od okna)*. Poszedł *(podejmuje ze stołu Radiszczewa, czyta półgłosem)* „...Naród rosyjski bardzo cierpliwy, i umie cierpieć do samego końca; ale kiedy wreszcie położy kres swemu cierpieniu, to już nic go nie może powstrzymać!..."

Scena 18

SISI: *(skrada się na palcach)* Sasza!

PUSZKIN: *(drgnął gwałtownie)* Ach, to ty. Uciekłaś od nich?

SISI: Nie potrzebowałam jej odprowadzać, bo hrabia już szedł z Anią na spotkanie. Zaczęłam więc narzekać, że mnie strasznie ząb rozbolał, pożegnałam ich słodziutko i przybiegłam do ciebie. Takiś był smutny, Saszeńka, że... Ale teraz już się nie martw, ani moim zębem też, bo mnie wcale nie boli.

PUSZKIN: To szczęście, Sisi, że cię nie boli i szczęście, że już sobie do diabła pojechali ci piekielni goście.

SISI: Saszeńka, wytłumacz mi, czego właściwie oni tu szukali? Miszka, którego posłałam na zwiady, powiedział mi, że kareta wcale nie była popsuta. Tak jak ci mówił Fied'ka. Więc oni kłamali. Ale czego chcieli od ciebie? A może po prostu poznać?

PUSZKIN: *(zgryźliwie)* Tak, poznać — największego poetę wielkiej Rosji.

SISI: Ten hrabia — okropny. A ona, może nawet podobała ci się, ale też okropna.

PUSZKIN: Głupek jesteś, Sisi. *(nagle poważnieje)* Ale muszę przyznać, że uratowałaś mi Radiszczewa. Dzielna i niegłupia z ciebie dziewczyna. Wspaniale zrobiłaś wyrywając mego drogiego mistrza i przyjaciela z rąk tego... szpiega.

SISI: Szpiega?! To on też szpieg?... Od razu mi się nie podobali.

PUSZKIN: Masz dobrego noska, Sisi. Oni tacy sami jak ojciec Jan ze Świątogorskiego klasztoru, jak mój rodzony papa, jak ten Bosznak, co był ostatnio... To wszystko jedna swołocz, carskie kundle... *(ze wściekłością)*. Opiekunowie!

SISI: *(z powagą)* A tyś, Saszeńka, szaleniec, żeby trzymać Radiszczewa tak na wierzchu.

PUSZKIN: Masz rację. I jeszcze w waszym salonie... Ale był z moimi bazgrołami, pójdzie na moje konto. Zresztą, co złego, *(komicznie)* to zawsze Puszkin winien.

SISI: *(zaczyna tańczyć)* Ach, jak to świetnie, że już sobie pojechali, tra, la, la, tralala.

PUSZKIN: *(nuci)* Tralila, tralila... *(nagle spochmurniał)*. Najgorzej z Fied'ką.

SISI: *(podobnie)* Tak, co z Fied'ką? Wiesz, że tylko dlatego zgodziłam się pójść do parku z Anią i tym... hrabią, żeby szepnąć Ani o Fied'ce. Nie spotkali go nigdzie, ani ja go nie spotkałam.

PUSZKIN: Ania by i tak nic nie powiedziała. Ona mądra.

SISI: Pewnie, że mądra. Tylko, że nie zna świata. Widzisz, ona jest dobra, ale taka... wzniosła, posągowa.

PUSZKIN: *(miękko)* Anna jest wspaniała... *(po chwili milczenia)*. Aleś mnie zastrzeliła, Sisi. Najpierw paple niedokończony wstęp do Rusłana... Wściekły byłem. Rozszarpałbym cię... Aleś potem rozrobiła tę bajeczkę o Fied'ce. Skąd ci się wziął taki pomysł? Zagrałaś na nerwach hrabiego pierwszorzędnie.

SISI: Ale się sypał, co? Saszeńka? *(wskazując na siebie)* Twoja szkoła. A kot uczony jest moim największym ulubieńcem — „A po łańcuchu kot uczony i dniem i nocą..."

PUSZKIN: Nie mogę tego słuchać *(podbiega ku oknu, chce wyskoczyć)*.

SISI: *(łapie go za połę)* O, nie wypuszczę cię... Ja cię...

PUSZKIN: Dość mam poezji. Chcę żyć życiem kolegialnego asesora.

Scena 19

ANNA: *(wpada do salonu, blada, roztrzęsiona)* Nieszczęście! Sasza! Sisi! Nieszczęście!

PUSZKIN i SISI: Co się stało? Aniu?

ANNA: Och, nie mogę, nie mogę...

PUSZKIN: Fied'ka?

ANNA: Ledwie kareta ujechała z nimi ze dwieście, trzysta kroków, wyskoczył z krzaków Fied'ka z nożem w ręce, dopadł karety i... zdaje się... dźgnął kogoś...

PUSZKIN: *(dziwnie spokojnie)* Ach, hrabiego. *(nerwowo)* A sam?

ANNA: Nie wiem. Zdaje się, że go...

SISI: Złapali?

PUSZKIN: Niemożliwe?!

ANNA: Gonili... nie wiem... nie wiem *(rozpłakuje się)*.

PUSZKIN: A co z nimi?

ANNA: Kareta odjechała. Został tylko lokaj hrabiego... zdaje się, że... tę pogoń za Fied'ką...

PUSZKIN: *(z ulgą)* Ach, tak. *(gładzi Annę)*. Nie płacz, Aniu. Wszystko będzie dobrze. Musimy pomóc Fied'ce. Chodź, Sisi.

SISI: Lećmy *(wybiegają)*.

(K u r t y n a)

Stefan Flukowski

Wspomnienia o Wacławie Nałkowskim

WACŁAW NAŁKOWSKI

(Notatka Mieczysława Kaufmana w „Kurierze Łódzkim“
z dnia 1 lutego 1911 r.)

Zakończyło się życie piękne, pełne niestrudzonej pracy, wysiłków, walk bohaterskich.

Zgasł człowiek czysty, nieskazitelny, szczery i prawdomówny.

Zstąpił do grobu znakomity uczony, pierwszy i najwybitniejszy geograf polski, nieoceniony nauczyciel i pedagog.

W epoce, gdy na naszym partykularzu naukowym kwitły w najlepsze nieuctwo i ciasnota pojęć, gdy geografię pojmowano jako zbiór nazw i cyfr, które w umysły uczniów mechanicznie wtłoczyć należy, zjawił się 30 lat temu Wacław Nałkowski zbrojny w niepospolitą erudycję, szerokie pojmowanie nauki, którą ukochał, i charakter śmiały i bezwzględny.

Widział on w geografii naukę, dążącą do poznania ludzi i ich środowiska fizycznego oraz powołaną do wyjaśnienia dziejów gromad ludzkich za pomocą badań nad ich otoczeniem i warunkami zewnętrznymi.

Taka była myśl przewodnia jego podręczników geografii rozumowej i poglądowej, licznych broszur i artykułów, oraz wielu, niestety nie wydanych jeszcze jego prac.

Jako krytyk, Nałkowski nie licząc się z żadnymi względami, tępił zawzięcie chwasty nieuctwa i smagał niemiłosiernie dyletantyzm w nauce.

Ponad wszystkim jednakże dominował Nałkowski-człowiek.

Była to istota, z którą brudne i szachrajskie życie nie zdołało wejść w żadne konszachty.

Z politowaniem i pogardą patrzał na robactwo ludzkie uwijające się natrętnie około... rubla.

Nie było sprawy społecznej, nie było faktu o znaczeniu ogólniejszym, by Nałkowski nie rzucił na szalę sporów swego zdania nieprzedajnego, swego słowa śmiałego i otwartego.

Jego oddalający się od nas cień występuje jako sylwetka mocno zarysowana, o konturach wyraźnych, silnie od tła ogólnego odbijająca.

Oczywiście, iż taką wiedzę, pracę, charakter, a zwłaszcza śmiałość przekonań społeczeństwo należycie ocenić potrafiło.

Odpłaciło ono temu promiennemu duchowi męką, nędzą i cierpieniem życia całego.

Nałkowski żył i umarł, jako „nauczyciel prywatny“, ciężko na chleb pracujący i niejednokrotnie ze swe przekonania pracy zarobkowej pozbawiany.

WACŁAW NAŁKOWSKI

(Notatka Aleksandra Świętochowskiego w „Kulturze Polskiej“ r. 1911, nr 2)

Kto pamiętał przed 29 stycznia 1911 roku, że w Warszawie wśród najcięższych warunków, skazany na wyrobnictwo literackie i rzemiosło pedagogiczne, żyje jeden z najtęższych umysłów i najznakomitszych uczonych polskich?

Szczupłe grono jego przyjaciół i tych, którzy nie od kłamliwej i stronnej reklamy dowiadują się, kogo należy czcić i cenić, w kim przejawia się geniusz narodu, kto mu daje pożytek i chwałę.

Dopiero od dnia przedwczesnej śmierci Nałkowskiego ci, którzy o nim milczeli, lub nie słyszeli, wiedzą i powtarzają, żeśmy posiadali i zmarnowali ogromną siłę umysłową, że badacz, który byłby pierwszorzędną gwiazdą na katedrze uniwersytetów europejskich, miał zamknięte drzwi polskich i rozpraszał skarb swej wiedzy w średnich szkołach i lekcjach prywatnych.

Jego dzieła geograficzne pozostaną trwałymi pomnikami, a to, czego dokonać nie mógł — trwałym żalem. W kraju fałszywych miar i wag, złorzeczenia bohaterom i kultu Apisów, w kraju, gdzie kardynał więcej znaczy niż genialny poeta, gdzie ulice nieraz brukowane są klejnotami, po których z bezmyślnym uśmiechem przejeżdża głupota, a zwyczajne głazy są jak kamienie Mekki przedmiotem czci religijnej, Nałkowski znalazł się sam pod kołami okrutnego losu. Tłomaczono to zbyt ostrymi kantami jego charakteru. Nie przeczymy, że miał on zacięte uprzedzenia i rzucał twarde słowa. Ale czyż, ważąc człowieka, powinniśmy kłaść na szalę kij, którym on przeciwników w walce uderzał, albo tylko od napastników się bronił, czy w ocenie jego zasług powinniśmy być rachmistrzami drobnych uniesień i błędów?

Gdyby ten wyniosły, czysty i śmiały duch zachował jeszcze związek z nami, jakże wiele musiałby nam zapomnieć, ażeby móc przebaczyć!

WACŁAW NAŁKOWSKI

Filozofia praktyczna czyli etyka pastorska[1])

Nie ma zapewne narodu (prócz nas) bardziej „religijnego“ i „moralnego“, niż burżuazyjni *par exellence* Anglicy. Czy urządzają oni sportowe polowania na Tasmańczyków; czy rozdają, jak prawdziwi filantropowie, zatrutą mąkę głodnym Australczykom; czy przywiązują Indusów do wylotów armatnich dla prędkiego uwolnienia biedaków od trosk ziemskich; czy cywilizują nieokrzesanych Boerów liditowymi bombami, paląc im fermy i znieważając kobiety; czy bawią się po lordowsku w lupanarach londyńskich — czynią to wszystko zawsze z biblią w ręku i słowami moralności na ustach.

U nich też wychodzi najwięcej książek, mających na celu „umoralnienie“ tj. wytłumaczenie wyzyskiwanym biedakom, że życie jest piękne, że żyć warto, że jedynie praca i poświęcenie przynosi szczęście, że spełnianie obowiązku względem „chlebodawcy“ jest rzeczą najświętszą; a choćby tu na ziemi człowiek za te cnoty nie był dostatecznie wynagradzany, to za to czeka go sowita nagroda w świecie innym. Są to wszystko dzieła, że tak powiem „metodyczne“, wzorowane na metodzie wężowej ubezwładnienia swej ofiary przez jej oszołomienie, uśpienie; że tym sposobem dzieła te są „praktyczne“, nie potrzeba dowodzić.

I my lubimy tego rodzaju literaturę, więc skwapliwie rzeczy takie tłumaczymy z angielskiego; a sprawiedliwość, a zarazem duma narodowa, każe dodać, że posiadamy też samodzielne n a s z e tego rodzaju wyroby, zwłaszcza w dziale literatury powieściowej, cenione znów nawzajem i tłumaczone przez Anglików. Dlatego to nie chcieliśmy robić Anglikom przykrości i nie podpisaliśmy adresu w obronie Boerów — „patriotyzm“ przede wszystkim!

W ogóle dzięki tego rodzaju „moralnej“ działalności zaczynamy być sławni w całej Europie, albowiem dogorywająca burżuazja sprowadza sobie w swej agonii eliksiry z „moralnego“ Wschodu, które, jak zwykle leki, posiadają najczęściej etykiety łacińskie i emblematy święte *(Quo Vadis* itp.) — zupełnie jak znana z uzdrawiających skutków *aqua tofana.*

Uzdrawiające skutki takiej literatury są podwójne: ogłupia się, oszałamia masy ludzi, a jednocześnie wyciąga się im z kieszeni pieniądze, które przechodzą do kieszeni „obywatelskich“ wydawców i „sławnych“ autorów.

Do tego rodzaju literatury należą i książki filozofa amerykańskiego, Jamesa, (zresztą nie bez pewnych zastrzeżeń). W książce „Czy warto

[1]) W. James. Filozofia praktyczna. „Czy warto żyć“. Z angielskiego przełożył W. Kosiakiewicz. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“. Warszawa, 1901 i tegoż Filozofia praktyczna. „Nałóg szkic psychologiczny“ tł. dr R. Radziwiłowicz. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“. Warszawa, 1901.

żyć" autor usiłuje uzasadnić wartość życia, głównie na podstawie wiary religijnej, wiary w inny świat.

Przypatrzmy się na paru przykładach argumentacji autora. Ponieważ — powiada on — w głowie uczonego z profesji wewnętrzna potrzeba ujednostajnienia praw przyczynowości, jak tego dowiodła praca wielu pokoleń, okazała się proroczą, dlaczegóżby i potrzeba wierzenia w świat pozagrobowy nie mogła być także proroczą? Prawda, że argument mocny? W ogóle autor lubi używać porównań jako argumentów; porównania te nie tylko są ciekawe formalnie jako argumenty, ale i same w sobie, w swej treści, są bardzo charakterystyczne: „Nasze psy np. — mówi autor — istnieją w naszym ludzkim życiu, ale one tym życiem nie żyją. Są one świadkami stale zewnętrznej strony wrażeń, których wewnętrzne znaczenie nie jest w stanie przez żadną możliwą operację wejść do ich inteligencji — zdarzeń, w których one same często grają rolę główną. Mój wyżeł ugryzie np. chłopca, który go drażni, a ojciec jego zażąda odszkodowania. (Proszę uważać co za wielkopański przykład! — czy autor ani na chwilę nie przypuszcza, że ojciec mógłby w innej nieco formie niż w „monecie" zażądać odszkodowania od właścicieli psów gryzących dzieci?) Pies — mówi dalej autor — może być obecny w ciągu pertraktacji i widzieć monetę płaconą i ani przejdzie mu przez głowę, co to znaczy, ani podejrzenie się w nim nie zrodzi, że tu idzie o niego; i on nigdy nie może wiedzieć tego w swoim psim życiu." Albo inny przykład: „Przyjrzyjmy się biednemu psu podczas wiwisekcji. Leży on, związany na stole, piszcząc i szczekając na swych egzekutorów i w swej ciemnej świadomości znosi literalnie pewnego rodzaju piekło. W całej tej sprawie nie może on dojrzeć najmniejszej idei odkupienia; a jednak cała ta pozornie diabelska operacja kontrolowana jest przez intencje ludzkie, które, gdyby mógł on choć w najmniejszej części rozumieć, poruszyłyby w nim nabożnie wszystko, co posiada w sobie heroicznego. Uchwycenie prawdy, ulga przyszłym cierpieniom ludzi i zwierząt zostają za jego męki kupione. Mogłoby to stać się prawdziwym prawem odkupienia" itd.

Naprzód ze stanowiska formalnego porównanie to, choć nie pozbawione sprytu, nie jest żadnym dowodem: że istnieje świat ultrapsi, nie jest to dowód, że istnieje świat ultraludzki; porównanie to mogłoby być tylko niezłą ilustracją prawdy, już w inny sposób dowiedzionej. Po wtóre, ciekawa jest treść: autor czyni z nas niby psów bożych, co jest bardzo „praktyczne", bo jakkolwiek wiadomo, że psie cnoty są „hańbą człowieka", to jednak w ustroju burżuazyjnym psie cnoty są właśnie bardzo pożądane dla różnych panów, trzymających „psy".

Przy tym na podstawie tego porównania różni „egzekutorowie", nie psów, ale ludzi, mogą im łatwo wytłumaczyć, że oni ich „egzekwują" bynajmniej nie dla własnego zysku, ale dla celów świata wyższego, zagrobowego. Metoda ta była już z doskonałym skutkiem używana przy inkwizycjach; tak więc obok „neoscholastycyzmu" mamy też i „neojezuityzm" — oto co się nazywa „filozofia praktyczna"!

Autor w tym swoim zapędzie porównawczym idzie tak daleko, iż nawet przypisuje wierze moc uczynienia bytności świata pozagrobowego prawdą: „Przypuśćcie np., że drapiecie się po górach i żeście wleźli w pozycję, z której wyratować was może szalony skok. Miejcie pewność, że ten skok możecie pomyślnie wykonać, a noga was nie zawiedzie. Ale nie ufajcie sobie i myślcie o wszystkich słodkich (?) rzeczach, jakieście usłyszeli od przeciwników szkoły „może być", a będziecie się wahali i stoczycie się w przepaść". — Porównanie to jest zupełnie błędne, bo prawdą jest tylko, że czyn nasz własny może zależeć od naszej wiary w pomyślne jego dokonanie, ale nie byt, leżący całkowicie poza nami. Wszakże dawniej silnie wierzono, że np. lądu jest na ziemi więcej, niż wody, bo jakżeby Bóg mógł się więcej troszczyć o mieszkanie dla ryb, niż dla człowieka; a jednakże ta silna wiara nie zdołała zmienić istniejącego stanu rzeczy, który jest odwrotny temu, w jaki wierzono.

Takie to są dowody, mające nas przekonać o istnieniu drugiego świata, i innych nie można się było spodziewać: istnienie świata pozagrobowego nie da się dowieść, więc wszelkie usiłowanie dowodzeń musi prowadzić do śmieszności i dziwologów logicznych. Przy tym, gdyby nawet istnienie to zostało dowiedzione, to niewiele by przyniosło korzyści dla celu autora, to jest dla dowiedzenia wartości życia; albowiem wobec wyższości tamtego drugiego świata przekonywałoby raczej o wartości nie życia, lecz śmierci; tak, iż oznaczona książka powinnaby zamiast tytułu „Czy warto żyć", nosić raczej tytuł: „Czy warto umierać" — co zresztą bynajmniej nie odjęłoby jej charakteru „praktycznego".

Druga książeczka Jamesa, „Nałóg", różni się dodatnio od poprzedniej: autor, rozpatrując tu zjawisko nałogu i jego znaczenie dla życia ludzkiego, zajął stanowisko ściśle naukowe. Lecz mimo to James i tutaj pozostał sobą: ma on, jak wielu uczonych anglosaskich, w sobie coś z postora; choć włoży na siebie togę uczonego, to zawsze spod niej sterczy mu „etyka". A oto jakiego rodzaju.

„Nałóg — mówi on — jest najcenniejszym czynnikiem zachowawczym społeczeństwa. On tylko utrzymuje ludzi w ryzach posłuszeństwa i zabezpiecza dzieci dostatku (kochane dziateczki!) od zazdrosnych pożądań biedaków". „Nałóg strzeże najtrwardsze i najwstrętniejsze drogi życiowe (tj. zajęcia) od dezercji ludzi (tj. „biedaków"), nałogowo wdrożonych do kroczenia po nich". „Nałóg zapobiega pomieszaniu się warstw społecznych" itp.

Taki jest stosunek psychologa-moralisty do ideałów społecznych, które przecież obecnie tkwią w prądach, zdążających do tego, aby uczynić jednostkę najzupełniejszym, najwszechstronniej rozwiniętym i najbardziej uświadomionym człowiekiem; dla Jamesa ideałem jest niewolnik-automat, skazany na spełnianie „najwstrętniejszych zajęć", bez krytyki, bez szemrania, bez „zazdrości" względem „dzieci dostatku" (James nie lubi ludzi „wyrzekających").

Naturalnie, rozumiem to dobrze, że jak dla zekonomizowania myślenia potrzebne jest uogólnienie, tak dla zekonomizowania czynności — nałóg: czynności ludzkie w pewnym zakresie powinny być zautomatyzowane, maszynowe; a jednak człowiek nie powinien być jedynie maszyną, lecz zarazem i maszynistą: powinien do swej maszyny, do swych nałogów (zarówno jak i do uogólnień) odnosić się krytycznie, być zdolnym do „wyrzekania", umieć maszyną kierować, nadawać jej w razie potrzeby inny kierunek działania. I to nie jest wcale „marzycielstwo", jakby powiedział James: człowiek nie tylko takim być powinien, ale takim jest rzeczywiście, i to w stopniu tym wyższym, im wyższy jest stopień rozwoju społeczeństwa, stopień uświadomienia jednostki. „Zachowawczy" zaś ideał Jamesa, bezwzględne zautomatyzowanie, bezkrytyczne wykonywanie zajęć „najwstrętniejszych" jest skostnieniem, negacją ewolucji.

James jest zdania, że „sami przędziemy sobie swój los zły lub dobry", a to znów jest wprost (nie odwrotnie) proporcjonalne według niego do występku lub cnoty, czyli, innymi słowy, nieszczęśliwi, nędzarze są takimi z własnej winy, wskutek „występku", szczęśliwi są takimi wskutek „cnoty"! Występek bowiem może wedle niego „przebaczyć tylko Niebo", ale życie nie przebaczy! (Z jakiej James u licha spadł na ziemię planety?) Przy tym dziwna to zaiste logika, przypisywana „miłosiernemu Niebu" — wszakże bowiem życie musi być, według Jamesa, objawem woli tego „Nieba", owo więc „miłosierdzie" Jamesa przypomina takiego dawnego pana, który sam osobiście chłopu przebacza, ale pozwala ekonomowi wlepić mu sto batów! Wiązaniem zaś szczęścia z „cnotą", James przypomina socjologa-kamerdynera z powieści Czechowa: „biedni, mówi on, są złodzieje, siedzą w więzieniach, a porządni ludzie, uważ pan, są zawsze bogaci".

Charakterystyczny też jest James i tu w swoich przykładach, tak sobie, od serca, wybranych.

Mówi np., że człowiek z niższej sfery towarzyskiej, przeniesiony do wyższej, nie łatwo odzwyczai się od mowy nosowej, nie potrafi ubrać się tak wytwornie jak urodzony dżentelmen. „Sposób, w jaki jego lepiej urodzeni towarzysze radzą sobie w wyborze swoich sukien pozostanie dla niego tajemnicą do końca życia" (czyż doprawdy wobec tego warto ludzi źle urodzonych kształcić, dopuszczać do wyższej sfery?)

James jako moralista występuje przeciw rozdźwiękowi między teorią i praktyką, słowem i czynami. Naturalnie, chcemy mu serdecznie przyklasnąć, ale powstrzymujemy się wnet, gdy spostrzegamy, jak ilustruje on swój wstręt i kogo obiera za kozła ofiarnego — oto Rousseau'a. „Rousseau — mówi on — zapalający wymową swoją wszystkie matki do postępowania wedle praw natury, do karmienia własną piersią swych niemowląt, a sam posyłający dzieci swe do domu podrzutków, jest klasyczną ilustracją."

Czyż tak trudno było o inny przykład, żeby akurat wyszukać Rousseau'a? Dlaczego James nie dał za przykład któregoś z wielkich geszef-

ciarzy angielskich, którzy, jak np. Cecil Rhodes, jedną ręką sieją mord, a drugą rozdają mordowanym biblię? Nie! takiego przykładu on nie da, bo ma respekt dla ludzi „czynu", nienawidzi „marzycieli"; zapomina, że czynem jest nie tylko podbój lub założenie wielkiej fabryki, ale i przekazanie potomnym swych myśli; nawet jedno spojrzenie, jeden gest „marzyciela" może dla rozwoju ludzkości mieć większe znaczenie, niż największa fabryka. Zapomina, że za nieetyczność geniuszów w rodzaju Rousseau opowiedzialne jest społeczeństwo, zbiór takich ludzi „czynu", których czyny zmierzają ku zatruciu życia geniuszów, uczynienia ich nędzarzami i stąd ku narażeniu ich na straszną walkę wewnętrzną, na konieczność wyboru między nieetycznością względem bliźnich i nieetycznością względem siebie, względem swych idei, których urzeczywistnienie nakazuje im niezłomny głos wewnętrzny. Przy tym przykład Rousseau nie jest tak bardzo klasyczny, jak to się Jamesowi wydaje. Rousseau nie był w tak wielkiej ze sobą sprzeczności: ten „marzyciel", przeganiany z miejsca do miejsca jak dzikie zwierzę przez ludzi „czynu", był nędzarzem, więc oddał dzieci do domu podrzutków, bo inaczej byłby wraz z nimi zginął z głodu; karmić zaś dzieci własną piersią radził bogatym damom, które karmią swe dzieci krwią innych ubogich kobiet, narażając ich dzieci na śmierć.

Kwestia etycznej oceny danej jednostki nie jest tak prosta, nie da się rozstrzygnąć tak po gospodarsku, jak to się Jamesowi, choć jest filozofem, wydaje. Przy tym nie każdy jest uprawniony do surowości sądu.

James, syty „dżentelmen", umiejący się ubierać gustownie, wojażujący do Paryża i „uczący się piosenek", triumfuje nad biedakiem Rousseau, że ten oddał swe dzieci do domu podrzutków — ale James, choć uczony psycholog i moralista, ani się domyśla, że nie ma prawa triumfować. Prawo triumfować miałby tylko ten, kto by w takich samych warunkach jak Rousseau, i przy równej jemu wydajności duchowej, okazał się silniejszym: znalazł jeszcze „jak pelikan" dość krwi własnej, by nią karmić swe potomstwo — ale taki z „prawa" tego nie zechciałby korzystać, gdyż wiedziałby dobrze, ile na to „wziął życia z swego istnienia" — o ile skrzywdził swe dzieci duchowe, aby nie skrzywdzić fizycznych. W sądach o etyce ludzi trzeba umieć sprowadzać objawy do wspólnego mianownika: inaczej jakaś rentierska krypto-świnia może się okazać etyczniejsza od człowieka, i jeszcze mu urągać.

Nie znam stosunków Jamesa, ale zdaje mi się, iż na podstawie jego etyki pastorskiej, można by je z wielkim prawdopodobieństwem tak a priori odbudować: jest to człowiek, który zdołał szczęśliwie zautomatyzować zupełnie swe czynności w pożyteczne i moralne „nałogi", człowiek zupełnie przystosowany, nie doznający rozdźwięków między pragnieniami a rzeczywistością. Posiada on urząd, a zapewne i rentę, wierzy w Boga, wstaje regularnie rano, mówi pacierz, odbywa konieczne czynności, zjada befsztyk i zasiada do filozofii, potem idzie wykładać

etykę; przed obiadem pije wódkę, po obiedzie gra w karty z pastorem, a ponieważ czynność tę doskonale zautomatyzował, więc podczas niej może się informować co do poglądów teologicznych pastora, aby móc każdorazowo wyrównać z nimi swe wykłady etyczne. Następnie, dla wyrobienia w sobie uczuć etycznych i silnej woli, stwarza sobie umartwienia sztuczne (ponieważ życie nie dostarcza mu naturalnych): usiłuje „grzecznie rozmawiać ze starą ciotką“ (choć, jako „etyk“, miałby wielką ochotę zadrwić z niej po męsku). Wieczorem „uczy się piosenki“ i wcześnie idzie spać dla „służby bożej“. Jednym słowem jest to typ, przypominający typy satyryczne pisarzy, którzy „burzą“, albo też typy poważne niektórych naszych powieściopisarzy, którzy „budują“; jest to, jednym słowem, anglosaski Połaniecki, tj. typ bykowato-troglodytyczny; różnice są tu tylko podrzędne, zawodowo-etnograficzne: jeden ma mózg szlachecki, drugi — profesorski; jeden obrał za fach interes przemysłowy, drugi filozoficzny; jeden grywa w karty z proboszczem, drugi z pastorem.

Czyżby w celach spolszczania nie można było znaleźć autorów nie mniej fachowych, a mniej „etycznych?“ Tego rodzaju utwory „filozofii praktycznej“, jak Jamesa, są „praktyczne“ głównie dla przedsiębiorców; a warto by było dać też coś praktycznego dla najmitów, pierwsi są i tak dość praktyczni; dajmy lepiej jakąś praktyczną radę „marzycielom“.

Wacław Nałkowski

JAN KOTT

Nieznane wiersze polskiego Oświecenia

Poezja polskiego Oświecenia czeka jeszcze ciągle na odkrycie i ukazanie nowemu czytelnikowi, na włączenie w żywy nurt narodowego dziedzictwa, na odczytanie jej świeżym okiem i wydobycie wszystkiego, co jest w niej cenne ideowo, twórcze i odkrywcze. Bo trzeba powiedzieć wyraźnie, że poezję stanisławowską oddziela dzisiaj od czytelnika podwójny mur: mur estetycznego przesądu i złych, fałszujących wyborów i wydań oraz mur, tym razem rzeczywisty, bibliotek i archiwów. Wybory poezji stanisławowskiej dokonywane były z reguły przez profesorów, a nigdy przez pisarzy. Były one przeważnie przeznaczone dla szkół, nie dla czytelnika. I poezja stanisławowska stała się tylko lekturą szkolną. W wyborach dokonanych w czasach pozytywizmu (a większość z nich niemal bez zmian powtarzają obecne wydania) obłaskawiono poezję polskiego Oświecenia, dostosowano ją do rodzącego się sojuszu burżuazyjno-obszarniczego, stępiono jej antyklerykalne pazury, przycięto jej żywiołowy realizm i materializm. W okresie imperializmu szukano w poezji stanisławowskiej, niemal ze świecą w ręku, okazów religianctwa, tolerowano sentymentalizm, wywyższano Kniaźnina z jego duchowym niepokojem i wewnętrznymi sprzecznościami, ale lekceważono trzon poezji Oświecenia: wiersze polityczne, obyczajowe, realistyczne, zajadłą satyrę antymagnacką i rewolucyjną lirykę.

Ale zawiniły nie tylko złe wybory. To, co jest najciekawsze w poezji stanisławowskiej, nie przeszło dotąd nigdy przez druk. W rękopiśmiennych kodeksach Ossolineum, Biblioteki Czartoryskich, Jagiellonki, Kórnika i Polskiej Akademii Umiejętności znajdują się dotąd setki nigdy nie drukowanych wierszy. Jest wśród nich anonimowa poezja polityczna i liryka jakobińska, której drobne fragmenty i niepełny katalog podał w swoich książkach Nowak, jest wiele świetnych, nasyconych realiami, ścisłych w opisie i obrazowaniu wierszy obyczajowych nieznanych lub mało znanych pisarzy, są wreszcie wiersze poetów wybitnych jak Węgierski, Trembecki czy Niemcewicz. Ustalenie autorstwa nie zawsze jest możliwe, a prawie zawsze niezmiernie trudne. Ale jeśli nawet nie potrafimy obecnie z całą pewnością przypisać danych wierszy temu czy innemu poecie, nie powinniśmy rezygnować z ich ogłoszenia. Wiersze te wzbogacają polską tradycję literacką, często należą do jej arcydzieł, a zawsze są czytelne.

Ogłaszam tutaj cztery nieznane wiersze stanisławowskie. Każdy z nich z innych względów zasługuje na publikację. A wszystkie razem świadczą o ogromnym bogactwie poezji stanisławowskiej, o jej artystycznym i ideowym nowatorstwie.

Pierwszy wiersz jest arcydziełem osiemnastowiecznej liryki. Kopista przypisuje go Stanisławowi Trembeckiemu. I chyba nikt inny

z poetów stanisławowskich takiego wiersza nie mógł napisać. Nikt inny nie miał tej siły słowa i epigramatycznej zwięzłości. „Widok teraźniejszy Rzymu" napisany został przez mistrza stylu. Dodajmy, że w r. 1793, jak to wynika z korespondencji z królem, odbył Trembecki krótką podróż do Włoch. Warto jeszcze dodać, że motywy i ton tego wiersza zabrzmią niejednokrotnie w liryce romantycznej, przede wszystkim u Słowackiego, który obok Mickiewicza należał do wielkich admiratorów autora „Powązek".

Drugi z drukowanych tutaj wierszy: „Pieśń Murzynki nad kolebką swego syna" należy do polskiej liryki jakobińskiej, która dojrzała w walce z Targowicą. Wtedy po raz pierwszy przemówiła warszawska ulica, burząca się i niecierpliwa, żądając kary śmierci dla zdrajców i nazywając króla — tyranem. Obok polskich Marsylianek i Carmagnoli, obok warszawskich „Ça ira" i płomiennej pochwały tych, co odważyli się na powieszenie biskupów i zdrajców, poezja polska razem z rodzącym się internacjonalizmem ludowym umie oddać hołd uchwale Konwencji dającej obywatelstwo Murzynom w koloniach francuskich. Piękny jest ten pierwszy polski wiersz święcący dzień zrównania ras, tak prosty w swoim szlachetnym patosie. Wzbogaca on rewolucyjną i humanistyczną tradycję naszej poezji.

Trzeci z ogłoszonych tutaj wierszy jest niewątpliwie pióra Kajetana Węgierskiego. Świadczy o tym świadectwo kopisty, świadczą aluzje literackie i polityczne. Węgierski pozostał najniesprawiedliwiej niedoceniony z poetów stanisławowskich. Był młodzieńcem niezwykle utalentowanym, zaczął pisać mając lat szesnaście. Za memoriał, zresztą wspaniale napisany, przeciw Wilczewskim, którzy mu w drodze zwykłego gwałtu odebrali wioskę, odsiedział przez rok wieżę i stracił posadkę kancelisty w Radzie Nieustającej. Rozgoryczony wyjechał z Polski w r. 1779, potem prawdopodobnie wrócił i w r. 1783 opuścił kraj na zawsze. Był w Paryżu, potem pojechał do Ameryki, był na Martynice i na San Domingo, wrócił do Anglii, przyjaźnił się z księciem Walii, ograł go, zdaje się, w karty, powędrował z powrotem do Francji i zmarł w Marsylii w r. 1787. Biografia tego świetnego pamflecisty, libertyna i nielichego awanturnika czeka ciągle na pisarza. Życie Węgierskiego — to najwspanialsza powieść o czasach stanisławowskich, jest w nim wielki historyczny skrót całej epoki i jej wielkich sprzeczności. Węgierski bywał w wielkim świecie warszawskim, ale dwudziestoletniego poetę zapraszano tylko na reduty; kiedy wieczorem dobre towarzystwo szło na kolację, Węgierskiego nikt nie prosił. Nie uczestniczył w obiadach czwartkowych, ocierał się o dwór królewski i uprzywilejowanych pisarzy, ale nie należał do ich grona na równych prawach. Żarła go zawiść i dzięki temu może jego libertynizm nabrzmiewa radykalną krytyką magnackiej i królewskiej Warszawy. Można by powiedzieć, że to pierwszy poeta, który patrzy na świat oczami radykalnego inteligenta. Przeczytał Woltera, Raynala i Marmontela, czuł w sobie zapiekłą złość szlachetki pokrzywdzonego przez jaśnie panów, oburzała go

feudalna przemoc i filozofował. Ale przede wszystkim widział i opisywał Warszawę stanisławowską. I jak nikt inny umiał drwić i szydzić. Oto co pisał o czwartkowych obiadach:

A uczone obiady: znasz to może imię,
Gdzie połowa nie gada, a połowia drzémie,
W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa,
Dowcipu, wiadomości, i wina, i mięsa.

W „Obronie Wirgiliusza rzymskiego", którą tu drukujemy, także dostało się czwartkowym obiadom. Ale przede wszystkim biskupowi Naruszewiczowi. To właśnie ów poeta „w fiolecie", który w cudzej kocha się żonie. Naruszewicz jest autorem pornograficznego wiersza pod tytułem „Słowik", co mu Węgierski zręcznie wypomina. Początkowe strofy zawierają najprawdopodobniej aluzje do wystąpień Albertrandiego, który w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych" za Russem zaatakował pożytek, jaki płynie z rozwoju nauk i umiejętności. Wiersz napisany został po r. 1774, kiedy król wyrobił Naruszewiczowi koadiutorstwo biskupstwa smoleńskiego i zlecił mu opracowanie historii narodu polskiego.

Autora wiersza „Moda kobiet" nie udało mi się odkryć. Ale dyscyplina poetycka, ścisłość obrazów, jasność i barwa językowa świadczą, że utwór to nie amatora, ale poety pełnej miary. Wiersz ten powstał prawdopodobnie po roku 1775, kiedy satyra coraz ostrzej walczyła z francuszczyzną i małpowaniem paryskich obyczajów. Poezja stanisławowska zostawiła nam wiele świetnych portretów fircyka. Obok nich stanąć może śmiało ten pyszny obraz midnisi, tak nasycony obyczajowymi realiami, tak gęsty poetycko.

Jan Kott

STANISŁAW TREMBECKI

WIDOK TERAŹNIEJSZY RZYMU

Tu była głowa świata, nie mniej straszna w boju,
Jako w rządach przezorna i mądra w pokoju.
Była mówię, bo ledwie miejsce jej widziemy,
A Rzymu w ziemi szukać dawnego musiemy.
Te gmachy, które niegdyś obłoków sięgały,
Dziś w ziemi pogrzebione trawą się odziały.
Rzym, który świat zwyciężył, dziś sam zwyciężony,
Poszedł czasowi wszystko psującemu w plony.
Już niema Rzymu w Rzymie, imię tylko słynie,
Upadł i w swojej pogrzebł pół świata ruinie.
Obalił inne państwa, sam tymże sposobem
Obalony, wspaniałym stał się sobie grobem.

AUTOR NIEZNANY

PIEŚŃ MURZYNKI NAD KOLEBKĄ SWEGO SYNA, KTÓRY ZOSTAŁ WOLNYM, TAK JAK I ONA PRZEZ WYROK KONWENCJI NARODOWEJ

Gdy ci jaśniejszy dzień błysnął,
Ocuć się synu mój miły!
Tyś się na me łono cisnął
W tęsknotach co mię trupiły.
Snu miłego, coć rozmarza,
Przerwania, ta jest przyczyna,
Że miłość matki obraża,
Co przewłóczy szczęście syna.

Przychodzisz z wolności darem,
Synu! co za przeznaczenie!
Trzykolorowym sztandarem
Opaszę twoje złożenie.
Niech to światło dobroczynne
Młodziuchne oczy oświeca!
Niech twe życie robi czynne,
W schyłku dni nawet podnieca.

Teraz ojczyźnie za ciebie
Składam przysięgę wierności,
Mnieś winien samego siebie,
Jej skarb szacownej wolności.
W czasie twego narodzenia
Wrócony swobodom człeka,
Prócz praw i natury czczenia
Żadna cię przemoc nie czeka.

W Ameryce, wielki Panie,
Mścicielów ręka twa wskrzesza.
Bogdaj łask twych nieprzerwanie
Wolna doznawała rzesza.
Zrób to, by te dwie półziemie
Przez niepokalane siły,
Jako jednych dzieci plemię
Węzłem się braci spoiły.

OBRONA WIRGILIUSZA RZYMSKIEGO

Co się toczy na me oczy,
Książkę czyta Sarmata!
Potem pieje rzymskie dzieje
I z nich błędy wymiata.

Sam zaś kryśli dziwne myśli,
Na wspak mu się coś snuje,
Rozgniewany na Rzymiany
Wierszopisów szkaluje.

Przez połowę zmyśla mowę
Z Mecenasem Cesarza,
Potem budzi w grobie ludzi,
I honorem ich szarza.

Rzym jest świadkiem, z jakim statkiem
Wirgiliusz wiek strawił,
Wiele sławy z swej zabawy
Parnasowi zostawił.

Od Pallady wierszów składy
Z czystej zwijał osnowy,
Jego czoło, kwieciem wkoło
Toczył wieniec laurowy.

Nie miał ducha do fartucha,
Owszem szydził niecnoty.
Żył na świecie, jak poecie
Przystoi żyć bez noty.

Więc gdy zdarzy, te potwarzy
Czytać komu trefunek,
Niech tłomaczy, że to znaczy
Innych ludzi gatunek.

Teraz wszędzie ludzie w błędzie:
Wszyscy chcą być Rzymianie,
To ich zdobi, co Rzym robi
A ojczyzna w naganie.

Co ziemianin to Rzymianin,
Parnas w każdej jest stronie.
Co kraj pusty to Augusty
Wystawuje na tronie.

Chociaż tacy są Polacy,
Z Warszawy Rzym nie będzie,
August panem, senat stanem,
Wirgiliusz jest wszędzie.

Jest Wittelli, Corticelli,
Można tysiąc rachować,
Kto poetów dla portretów
Chce u siebie malować.

Gdyż w tym czasie na Parnasie
Sama tylko biesiada,
Trzoda dziwek od Naliwek
Miejsca bogiń zasiada.

Już przestały płynąć z skały
Helikońskie strumienie,
Z innej wody wierszopłody
Wyczerpują swe pienie.

Już z krynicy przy spódnicy
W Polskę mądrość wypływa,
Od napoju z tego zdroju
Rozum światu przybywa.

Leżą muzy w tej kałuży,
Tam wszystkiego nauka,
Prawa w sądach, rady w rządach,
Każdy teraz tam szuka.

Wszyscy prawie, co w Warszawie
Chcą się modnie zabawiać,
Przy tej strudze żony cudze
Uczyli się odmawiać.

Złożył pono w polskie grono
Wirgiliusz w tej szkole
Te wierszyki, co słowiki
Mają tytuł na czole.

Kogo bodzie w tym narodzie
Wierszopisów zgorszenie,
Niechaj łaje te hultaje,
Niech ich z kraju wyżenie.

Jeślić w bobrze było dobrze
Biesiadować w zakonie,
Wstyć poecie w fijolecie
W cudzej kochać się żonie.

AUTOR NIEZNANY

MODA KOBIET

Dobrze się dzieje na świecie,
Kiedy przesądy ustały,
Mało dziś trzeba kobiecie,
By się stać godną pochwały.

Moda nie zna żadnych granic,
Z niej wszystkie idą zalety,
Inne talenta są za nic,
Swobodne życie, kobiety.

Nosić suknią z krótkim stanem,
Fartuszek linowy w paski,
Usiąść z lada szarlatanem,
I uznać go godnym łaski.

Włosy na czoło spuszczone,
Gdy się najeżą jak sowie,
Boki w górę podniesione,
A przytem zielono w głowie.

Rużu po puszcze na lica,
Gors pod zasłoną blondyny
Równo z podwiązką spódnica,
Cały to zaszczyt dziewczyny.

Trzewik spiczasty jak pika,
Pończoszka z złotym klinikiem,
Tak ubrana dobrodzika,
Słodko się bawi z fircykiem.

Lecz to nie wszystko jest przecie,
Dla chcącej znaczyć kobiety,
Kto chce żyć na wielkim świecie,
Musi mieć więcej zalety.

W każdym przypadku być czynną,
Umieć się bawić i nudzić,
Udawać minkę niewinną,
Aby tym zręczniej ułudzić.

Każdego przyjąć płomiennie,
By potem wzgardzić kryjomo,
Okazać nad nim zdumienie,
Co jej już dawno znajomo.

Nosić pierścionki, sylwety,
Na dowód licznych zdobyczy,
Brać z niewinności zalety,
Gadać często o słodyczy.

Znać świeże, modne wyrazy,
Wiedzieć, co noszą w Paryżu,
Przebrać się na dzień trzy razy,
Być w piórach, kwiatach, negliżu.

Na każdym balu, operze,
Bywać niby dla zwyczaju,
Chwalić to, co jest w Wolterze,
Gardzić dziełem swego kraju.

Mieć książek miłosnych wiele,
Choćby ich nawet nie czytać,
Być raz na miesiąc w kościele,
By się o nowość zapytać.

Zręcznie tańcować matlota,
Zaśpiewać w włoskim języku,
Umieć fandango, gawota,
Zagrać trochę na fleciku.

Brać zawsze lekarstwo w maju,
I w Karlsbadzie co rok bywać,
Miewać spazmy dla zwyczaju,
Przez lornetę się wpatrywać.

Język francuzki rozumieć,
Mięszać go z polskim dowoli,
Gdy będziesz to wszystko umieć,
Bądź pewna najpierwszej roli.

Skoro te wszystkie reguły
Zachowasz w całej osnowie,
Pewno dla Cię będzie czuły
Każdy, co ma pustki w głowie.

PRZYPISY PODAWCY

WIDOK TERAŹNIEJSZY RZYMU — z odpisu w rkps. Bibl. Kórnickiej 995, VI. 92, str. 74. Teka redakcyjna i archiwum „Pszczółki" krakowskiej.

PIEŚŃ MURZYNKI NAD KOLEBKĄ SWEGO SYNA — z odpisu w rkps. Ossolineum 692, k. 36. Wiersz ten podał po raz pierwszy do druku Roman Kaleta w Pamiętniku Literackim, 1950, nr. 3/4. Pewne cechy stylu pozwalają przypuścić, że autorem tego wiersza mógł być Niemcewicz.

W. 8. Co przewłóczy — co odwleka.

W. 12. Złożenie — kołyska, posłanie.

OBRONA WIRGILIUSZA RZYMSKIEGO — z odpisu w rkps. Ossolineum 691 str. 356, z poprawkami według rkps. PAU 615, str. 162.

W. 41. rkps. Ossol. podaje: „Jest Witte, Telli, Corticelli, co wydaje się lekcją omyłkową (9-zgłoskowiec zamiast 8-zgłoskowca). Nikogo o nazwisku Telli nie znalazłem w środowisku królewskim. Tak samo nie znam Wittellego. Może ten Wittelli, to dla rymu przekręcone nazwisko Wittego, pierwszego męża słynnej Zofii Greczynki, późniejszej Szczęsnej Potockiej. Corticelli — dyplomata, poufnik i agent Stanisława Augusta. Odegrał znaczną rolę w czasie Konfederacji Barskiej. W je-

sieni 1769 r. do niego właśnie zwrócił się Stanisław Trembecki z ostrzeżeniem, że konfederaci knują zamach na tron i życie króla.

W. 47. Nalewki, podobnie jak i Grzybów, zażywały w czasach stanisławowskich jak najgorszej sławy.

MODA KOBIET — z odpisu w rękopisie PAU 615, str. 476.

Po w. 16 w rkps. opuściłem dwuwiersz, będący początkiem strofy wypuszczonej przez kopistę:

„Rękawy krótkie, szerokie,
To się dziś ozdobą zowie."

W. 39. w rkps. „szukać z niewinności", błąd kopisty.

ŁUKASZ KURDYBACHA

Upadek kodeksu Andrzeja Zamoyskiego

Wprawdzie nasza nauka historyczna nie doczekała się dotychczas szczegółowej monografii o wydanym w 1778 r. *Zbiorze praw sądowych* Andrzeja Zamoyskiego i odczuwa jeszcze ciągle brak jego analizy z punktu widzenia historii prawa, to jednak uważa go za jeden z najbardziej wymownych objawów myśli postępowej w pierwszym dwudziestoleciu panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego.[1]) Sąd ten jest najzupełniej słuszny. Zawarte w tym *Zbiorze*, zwanym kodeksem praw, nieśmiałe wprawdzie, ale zupełnie wyraźne dążenie do ograniczenia samowoli i anarchii magnackiej, próba zrównania pod względem prawnym mieszczanina z szlachcicem, odważna decyzja popierania wszelkimi środkami rozwoju manufaktury, przemysłu i handlu a wraz z tym przebudowy przestarzałego feudalnego systemu gospodarczego na kapitalistyczny — oto główna linia myśli postępowej Zamoyskiego i jego współpracowników. W ustalaniu paragrafów dla chłopów poszli oni wprawdzie drogą bardziej konserwatywną, ale nawet ich skromne próby rozluźnienia pęt niewoli chłopskiej były na tle poglądów ogółu szlachty na poddanych wyraźnym postępem.

Na osobne podkreślenie zasługuje odważny wysiłek Zamoyskiego uregulowania w nowym kodeksie stosunku państwa do Kościoła katolickiego, władzy papieża i nadmiernych przywilejów kleru polskiego. Przyznając pełny szacunek papieżowi jako najwyższemu zwierzchnikowi Kościoła katolickiego, a katolicyzmowi w Polsce nadając prawa religji panującej, starał się równocześnie Zamoyski jak najbardziej zmniejszyć możliwość wpływu Watykanu na stosunki polskie, a zwłaszcza na polskie życie polityczne. Papież — uzasadniali twórcy nowego kodeksu swoje stanowisko — jest nie tylko głową Kościoła, ale i głową państwa kościelnego, w którym rządzi całkowicie świeckimi metodami i w którym ma zupełnie ziemskie interesy. Te właśnie czysto ziemskie interesy papieża jako kierownika polityki są często sprzeczne z interesami państwa polskiego. Papież zaś w takich wypadkach — dowodzili twórcy Kodeksu Zamoyskiego — wykorzystuje swoją powagę i władzę głowy Kościoła, starając się wszystkimi możliwymi sposobami zmusić Polskę do popierania politycznych interesów Watykanu, kosztem jej własnego dobra. Główne atrybuty władzy papieża nad Kościołem polskim polegały na sądownictwie duchownym, od którego apelacje szły do Watykanu, na obowiązku biskupów ogłaszania i wykonywania wszelkich zarządzeń papieskich i bull oraz na bezpośrednim podporządkowaniu Rzymowi wszystkich zakonów wyjętych spod wszelkiego

[1]) Artykuł niniejszy jest streszczeniem większej pracy autora, która niebawem ukaże się w wydaniu książkowym. Tam też można będzie znaleźć dokumentację różnorodnych twierdzeń i faktów.

zwierzchnictwa polskich biskupów. Wobec tego opracowany przez Zamoyskiego projekt nowego kodeksu znosił apelacje do Rzymu i ustanawiał w Polsce trybunał duchowny, który był najwyższą instancją w wszelkich procesach religijnych i miał nadzór nad całym życiem religijnym w Polsce. Aby bulle papieskie i wszelkie inne zarządzenia mogły być ogłaszane i wykonywane, musiały najpierw, zgodnie z wymaganiami Kodeksu uzyskać aprobatę króla i Rady Nieustającej. Klasztory wreszcie w poszczególnych diecezjach miały podlegać władzy biskupiej i nie wolno im było od zarządzeń diecezjalnych odwoływać się do Rzymu.

Kodeks Zamoyskiego zapewnił wreszcie szlachcie ostateczne zwycięstwo w jej walce stanowej z duchowieństwem trwającej od XVI w. Ponieważ szlachta od 200 przeszło lat patrzyła niechętnym okiem na kumulację poważnych majątków ziemskich w rękach wyższego duchowieństwa, nowy kodeks zabronił dalszego zapisywania ziemi na rzecz Kościoła i nakazywał duchowieństwu przekazać na rzecz Komisji Edukacji Narodowej te wszystkie posiadłości wiejskie i miejskie, które Kościół nabył później niż przed stu laty. Oznaczało to z jednej strony poważny wzrost funduszów na cele oświatowe, z drugiej zaś dość pokaźne zmniejszenie się dochodów kleru.

Projektowane w Kodeksie Zamoyskiego reformy społeczne i gospodarcze nie były oczywiście wynikiem ani szlachetnego stosunku redaktorów nowych praw do poddanych, ani nie wypływały z jakichś ideowych założeń, zwłaszcza pochodzenia zagranicznego, lecz były rezultatem trafnej i głębokiej analizy sytuacji ekonomicznej, społecznej i politycznej Polski po pierwszym rozbiorze. Z analizy tej wynikało najzupełniej jasno, że kraj oparty na ustroju feudalnym nie może nadal istnieć. Najwybitniejsze i najgłębiej myślące jednostki zrozumiały wreszcie paradoksalną sytuację, w której klasa licząca około siedemset tysięcy osób miała decydować o losach całego dziesięciomilionowego narodu. W dodatku klasa ta była bezustannie nękana wewnętrznymi sprzecznościami. Mimo pozornej szlacheckiej równości z pełni przywilejów korzystali jedynie magnaci, owe „sto rodzin" — jak twierdził Kołłątaj — skupiających w swym ręku około trzech czwartych bogactw całego kraju. Olbrzymie latyfundia pozwalały im uzależnić zupełnie od ich polityki szlachtę średniozamożną, zagonową, a najbardziej bezrolną; one też dawały im całkowitą niemal niezależność od władz państwowych i dostarczały środków do prowadzenia własnej, sprzecznej zazwyczaj z planami królów polityki zagranicznej.

Na tym jednak niewzruszonym — zdawałoby się — gmachu potęgi magnackiej zaczęły się w czasach saskich pojawiać niepokojące rysy, widoczne początkowo dla najbystrzejszych jedynie obserwatorów. Obejmująca olbrzymie obszary produkcja rolna, oparta na przymusowej pracy pańszczyźnianej, odznaczała się coraz mniejszą wydajnością i coraz bardziej spadającą rentownością. Praktykowany od dwu wieków przez klasę panującą ucisk miast doprowadził do zupełnego niemal zaniku handlu i rzemiosł. Przetwórstwo jakichkolwiek produktów rolnych

było prawie niemożliwe. Import wyrobów rzemieślniczych z zagranicy kosztował kilkakrotnie więcej niż wynosił dochód z eksportu zboża. Chociaż za czasów Stanisława Augusta istniały duże możliwości eksportu produktów rolnych przez Gdańsk i morze Czarne, szlachta nie mogła z nich korzystać w całej pełni. Przestarzały system gospodarki rolnej, drewniane, rzadko remontowane narzędzia, a wreszcie opór chłopa pańszczyźnianego — oto przyczyny niskiej wydajności szlacheckich folwarków. Najtrudniejszy do rozwiązania był w tym okresie problem chłopski. Wyzysk jego przekraczał granice wytrzymałości fizycznej. Pańszczyzna, która w XVI w. wynosiła dwa — trzy dni w tygodniu, zabierała chłopu w XVIII w. sześć dni roboczych, a czasem nawet więcej. Wynędzniały chłop nie poddawał się jednak biernie losowi. Gdy właściciel folwarku nakładał nowe ciężary pańszczyźniane, chłop stawiał bierny opór, gdy ten zawodził, uciekał z pańskiego gruntu albo do folwarku innego szlachcica, u którego warunki były nieco znośniejsze, albo do miasta na przygodną lub stałą pracę zarobkową. Zjawisko ucieczki chłopów urasta w XVIII w. do jednego z głównych problemów społecznych. Mimo walki z nim specjalnych ustaw, zarządzeń administracyjnych i osobnych komisji, nie tylko nie zanika, ale z roku na rok wzrasta, budząc coraz większy niepokój szlachty.

Najcięższą bronią przeciw wyzyskowi, rzadziej wprawdzie przez chłopa używaną, ale najbardziej skuteczną, był otwarty bunt przeciw szlachcie. Mimo że sprawa buntów czy mniejszych rewolucji chłopskich nie została dotychczas należycie zbadana, można śmiało twierdzić, iż groza buntu chłopów wpływała poważnie w czasach Stanisława Augusta na życie gospodarcze, a nawet polityczne całego kraju.

Naszkicowane tu w bardzo ogólnym zarysie konflikty społeczne i warunki ekonomiczne Polski XVIII w. sprawiały, że projektowane przez Kodeks Zamoyskiego ustępstwa na rzecz mieszczan i chłopów oraz uprzywilejowane warunki dla rozwoju manufaktury jako też przemysłu stały się koniecznością, jeżeli z jednej strony Polska miała nadal istnieć jako niezależne państwo, z drugiej zaś, jeśli szlachta miała pozostać w dalszym ciągu panującą klasą. Kodeks Zamoyskiego był więc w ówczesnej sytuacji minimalnym ustępstwem, złem koniecznym dla ratowania niezależnego bytu państwowego pod egidą szlachecką. Tak też pojmował go Zamoyski, jego najbliżsi współpracownicy z Józefem Wybickim na czele, a zwłaszcza Stanisław August Poniatowski.

Mimo jednak szeregu motywów przemawiających za wprowadzeniem w życie Kodeksu Zamoyskiego, sejm z 1780 r. potępił go jednogłośnie i zakazał wznawiać na przyszłych sejmach. Ta niespodziewana decyzja przedstawiała się dotychczas w naszej nauce historycznej dość tajemniczo. Próbę wyjaśnienia jej podjął pierwszy, pod koniec ubiegłego wieku, Tadeusz Korzon, ale nie znając sił zakulisowych, grających w tym wypadku decydującą rolę, potraktował całe zagadnienie na płaszczyźnie moralnej. Rozumując słusznie, że jednym z głównych, a równocześnie oficjalnych powodów obalenia Kodeksu były sprawy chłopskie, wołał Korzon z oburzeniem: „Więc łby szlacheckie były twarde, serca w sa-

nolubstwie zakamieniałe! Pokolenie, które Rzeczpospolitą ostatecznie zatraciło, które dało jej wydrzeć trzecią część ziemi i całą prawie niepodległość polityczną, czyż mogło się zdobyć na jakąkolwiek ofiarę władzy nieograniczonej nad swymi poddanymi? Czyż zdołałoby zrozumieć, że reforma była niezbędnym i skutecznym lekarstwem na ruinę materialną, w jakiej pogrążony był kraj cały?"

Władysław Smoleński zajmujący się równocześnie z Korzonem przyczyną upadku Kodeksu doszedł do trafnego sądu, że przypisywanie jej „wyłącznie pobudkom zachowawczości szlacheckiej jest błędne". W dążeniu do poznania istotnych przyczyn trudnego do wyjaśnienia zjawiska udał się Smoleński do carskich archiwów i na ich podstawie stwierdził niezbicie, że Stackelberg, reprezentujący w Polsce interesy polityczne caratu, zarzucał Kodeksowi naruszenie podstawowych praw politycznych, zatwierdzonych przez imperatorową Katarzynę. W dalszym ciągu swoich wywodów Smoleński przyznaje lojalnie, że ani pamiętniki XVIII w., ani diariusz sejmu, ani inne źródła nie wskazują zupełnie, aby Stackelberg prowadził jakąkolwiek akcję przeciw Kodeksowi. Mimo to jednak Smoleński postawił bardzo sugestywne pytanie: „Czy ci — pisał w zakończeniu artykułu o upadku Kodeksu — którzy darli karty księgi i rzucali ją o ziemię, nie czerpali zapału w tej sprawie w kasie ambasadorskiej?"

Nie poparta żadnymi źródłowymi dowodami sugestia Smoleńskiego została uznana przez innych historyków za pewnik i do dzisiaj jeszcze można się spotkać z opinią, że Kodeks Zamoyskiego został obalony przez Rosję carską.

W czasie moich poszukiwań w 1947 r. w aktach Archiwum Watykańskiego materiałów do działalności Komisji Edukacji Narodowej natrafiłem w raportach nuncjusza Archetti z lat 1776—1780 na szereg początkowo krótkich wzmianek, później całych ustępów poświęconych powstaniu i losom Kodeksu Zamoyskiego. Ponieważ znana mi literatura naukowa nie podawała żadnych wzmianek o jakichś żywszych zainteresowaniach Kodeksem najwyższych władz kościelnych, zacząłem te ustępy notować. W miarę wgłębiania się w raporty wspomnianego nuncjusza, zwłaszcza z lat 1778—1780, zaczęło wyrastać przede mną nowe, niezwykle ciekawe zagadnienie, zmieniające w dodatku zupełnie dotychczasowe nasze wiadomości naukowe. Po raportach nuncjusza przyszła kolej na instrukcje i zarządzenia, wysyłane w imieniu papieża do Warszawy w latach 1776—1780 przez kardynała-sekretarza stanu Pallavicini. Okazało się z nich, że akcja nuncjusza Archetti przeciw Kodeksowi była w najdrobniejszych szczegółach uzgadniana z Watykanem, nawet w niektórych momentach wprost zarządzana przez papieża Piusa VI. Inne teki z tego samego okresu nie przyniosły wprawdzie materiału rewelacyjnego, ale swoją zawartością uzupełniły obraz szeregiem drobnych szczegółów.

Z przestudiowanych materiałów watykańskich wynika niezbicie, że nuncjusz Jan Andrzej Archetti zaczął się interesować Kodeksem niemal od jego kolebki, to jest zaraz po uchwaleniu przez sejm 1776 r. powierze-

nia Zamoyskiemu opracowania projektu nowych praw. Chociaż katolicyzm i przywiązanie do religii Zamoyskiego nie budziły w nuncjuszu żadnych wątpliwości, postanowił on na wszelki wypadek wprowadzić do zespołu redagującego nowy kodeks jednego duchownego, który by z jednej strony był mile widziany przez postępowe koła rządowe, z drugiej zaś zabiegał o względy Watykanu. Duchownym tym był Krzysztof Szembek, koadiutor płocki, zaprzyjaźniony z bratem królewskim Michałem Poniatowskim i zapraszany przez Stanisława Augusta na obiady czwartkowe. Szembek postawiony w zespole redakcyjnym w trudnej, bo podwójnej roli, wybrnął z niej dość sprytnie. Wobec Zamoyskiego i króla występował jako zwolennik ograniczeń zbyt daleko idących przywilejów Kościoła, wobec zaś Archettiego udawał, że broni uprawnień papieża i duchowieństwa przed atakami świeckich. Dzięki tej taktyce nie stracił ani zaufania Watykanu, ani względów dworu królewskiego.

W tym samym czasie Archetti korzystając z apelu Zamoyskiego do całego narodu o nadsyłanie projektów i materiałów do przyszłego kodeksu, polecił Wojciechowi Skarszewskiemu — skazanemu później przez trybunał Kościuszki za reakcyjną działalność na karę śmierci — opracować memoriał w imieniu całego duchowieństwa polskiego, a ściślej mówiąc Watykanu. Memoriał ten wydany w 1778 r. jako *Uwagi polityczne imieniem stanu duchownego do Zbioru praw polskich podane* żądał nie tylko zachowania w całości wszystkich dotychczasowych przywilejów Kościoła w Polsce, ale nawet rozszerzenia ich przez unieważnienie dawnych konstytucji sejmowych, występujących przeciw majątkom kościelnym. Przy tej okazji Skarszewski rozprawił się ostro ze zwolennikami filozofii racjonalistycznej, którą nazywał „zarazą wieku".

Twórcy nowego kodeksu zorientowawszy się w zakulisowych zabiegach nuncjusza otoczyli prace redakcyjne ścisłą tajemnicą, a dla pomieszania wrogich szyków rozpuszczali pogłoski, że projekt nowych praw nie odpowiada wymaganiom króla i nie wejdzie nigdy pod obrady sejmowe. Mimo to Archetti dowiedział się natychmiast po oddaniu do druku pierwszej części Kodeksu o treści kościelnych paragrafów, a nawet wydostał je z drukarni i w tłumaczeniu włoskim wysłał do Rzymu. Natychmiast też rozpoczął energiczne starania, aby władze polskie albo wycofały paragrafy nie odpowiadające interesom Kościoła, albo wstrzymały druk całego Kodeksu i zrezygnowały z jego uchwalenia. Ponieważ interwencja u brata królewskiego Michała Poniatowskiego nie dała rezultatów, Archetti wybrał się do Zamoyskiego. Twórca Kodeksu odpowiedział mu stanowczo, że przy opracowywaniu projektu nowych praw miał na względzie tylko dobro całego narodu i nie mógł dbać specjalnie o interesy stanu duchownego. Jeżeli nuncjusz ma jakieś zastrzeżenia — dodał Zamoyski na zakończenie rozmowy — powinien się z nimi wstrzymać do najbliższego sejmu.

Bardziej dramatyczny przebieg miała wizyta jednego z urzędników nuncjatury u Józefa Wybickiego, sekretarza komitetu redakcyjnego. Na uwagi Wybickiego, że Zamoyski przy próbie uregulowania spraw

kościelnych w Polsce wzorował się na innych państwach katolickich, z którymi Watykan pozostaje w najbliższych stosunkach, porywczy Włoch „wrzasnął jak w konwulsjach, że są jeszcze prawowierni w Polsce, którzy początki naszego kacerstwa zniszczą".

Wobec stanowczej, choć grzecznej odmowy Stanisława Augusta wycofania Kodeksu, postanowił Archetti podjąć z nim nieubłaganą walkę. Znając dość dobrze wewnętrzne stosunki polityczne w Polsce wiedział doskonale, że w społeczeństwie szlacheckim, a nawet wśród biskupów, nie znajdzie sprzymierzeńców w zwalczaniu Kodeksu z powodu antykościelnych paragrafów. Odpowiadały one bowiem nie tylko świeckim, ale i wyższemu duchowieństwu dążącemu z wielu powodów do ograniczenia wpływów papieża w Polsce. Wobec tego postanowił Archetti wyszukać w Kodeksie te artykuły i paragrafy, które z różnych względów mogły się nie podobać poszczególnym ugrupowaniom politycznym. Przeciwników silnej władzy królewskiej np. grupujących się w stronnictwie „familii" postanowił przekonywać, że Kodeks zmierza do wzmocnienia autorytetu Stanisława Augusta, kosztem wolności szlacheckich. Zwolenników natomiast wzmocnienia rządów królewskich miał zamiar Archetti podburzać argumentami, że Kodeks zmarnował okazję i nie umieścił odpowiednich przepisów, zmierzających do absolutyzmu w Polsce.

„Przede wszystkim jednak — pisał Archetti do Watykanu 17.VI. 1778 — będzie można pozyskać dla naszej sprawy dwór wiedeński, a następnie nie bałbym się wykorzystać w odpowiedni sposób pomocy dworu pruskiego i moskiewskiego". Poparcie państw rozbiorowych planował Archetti zdobyć przy pomocy argumentów, że Kodeks narusza polskie prawa kardynalne, zagwarantowane przez Austrię, Prusy i Rosję w latach 1768—1774.

Przyrzeczenie pomocy austriackiej uzyskał dość szybko, bo w przeciągu miesiąca, ale za cenę zwalczania przez Watykan na sejmie 1778 r. tych posłów, którzy by domagali się ewentualnie od Marii-Teresy zwrotu Galicji.

Do akcji zwalczania Kodeksu postanowił Archetti pozyskać nawet wrogów Kościoła w Polsce. Twierdził, że wśród szlachty znajduje się poważna grupa nastawiona niechętnie do wszelkich instytucji kościelnych. — Tej — dowodził Watykanowi — można będzie wmówić, że Kodeks faworyzuje Kościół katolicki, a na dowód podawać projekt powołania do życia trybunału duchownego.

Gdyby Kodeks mimo usilnych starań nuncjusza był przyjęty przychylnie i zanosiło się na jego uchwalenie przez sejm, wówczas Archetti miał zacząć rozsiewać różnorodne plotki, niepokojące pogłoski i oskarżenia („mettere il campo a romore...") W ostateczności przyrzekał użyć „wypróbowanych środków", to jest — jak wynika z dalszych słów tej samej depeszy — pieniędzy i przy ich pomocy zniszczyć projekt nowego Kodeksu („frustrare il progetto di un nuovo Codice").

Papież Pius VI otrzymawszy szczegółowe sprawozdanie nuncjatury w Warszawie postanowił przez odpowiednie osobiste rozmowy z przed-

stawicielami Stanisława Augusta doprowadzić do wycofania Kodeksu. Przekonawszy się jednak, że jego próby nie przyniosą oczekiwanych rezultatów, polecił Archettiemu dążyć bezwzględnie do obalenia Kodeksu, bez wdawania się w jakiekolwiek układy z polskim rządem.

Wobec zbliżania się sejmu 1778 r. postanowił Archetti tak działać, aby nie dopuścić do uchwalenia projektu nowych praw. Celem zapewnienia sobie na sejmie jak największej ilości ewentualnych sympatyków, postanowił przy poparciu posła austriackiego i Stackelberga nie dopuścić do wyboru na sejmikach posłów dysydenckich. Równocześnie zabiegał różnorodnymi drogami, aby sejmiki umieszczały w instrukcjach poselskich punkty, domagające się odrzucenia Kodeksu lub co najmniej odroczenia decyzji do sejmu 1780 r. W niektórych bardziej zacofanych województwach przekupieni agenci nuncjatury umieszczali w instrukcjach polecenie, aby posłowie nie zgadzali się nawet na czytanie Kodeksu w sejmie, lecz żądali jego odrzucenia bez podawania powodów.

Propaganda Archettiego posługiwała się w czasie sejmików obmyślanym sprytnie straszakiem chłopskim. Przesyłając 30.IX.1778 r. do Watykanu tłumaczenie paragrafu o chłopach, zaznaczył Archetti, że wywołają one nieprzejednaną opozycję szlachty i że z tego należy skorzystać. Zgodnie z tą zapowiedzią zakonnicy uwijający się na sejmikach wśród pijanej szlachty przedstawiali w przesadny sposób prawa nadane rzekomo chłopom przez Kodeks i dzięki umiejętnemu podsycaniu najbardziej reakcyjnych nastrojów doprowadzili do uchwalenia instrukcji wrogich projektowi nowych praw.

Pomyślny dla Watykanu przebieg sejmików dawał poważne szanse zwycięstwa na sejmie, pod warunkiem jednak, że nie będzie on skonfederowany. Na wolnym bowiem sejmie można było użyć w razie konieczności *liberum veto* dla osiągnięcia zamierzonego celu (depesza 30.IX.1778). Dlatego też starał się przy pomocy Stackelberga wymusić na Stanisławie Auguście decyzję, że najbliższy sejm będzie wolny. Stackelberg — jak już wiemy — nie był entuzjastą Kodeksu, ale ponieważ znał dobrze zabiegi nuncjatury, zmierzające do jego obalenia, ograniczał się do popierania inicjatywy Archettiego. Politykę jego w tym wypadku charakteryzuje najlepiej depesza nuncjusza z sierpnia 1778 r. Stackelberg w rozmowie z nim zaczął nagle ubolewać nad antykościelnymi paragrafami Kodeksu, żalić się na upadek powagi nuncjatury w Polsce i w końcu oświadczył, że z sympatii do papieża jest gotów zrobić wszystko, co Archetti rozkaże. Nuncjusz, ujęty komplementami i serdecznością posła prawosławnego państwa, radził Watykanowi skorzystać z zaoferowanej pomocy. „Jeżeli — pisał Pallavicini w imieniu papieża — Wasza Przewielebność sądzi, że oferta jest szczera, Ojciec Święty uważa za wskazane, abyś skorzystał z niej, działając niby w swoim własnym imieniu, nie zapominając przy tym o ostrożności, jaką Wasza Przewielebność powinna się odznaczać ze względu na zajmowane stanowisko. *Porozumienie i współpraca nasza z państwem heretyckim nie powinna tam wyjść na jaw, gdyż to przyniosłoby nam szkodę, jakkolwiek Opatrzność posługuje się nieraz takimi środkami*

dla dobra Kościoła i jego głowy, celem pokrzyżowania planów ludzkiej polityki".

Stanisław August zorientowawszy się w dywersyjnej akcji nuncjusza postanowił niemal w ostatniej chwili odroczyć dyskusję nad Kodeksem do sejmu 1780 r., sądząc, że do tego czasu uspokoi się burza, wywołana propagandą Watykanu, a skonfederowany ewentualnie sejm uchwali bez trudu nowe prawa. Decyzja ta jednak nie uśpiła podejrzliwości Watykanu. Mimo apelu króla, aby sejm 1778 r. nie zajmował się zupełnie Kodeksem, współpracujący ściśle z Archettim marszałek wielki koronny Stanisław Lubomirski wysunął 24 października zarzut, że Kodeks Zamoyskiego narusza prawa kardynalne, wobec czego może być uchwalony jedynie na sejmie wolnym. W tym samym duchu przemawiali jeszcze czterej inni posłowie z Tomaszem Dłuskim na czele, dążąc wyraźnie do obudzenia nieufności sejmu wobec Kodeksu.

Sejm 1778 r. nie uchwalił wprawdzie żadnej konstytucji dotyczącej Kodeksu, ale wykazał niewątpliwie poważne wpływy jego przeciwników. Dlatego Stanisław August rozpoczął dyplomatyczną akcję, zmierzającą do uspokojenia obaw Watykanu. Tłumaczył papieżowi, że wprawdzie Polska musi mieć nowy kodeks, ale ponieważ projekt Zamoyskiego podważa interesy Kościoła, gotów jest z niego zrezygnować, względnie przeprowadzić niezbędne poprawki. Proponował nawet, aby te poprawki opracował Archetti wspólnie z przedstawicielem władz polskich. Watykan jednak nie zgodził się na ugodowe załatwienie sprawy. *„Dla nas najwygodniejszą jest rzeczą* — pisał kardynał Pallavicini — *podtrzymywać aktywność wszystkich przeciwników Kodeksu, siać niepokój i utrzymywać stałe wzburzenie umysłów w tym narodzie. Dopiero wtedy możemy oczekiwać wzrostu oburzenia na Kodeks, a równocześnie naszych największych korzyści."*

Wobec tak wyraźnie określonych planów Watykanu przystąpił Archetti do przygotowywania akcji dyplomatycznej i propagandowej na sejm 1780 r. Do wytycznych propagandy z 1778 r. dodawał szereg nowych. Jedna z nich atakowała np. Wybickiego twierdzeniem, iż opracowany przez niego kodeks szerzy heretyckie idee i nie jest przystosowany do polskich warunków i potrzeb. Specjalny nacisk w akcji propagandowej postanowił Archetti położyć na sprawę chłopską, w przekonaniu, że przy jej pomocy najłatwiej podburzyć przeciw Kodeksowi najszersze masy szlacheckie. Przygotowani przez niego agenci, przeważnie w zakonnych habitach, rozsiewali — jak twierdzi Wybicki — „pogłoski, że projekt zupełnie znosi poddaństwo chłopów i przyznaje im całkowitą wolność. Potwarz ta przebiegała śmiało z ust do ust roznosząc między szlachtą trwogę i postrach."

Do tych, których nie przekonywał straszak chłopski, postanowił Archetti przemawiać innymi argumentami. Wedle świadectwa Stanisława Węgrzeckiego wroga Kodeksowi propaganda tłumaczyła przed sejmem 1780 r. senatorom i ministrom, że Zamoyski naruszył poważnie ich wolność, ponieważ opracował przepisy o pociąganiu ich do odpowiedzialności sądowej za zaniedbanie obowiązków publicznych; niechęć sędziów

do Kodeksu podniecano podkreśleniem, że nowe paragrafy zabraniają wszystkim przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości bywania na przyjęciach u procesujących się stron; magnatów podburzano argumentami, że Kodeks nie przyznaje im tytułów i nie odróżnia od zwykłej szlachty; biedną wreszcie szlachtę zjednywano argumentami, że Zamoyski odebrał jej prawa polityczne.

Dla ułatwienia akcji propagandowej przygotował Archetti osobiście, lub ktoś pod jego dyktatem, specjalną broszurę: *Myśli obywatelskie z okoliczności projektu pod tytułem Zbiór praw sądowych.* Wyszła ona anonimowo we Wrocławiu 1780 r. Głównym jej celem było wmawianie czytelnikowi, że Kodeks Zamoyskiego jest niebezpieczny dla Polski i szkodliwy, ponieważ przyznaje szereg ulg chłopom, a te grożą ruiną majątków szlacheckich, ułatwiają bunty chłopskie i ich rewolucyjne dążenia.

Równolegle z akcją propagandową prowadził Archetti ożywioną działalność dyplomatyczną. Po otrzymaniu zapewnienia Stackelberga, że sejm 1780 r. będzie również wolny, rozpoczął nuncjusz przy poparciu posła austriackiego starania, aby sejmiki 1780 r. nie wybrały żadnego posła dysydenckiego ani katolika, będącego zwolennikiem reform Stanisława Augusta. Jak te starania wyglądały, dowodzi przykład Józefa Wybickiego. Stanisław August pragnąc, aby Wybicki bronił osobiście Kodeksu na sejmie, postanowił przeprowadzić jego kandydaturę na posła do sejmiku w Środzie. Poparcie Wybickiemu przyrzekła wielkopolska szlachta dysydencka, prymas Ostrowski i mający duże wpływy wśród katolików wielkopolskich generał Kazimierz Raczyński. Gdy Wybicki w przeddzień sejmiku pojawił się na ulicach Środy, zaczęto za nim wołać: „Oto ten jegomość, co chciał chłopów w szlachtę zamienić, a nas w chłopów". Inny tłum krzyczał za nim, że chce szlachcianki wydawać za mąż za chłopów. W dniu otwarcia obrad sejmiku generał Raczyński zawiadomił Wybickiego, że nie może opanować oburzenia szlachty i prosił go, aby nie przychodził na obrady do kościoła, ponieważ wykryto spisek na jego życie. Wybory w Środzie wypadły oczywiście wedle planu nuncjusza, a nie woli królewskiej.

Wraz z agitacją przeciw różnowierczym i postępowym kandydatom na posłów czynił Archetti wysiłki, aby jak najwięcej województw uchwaliło instrukcje poselskie wrogie Kodeksowi. Uchwały te zapadły istotnie na sejmikach: grodzieńskim, krakowskim, lubelskim, mińskim, podolskim, poznańskim, smoleńskim, wołyńskim i wileńskim.

Szczególne zadowolenie sprawiło Watykanowi województwo lubelskie. Zgodnie z wolą Stanisława Lubomirskiego wybrało ono 1779 r. trzech delegatów, którym powierzyło ocenę Kodeksu i przygotowanie odpowiednich wniosków na sejm 1780 r. Na czele tej komisji stanął znany nam już Tomasz Dłuski, bliski współpracownik Lubomirskiego i nuncjatury. On też głównie był autorem anonimowej broszury, wydanej w 1780 r. pod tytułem *Refleksje nad projektem pod tytułem Zbiór praw sądowych od województwa lubelskiego.* Dłuski, zgodnie z wytycznymi propagandy nuncjatury atakował głównie społeczne pa-

ragrafy Kodeksu. Występował więc przeciw wszelkim ustępstwom na rzecz miast, usiłował sparaliżować projekty rozbudowy rzemiosła i przemysłu. Najwięcej zastrzeżeń wysunął oczywiście pod adresem paragrafów chłopskich. Szlachcic powinien — wedle poglądów Dłuskiego — być nadal absolutnym władcą chłopa, korzystać w całej pełni z jego pracy i mieć nawet prawo sprzedania go w razie potrzeby. Dla utrzymania chłopa w posłuszeństwie żądał zwiększenia ilości wojska w Polsce, „którego bojaźń tłumiłaby buntownicze zamysły".

Archetti dowiedziawszy się o oddaniu do druku *Refleksji* lubelskich donosił z entuzjazmem do Rzymu, że niektóre województwa opracowały własne kodeksy praw. Wskazuje to, jak wielką wagę przywiązywał on do wydania tej broszury. Podobne stanowisko zajmował papież Pius VI. Chwalił on krytycyzm *Refleksji* wobec Kodeksu i zalecał, aby wszystkie inne województwa naśladowały przykład lubelski.

Stanisław August zorientowawszy się, że nie potrafi na sejmie skupić większej ilości zwolenników Kodeksu, ani zorganizować obrad pod laską konfederacji, zdecydował się we wrześniu 1780 r. powołać sześcioosobową komisję dla rozpatrzenia projektu Zamoyskiego i odroczenia w ten sposób drażliwej i niepewnej dyskusji jeszcze o dwa lata.

Archetti natomiast opierając się na większości posłów niechętnych Kodeksowi, postanowił go obalić już na sejmie 1780 r. „Trzeba korzystać z tego — pisał Archetti do Rzymu — że wielka ilość sejmików oświadczyła się stanowczo przeciw Kodeksowi. Trzeba te nastroje podtrzymywać i podniecać nie budząc najlżejszych podejrzeń króla." Tego samego zdania był Watykan. „Ojciec Święty ufa — pisał Pallavicini do Archettiego — przezorności Waszej Przewielebności i wierzy, że Wasza Przewielebność użyje wszystkich środków do obalenia Kodeksu."

Decyzja Archettiego obalenia Kodeksu zapadła 23.X.1780 r. W dniu zaś 25 października, a więc zaledwie w dwa dni później poseł chełmski, Suchodolski, wśród pompatycznych frazesów na temat demokracji szlacheckiej i miłości ojczyzny zażądał, ażeby sejm zajął się przede wszystkim ostatecznym załatwieniem projektu Zamoyskiego.

Wystąpienie to było niewątpliwie balonem próbnym dla zorientowania się, jak izba sejmowa zareaguje na propozycję ostatecznego — a więc wbrew woli królewskiej — załatwienia sprawy Kodeksu. Ponieważ sejm przyjął postulat Suchodolskiego w milczeniu, Archetti uznał to za dobry znak i w cztery dni później przypuścił generalny atak. W dniu 31 października, po przerwaniu dyskusji nad zadłużeniem skarbu państwa wobec Radziwiłłów, zabrał niespodziewanie głos poseł wołyński, Kamieński, i w imieniu całej szlachty zażądał, aby Kodeks został tak umorzony, „iżby się wspomnienie o nim o uszy nasze ani potomków naszych nie obiło". Wniosek złożony na piśmie dodawał, że Kodeks przekracza pełnomocnictwa sejmu 1776 r. i sprzeciwia się w wielu punktach dawnym konstytucjom. Po przeczytaniu go rozległy się na sali niemal jednomyślne głosy zgody. Wśród powszechnej wrzawy niektórzy posłowie zaczęli drzeć Kodeks i rzucać go z hałasem na ziemię. Inni domagali się natychmiastowego uchwalenia wniosku.

Podnieceni posłowie nie chcieli nawet słuchać wyjaśnień marszałka sejmu, Małachowskiego, że regulaminy nie pozwalają uchwalać wniosków bez dyskusji. Nieprzychylnie również przyjęli wystąpienie bratanka królewskiego, Stanisława Poniatowskiego, który zaczął wychwalać zasługi Zamoyskiego, jego dobrą wolę i gorliwość w służbie narodowej. Pewne odprężenie na sali nastąpiło dopiero wówczas, gdy przywódcy stronnictwa królewskiego wysłali na trybunę posła pińskiego, Chomińskiego, i polecili mu mówić dla odwrócenia uwagi izby na temat sum niezbędnych dla utrzymania wojska. Po zakończeniu jego przemówienia Suchodolski zażądał od Poniatowskiego wycofania jego postulatu poddania wniosku Kamieńskiego pod dyskusję, ale wystąpienie jego nie zrobiło na sali większego wrażenia. Wobec tego stronnicy królewscy postanowili kontynuować taktykę odwracania uwagi posłów. Z ich polecenia poseł Moszczeński wygłosił dłuższe przemówienie na temat ufundowania przez Potockiego pułku wojska, a Witosławski zajął przez dłuższą chwilę uwagę posłów skargami na nieregularne wypłacanie pensji nauczycielom korpusu kadetów. Podniecenie na sali minęło. Marszałek sejmu po odczytaniu różnorodnych wniosków czekających od dawna na uchwalenie, odroczył posiedzenie pod pretekstem spóźnionej pory.

W dniu 1 listopada Stanisław August usiłował na próżno przekonać opozycję na prywatnych konferencjach, aby wycofała swój wniosek o natychmiastowe obalenie Kodeksu. Pod naporem przeciwników nowych praw zgodził się ostatecznie na uchwalenie wniosku Kamieńskiego pod warunkiem, że zostaną z niego usunięte wyrazy obrażające godność i zasługi Zamoyskiego.

Równolegle z konferencjami na zamku królewskim toczyły się niewątpliwie gorączkowe narady w gmachu nuncjatury, gdzie Archetti przygotowywał z przekupionymi posłami plany dalszej walki. Zaczęto ją ostrą ofensywą zaraz po otwarciu posiedzenia w dniu 2 listopada. Propozycje marszałka, aby izba załatwiła ostatecznie pretensje Radziwiłłów, przerwano gwałtownie żądaniem natychmiastowego obalenia Kodeksu. Ponieważ marszałek nie mógł opanować wrzawy, polecił przeczytać w złagodzonej formie wniosek, który wyrażał wdzięczność Zamoyskiemu za poniesiony trud i równocześnie uchylał na zawsze jego projekt i zakazywał wskrzeszenia go na przyszłych sejmach.

„Ojciec Święty został już całkowicie uwolniony od wszelkich obaw i wszelkiego niepokoju" — pisał Archetti do kardynała-sekretarza stanu po obaleniu Kodeksu. Przez dwa dni decydujących obrad był Archetti faktycznym kierownikiem sali sejmowej. Przekupieni posłowie przesyłali mu bez przerwy krótkie sprawozdania z przebiegu dyskusji, on zaś dawał im na karteczkach dyrektywy dalszego postępowania. Karteczki te dochowały się do dzisiaj w Archiwum Watykańskim.

Jedynym czynnikiem zakłócającym radość Archettiego po upadku Kodeksu była poważna obawa, aby król nie wpadł na ślad jego zakulisowej akcji. Obawa ta była tym więcej uzasadniona, że bardziej zorientowane w życiu politycznym jednostki posądzały głośno nuncjusza

o odegranie poważnej roli w złym przyjęciu Kodeksu na sejmie. Ażeby się uchronić przed ewentualnymi atakami z tego powodu, gromadził Archetti odpisy instrukcji poselskich nieprzychylnych Kodeksowi jako rzekomy dowód, że uchwała sejmu zapadła zgodnie z wolną wolą posłów. Ewentualne zaś podejrzenia Stanisława Augusta radził rozbroić przez wysłanie doń z Watykanu specjalnego breve z podziękowaniem „za gorliwość w ochranianiu praw i przywilejów Kościoła", atakowanych na sejmie przy pomocy różnorodnych projektów ustaw.

Łukasz Kurdybacha

Materia żywa i jej rozwój w świetle współczesnych badań naukowych

Rozwój nauki i głębsze poznanie otaczającej nas przyrody i zjawisk w niej występujących nie może być dla żadnego myślącego człowieka rzeczą obojętną. Kwestie światopoglądowe są ściśle związane z rozwojem nauki, zwłaszcza zaś z rozwojem fizyki, chemii i biologii.

Badania biologiczne napotykają na duże trudności metodologiczne; są to trudności obiektywne, których pokonanie zależne jest zwykle od rozwoju nauk fizycznych czy chemicznych, albo też związane jest z rozwojem techniki. Przykładem tego niech będzie znany fakt wprowadzenia mikroskopu elektronowego, pozwalającego na dostrzeganie struktur sto razy mniejszych niż najdrobniejsze szczegóły dostrzegane w mikroskopie optycznym, wprowadzenie swoistych reakcji mikrochemicznych pozwalających na badanie systemów fermentacyjnych w komórce, mikromanipulatora pozwalającego na wykonywanie precyzyjnych operacji pod kontrolą mikroskopu.

Obecnie centralnym zagadnieniem biologii, rozpracowanym przy pomocy całego arsenału środków technicznych jest problem granicy między materią martwą a żywą, problem powstawania życia na ziemi, zagadnienie budowy i organizacji materii żywej.

Ten dział biologii rozwinął się w ostatnim okresie przede wszystkim dzięki badaniom uczonych radzieckich, którzy zrewolucjonizowali podstawowe tezy biologiczne niewzruszenie panujące od z górą 100 lat.

Kierunek badań uczonych radzieckich nie jest przypadkowy. Śmiałość kierującej nimi myśli naukowej opiera się na podstawach materializmu dialektycznego, sformułowanych przez klasyków marksizmu, którzy twierdzili, że nie może istnieć nieprzekraczalna granica między materią martwą a żywą. Materiał doświadczalny uzyskany przez uczonych radzieckich potwierdza tezy materializmu dialektycznego, przyczyniając się zdecydowanie do usunięcia pozostałości poglądów fideistycznych w biologii.

Aby zrozumieć istotę ostatnich odkryć, olbrzymie ich znaczenie dla poglądów na istotę życia, musimy zapoznać się z wspomnianymi klasycznymi twierdzeniami i teoriami.

W 30-tych latach ubiegłego stulecia Schleiden i Schwann — uczeni niemieccy — ogłosili teorię komórkową. Teoria ta — uznana przez Engelsa za drugie co do wagi, po teorii Darwina, wydarzenie w nauce — została rozwinięta i przeniesiona na dziedzinę patologii przez berlińskiego uczonego Wirchowa.

Jakie są zasadnicze twierdzenia teorii komórkowej? Podstawową cegiełką życia, w myśl tej teorii, jest tzw. komórka. Jest to twór zazwyczaj mikroskopowych rozmiarów, zbudowany z kleistej, ciągnącej się substancji o konsystencji gumy arabskiej. Najważniejszym składnikiem tej podstawowej substancji zwanej p r o t o p l a z m ą — są skomplikowane związki chemiczne, złożone z dziesiątek i setek tysięcy atomów, zwane białkami. Prócz białek protoplazma zawiera nieduże ilości ciał tłuszczowych, cukrów oraz soli mineralnych. Charakterystyczną cechą protoplazmy jest duża zawartość wody, wynosząca

przeciętnie 60%. Protoplazma każdej komórki jest zróżnicowana na dwie zasadnicze części: na jądro komórkowe, kształtu zwykle kulistego, znajdujące się w centrum komórki, oraz na t.zw. cytoplazmę, stanowiącą ciało komórki. Jądro komórkowe uznawane jest za ośrodek kierujący życiem komórki. Otoczone jest one cienką błoną jądrową, która stanowi granicę pomiędzy jądrem a cytoplazmą. Na granicy tej przemiana materii jest szczególnie nasilona; w miejscu tym bowiem odbywać się ma synteza niezwykle ważnego rodzaju substancji białkowych tzw. nukleoproteidów, o których niejednokrotnie jeszcze będziemy mieli okazję wspomnieć. Skład chemiczny jądra komórkowego różni się od składu chemicznego cytoplazmy właśnie nagromadzeniem dużej ilości tej specyficznej frakcji białkowej. Jądro komórkowe kieruje podziałem komórki, a więc procesem rozmnażania. Szkoła amerykańskich genetyków — badaczy praw dziedziczności — oparłszy się na badaniach Mendla i Weissmanna stworzyła rozbudowaną teorię dziedziczności, przypisującą jądru komórkowemu zasadniczą rolę w przenoszeniu cech dziedzicznych. Teoria ta wprowadziła pojęcie „genu" — nosiciela zawiązków cech dziedzicznych. Zespół genów, stanowiący o cechach danego ustroju, mieścić się ma w jądrze wszystkich komórek ustroju, a więc także w jego komórkach rozrodczych. Według tej szkoły — zespół genów przenosi się w formie niezmienionej z ustroju macierzystego na potomstwo. W myśl teorii Morgana, założyciela tej szkoły, czynniki zewnętrzne, a więc środowisko, warunki życia itp. nie mają żadnego wpływu na geny, nie istnieją więc żadne możliwości świadomego wpływania na zmienność tych cech. Jeżeli bowiem jakieś zmiany w genach zachodzą, czy to pod wpływem tak silnych bodźców jak naświetlanie energią promienistą, czy też spontanicznie — niesposób jest, w myśl tej teorii, przewidzieć ani kierunku, ani nasilenia ewentualnej zmiany którejś z cech dziedzicznych.

Powyższa teoria dziedziczności, odmawiająca człowiekowi jakiegokolwiek wpływu na przekształcanie cech dziedzicznych ustroju, głosząca niezależność zawiązków cech dziedzicznych od środowiska, została obalona przez znanych genetyków radzieckich Miczurina i Łysenkę. O zagadnieniach związanych z problematyką dziedziczności wspominam tu jedynie nawiasowo, ponieważ temat jest tak obszerny, że wypełniłby treścią osobne opracowanie. Wzmianka ta jest jednak konieczna, ponieważ, jak niżej podamy, badania cytograficzne zmieniły nasze poglądy na rolę jądra w komórce i to właśnie w kierunku potwierdzającym teorię Miczurina i Łysenki.

W myśl klasycznych poglądów nauki o komórce — jądro komórkowe stanowi narząd nieodzowny dla życia komórki. Twierdzono, że protoplazma pozbawiona tego zasadniczego narządu, jakim jest zorganizowane jądro, jest skazana na śmierć. Poglądy te stały w zgodzie z poglądami szkoły genetycznej Morgana, który umiejscowiając cały zespół genów w jądrze komórkowym, również podkreśla niezbędność zorganizowanego jądra w komórce. Twierdzenie to upadło wobec nowoczesnych odkryć bakteriologów i cytologów.

Komórki mnożą się zwykle przez podział, polegający na szeregu skomplikowanych przemian prowadzących do powstania dwóch komórek potomnych z komórki macierzystej. W podziale komórkowym widziano jedyny mechanizm rozmnażania się żywej materii. Nowe

komórki mogły powstać w myśl tych poglądów jedynie z komórek macierzystych i jedynie drogą podziału. Stąd też powstał jeden z dogmatów klasycznej teorii komórkowej: Omnis cellula e cellula — komórka powstaje tylko z komórki. Ostateczna klasyczna definicja komórki brzmi jak następuje: Komórka jest to grudka protoplazmy, zawierająca jądro komórkowe, posiadająca zasadnicze cechy życia. Komórce — i tylko komórce — przypisywano zasadnicze cechy życia, które poza komórką jakoby nigdzie nie występowały. Są to:

a) przemiana materii (przerabianie i spalanie pokarmów, wytwarzanie nowych substancji np. wydzielin, i inne),

b) rozmnażanie (podziały komórkowe),

c) pobudliwość (reagowanie w rozmaity sposób na bodźce pochodzące ze świata zewnętrznego np. ciepło, światło, lub na bodźce wewnętrzne jak np. nagromadzenie się w komórce dużej ilości substancji szkodliwych.)

Twórcy teorii komórkowej stwierdzili, że wszystkie organizmy tak zwierzęce jak roślinne zbudowane są z komórek, których schemat budowy jest na ogół identyczny, a różnice wypływają z ich czynności i roli w organizmie. Stwierdzenie tego faktu było w owej epoce rozwoju biologii ogromnym krokiem naprzód. Cała rozmaitość form żyjących, różnorodność czynności i kształtów została sprowadzona do jednego mianownika, do podstawowej cegiełki życia — komórki. Tę właśnie zasługę teorii komórkowej, zasługę ujednolicenia poglądów na rozmaitość form żywych — podkreślił Engels — stawiając teorię komórkową obok teorii Darwina.

Teoria komórkowa rozwijała się i coraz więcej materiału doświadczalnego uzyskiwano dla potwierdzenia jej tez. Wreszcie w połowie XIX wieku została ona wprowadzona do medycyny przez Wirchowa. Wirchow stał się twórcą tzw. patologii komórkowej, a zasadniczą tezą jego teorii było stwierdzenie, że choroba organizmu to choroba jego komórek. Rozpoczął się świetny okres rozwoju nowej gałęzi wiedzy medycznej — anatomii patologicznej. Zadaniem tej nauki było stwierdzenie zmian w poszczególnych narządach organizmu, które usprawiedliwiałyby te czy inne objawy chorobowe. Stworzenie tej dziedziny wiedzy jest niewątpliwą i wielką zasługą Wirchowa. Nie obeszło się tu jednak bez „ale". Ogromny autorytet naukowy Wirchowa zaciążył na całym pokoleniu badaczy i ciąży jeszcze do dnia dzisiejszego. Zasadniczym twierdzeniem Wirchowa, które usprawiedliwiało cały jego dorobek naukowy, było to, że organizm należy traktować jako sumę komórek współdziałających ze sobą. Zasadniczym brakiem wirchowiańskiej teorii i ujęcia istoty schorzeń jest w myśl współczesnych poglądów niedocenianie wpływu i znaczenia centralnego układu nerwowego, oraz niedocenianie należyte czynników hormonalnych, to znaczy wydzielin komórkowych, rozprowadzanych przez krew po organizmie i wpływających na czynność komórek. Wszystkie struktury pozakomórkowe, tak konsystencji stałej jak i płynnej, traktowane były przez Wirchowa jako substancje martwe, wyzyskiwane lub ewentualnie wpływające na komórki. To, co nie posiadało struktury komórkowej — w myśl owych poglądów — nie żyło. Założenia Wirchowa, że poza komórką nie ma życia, że materia tylko wtedy może żyć, gdy zorganizowana jest w skomplikowany twór zwany komórką — stały się z czasem czynnikiem hamującym rozwój wiedzy. Twierdzenia te zmieniły się w dogmaty, od

których wszelkie odstępstwo było traktowane jako „podejście nienaukowe." Szukanie życia poza komórką nabrało powoli posmaku takiego, jakie ma w fizyce poszukiwanie perpetuum mobile. Dlatego też przypisując Wirchowowi należyte zasługi na polu rozwoju wiedzy medycznej, należy sobie zdać sprawę, że zasługi te związane są z epoką, w której działał, ze stanem rozwoju ówczesnej wiedzy lekarskiej. Natomiast niewątpliwy jest hamujący wpływ jego twierdzeń na dalszy rozwój wiedzy o życiu i dlatego uparte trzymanie się jego twierdzeń w chwili obecnej zasługuje na miano poglądów reakcyjnych — poglądów hamujących postęp.

Oczywistym wnioskiem wyprowadzanym przez zwolenników teorii komórkowej było najogólniejsze twierdzenie ówczesnych teorji biologicznych: Omne vivum e vivo — wszystko co żyje pochodzi z żywego. Twierdzenie to, które stanowiło przez okres ponad 100 lat dogmat biologiczny, nakreśliło ostrą, nieprzekraczalną granicę pomiędzy światem żywym i martwym, pomiędzy materią ożywioną a materią nieżywą. Podstawy naukowe tego twierdzenia stworzył ojciec nowoczesnej bakteriologii, Ludwik Pasteur.

Do czasów Pasteura wegetowały w nauce starożytne i średniowieczne teorie, związane jeszcze z imieniem Arystotelesa, o samorództwie. Błąkało się przekonanie o powstawaniu much z gnijącego mięsa, o samorodnym powstawaniu żab i raków z gnijącego mułu. Gdy obserwacje życia codziennego i dane doświadczalne obaliły te niedorzeczności, zwolennicy samorództwa przenieśli swe teorie na świat drobnoustrojów. Udowodnili oni z łatwością, że w każdym gnijącym mięsie czy mule, czy wreszcie w wodach stojących roi się od drobnoustrojów, których w świeżym mięsie czy w świeżej bieżącej wodzie nie spotyka się. Zasługą Pasteura było powiązanie przyczynowe tych zjawisk, udowodnienie, że bakterie właśnie są przyczyną rozkładu substancji organicznych zawartych w mięsie czy w mule. Udowodnił on ogromne rozpowszechnienie, niemalże wszechobecność bakterii. Doświadczalnie wykazał, że mięso, do którego bakterie nie mają dostępu, nie podlega procesowi gnicia. Liczne jego doświadczenia udowodniły, że bakterie nie powstają nigdy samorzutnie, lecz że pojawienie się ich związane jest z obecnością chociażby niedużej ilości bakterii w środowisku, w którym istnieją warunki dla rozmnażania się. Doświadczenia Pasteura obaliły zdawało się raz na zawsze teorię samorództwa, teorię powstawania żywej materii z martwej. I również niesposób jest nie podkreślić olbrzymich zasług Pasteura w obaleniu całego średniowiecznego gmachu bzdurnych teorii. Równocześnie jednak zasługi te rozpatrywać musimy w perspektywie historycznego rozwoju naszej wiedzy o życiu.

Twierdzenia Pasteura zostały wyzyskane przez kierunek biologiczny zwany witalizmem, który zakłada istnienie jakiejś mistycznej siły życiowej — vis vitalis, występującej jedynie u organizmów żywych, różniącej się zasadniczo od wszelkich innych sił występujących w przyrodzie. Doskonale metodologicznie przeprowadzone doświadczenia Pasteura stworzyły przepaść — zdawałoby się nie do przebycia — pomiędzy światem ożywionym a materią martwą. Omne vivum e vivo — stało się dogmatem wiary biologów.

Zestawmy sobie zasadnicze tezy omawianej klasycznej teorii komórkowej, by mieć zebrany materiał dla dal-

szych rozważań, dla konfrontacji tych twierdzeń z nowymi danymi doświadczalnymi.

Oto one:

1. Komórka może powstać tylko z komórki macierzystej.
2. Organizm to suma komórek.
3. Poza komórką nie ma życia

i najogólniejsze

4. Wszystko co żyje może powstać tylko z żywego.

Te klasyczne poglądy teorii komórkowej zostały podważone przez pewne odkrycia z dziedziny bakteriologii. Stwierdzono mianowicie, że pojedynczy organizm bakteryjny jest wprawdzie komórką, ale różni się on nieco budową od komórki przeciętnej. Najistotniejszą różnicą jest brak jądra komórkowego, zorganizowanego w postaci osobnego tworu leżącego w komórce. Substancja jądrowa znajduje się w protoplazmie bakterii w stanie rozproszenia.

Prawdziwym ciosem dla klasycznej teorii komórkowej było odkrycie dokonane przez bakteriologa rosyjskiego Iwanowskiego, odkrycie wirusów — tak zwanych zarazków przesączalnych. Iwanowski stwierdził mianowicie, że tzw. mozajkowa choroba tytoniu jest wywoływana przez zakażenie bardzo drobnymi zarazkami, które przechodzą przez filtry porcelanowe o niezwykle drobnych porach, a więc przez filtry zatrzymujące normalne bakterie. Co więcej — te drobne zarazki, zwane wirusami choroby mozajkowej, tworzyły w pewnych warunkach kryształy, nie różniące się swym charakterem od zwykłych kryształów, powstających z substancji martwych, np. z cukru czy soli kuchennej. Istotną jednak różnicą biologiczną było to, że kryształy te po rozpuszczeniu znowu były groźne dla tytoniu i powodowały typową chorobę mozajkową.

Odkrycia nowych gatunków wirusów i badania nad ich budową wykazały jeszcze bardziej niepokojące fakty. Otóż stwierdzono, że „organizm" wirusa zbudowany jest z stosunkowo prostych substancji chemicznych, znanych już ze swego występowania w jądrze komórek — mianowicie z tzw. nukleoproteidów. Wirusom nie można było odmówić cech życia. Rozwijają się one w ciele zaatakowanej komórki i prowadzą własną przemianę materii, objawiającą się właśnie chorobą komórki. Mamy więc do czynienia z życiem materii, która nie jest zorganizowana w komórkę. Wirusa nie można bowiem traktować jako komórkę, jest to — jak było powiedziane — twór zbudowany z dość prostej substancji chemicznej, bynajmniej nie posiadający jądra komórkowego i innych narządów komórkowych. Możność uzyskiwania kryształów z wirusów wskazuje na niski stopień zorganizowania materii wchodzącej w ich skład, ponieważ kryształy to typowa forma istnienia materii martwej. Odkrycie wirusów naruszyło chiński mur, dzielący materię martwą od żywej.

Wybitnym kontynuatorem prac w dziedzinie wirusologii i bakteriologii jest biochemik radziecki prof. Boszjan. Prace jego stanowią prawdziwy przewrót w tych gałęziach wiedzy. Boszjanowi udało się doświadczalnie udowodnić, że wiele wysoko zorganizowanych bakterii np. pałeczki duru brzusznego czy czerwonki można w odpowiednich warunkach przekształcać w formę wirusową, przesączalną, albo w kryształy, analogiczne do kryształów wirusowych. Wykazana plastyczność drobnoustrojów chorobotwórczych, a zwłaszcza ich zdolność przechodzenia w for-

mę krystaliczną, stanowi bardzo ważne ogniwo w poszukiwaniu form i sposobów przekształcania się materii martwej w żywą.

Boszjan wykazał poza tym, że odkryty przez niego mechanizm przekształcania się wysokozorganizowanych form bakterii w formy o organizacji stosunkowo niskiej — krystalicznej — leży u podstaw niezwykłej odporności drobnoustrojów na szkodliwe warunki zewnętrzne. Boszjan poddał kultury pewnych bakterii działaniu wysokiej temperatury, następnie ekstrahował je rozpuszczalnikami takimi jak eter czy alkohol, następnie zaś wysuszał je w eksykatorze. Mimo jednak tych drastycznych zabiegów — udawało mu się uzyskiwać z tak spreparowanego materiału, w odpowiednich warunkach, wzrost nowych kolonii bakteryjnych.

Tego rodzaju doświadczenia podważają celowość stosowanej od czasu Pasteura sterylizacji zakażonego materiału, a więc mają duże znaczenie praktyczne. Poza tym wskazują one na wybitne zdolności prostej stosunkowo materii żywej do organizowania się w formy wyższe, bardziej skomplikowane.

Ostateczny cios klasycznej wirchowiańskiej teorii komórkowej zadały doświadczenia radzieckiej uczonej prof. Olgi Lepieszyńskiej. Zanim przedstawimy ogólne twierdzenia teorii Lepieszyńskiej i konsekwencje, jakie z tych twierdzeń wypływają, należałoby się wpierw zapoznać z niektórymi doświadczeniami przez nią przeprowadzonymi. Techniczne trudności nie pozwalają na równoczesne przedstawienie mikrofotografii dokumentujących opisane doświadczenia — dlatego poprzestać musimy na opisie słownym.

Na trop swych odkryć wpadła Lepieszyńska, zajmując się problemem błon komórkowych, przy czym materiałem doświadczalnym były komórki krwi zarodków żaby — kijanek. W trakcie swych badań uczona zauważyła, że w krążącej krwi zarodka, prócz normalnych, wykształconych już komórek krwi, znajdują się i inne twory, przypominające tzw. kule żółtkowe. Tu konieczna jest dygresja w celu zaznajomienia czytelnika z kulami żółtkowymi. Wszyscy znają żółtko jaj kurzych. Substancja analogiczna znajduje się we wszystkich jajach ptaków, ryb, gadów i płazów, do których należy i żaba. Masa żółtkowa składa się z mikroskopijnych drobin kształtu kulistego, które nazywamy właśnie „kulami żółtkowymi". Żółtko stanowi materiał zapasowy jaja, służący młodemu zarodkowi — rozwijającemu się po zapłodnieniu jaja przez komórkę plemnikową — jako pokarm w pierwszym okresie rozwojowym. Według obowiązujących dotychczas poglądów żółtko stanowiło materię martwą, o charakterze czysto odżywczym — co zresztą było zasadniczą tezą teorii komórkowej — „poza komórką nie ma życia". Kule zaś żółtkowe, z których składa się żółtko jaja, bynajmniej nie wykazują budowy komórki. Są to jednolicie pod mikroskopem wyglądające kuleczki, nie wykazujące istnienia jądra komórkowego, czy jakiejkolwiek innej wewnętrznej struktury.

Otóż — jak wyżej wspomniano — Lepieszyńska zauważyła, że we krwi kijanek znajdują się prócz normalnych, dojrzałych komórek krwi, także i kule żółtka. Co więcej — napotkała ona na liczne postacie pośrednie, stojące rozwojowo między kulami żółtka a komórkami. I tu — z podziwu godną odwagą i niezależnością myślową — Lepieszyńska postawiła hipotezę, że komórki kijanek mogą rozwijać się z kul żółtka. Prawdziwość tej hipotezy udowodniła ona później doświadczalnie.

Postawienie zagadnienia w ten sposób było wystąpieniem naprawdę odważnym, albowiem uderzało ono w zasadnicze twierdzenia teorii komórkowej. Wprowadzało zaś pojęcie rozwoju komórki, powstającej z czegoś, co komórką nie jest — mianowicie z kuli żółtkowej. A przecież pamiętamy, że jedno z twierdzeń klasycznych brzmiało: „komórka może powstać tylko z komórki macierzystej". Sam więc termin „rozwój komórki" był czymś dotychczas niespotykanym. Po drugie — udowodniła, że kula żółtkowa — uznawana dotychczas za materię martwą — ma cechy życia, bo przecież rozwija się, przekształca, by stworzyć w końcu normalną komórkę. Przypisanie więc przymiotów życia materii niezorganizowanej w komórkę było drugą „herezją" Lepieszyńskiej.

Jak dalece rewolucyjne były te poglądy i jak duży był ciągle wpływ twierdzeń Wirchowa — niech świadczy fakt, że pierwsze prace Lepieszyńskiej na temat życia pozakomórkowego, które pojawiły się w 30-tych latach naszego stulecia — spotkały się początkowo nawet w Związku Radzieckim, którego uczonych trudno posądzić o konserwatyzm czy reakcyjność — z ostrą krytyką i zarzutami „nienaukowości". Po ostrych polemikach naukowych i szeregu dalszych prac — Lepieszyńska obroniła swoje twierdzenia, nagrodzona została Premią Stalinowską, a w zeszłym roku, w czasie dyskusji na połączonych sesjach Akademii Nauk i Akademii Medycznej ZSRR — uznano prawdziwość twierdzeń Lepieszyńskiej i zlecono dalsze badania w tym kierunku.

Zapoznajmy się jeszcze z innymi doświadczeniami Lepieszyńskiej, dowodzącymi istnienia życia w materii niezorganizowanej w komórkę. Najefektowniejszym doświadczeniem jest praca przeprowadzona na stułbiach wodnych, drobnych żyjątkach, zamieszkujących wody stojące. Stułbie należą do jamochłonów — budowa ich jest niezwykle prosta. Wyglądają one jak wydłużony woreczek, długości 2—3 mm, przytwierdzony swym dnem do jakiegoś kamyczka lub roślinki. Dookoła otworu woreczka znajduje się kilka nitkowatych wypustek zaopatrzonych w parzydełka. Drobne skorupiaki pływające w wodzie, najczęściej tzw. oczliki, stanowią łup i pokarm stułbii, która poraża je parzydełkami i wprowadza do środka woreczka, gdzie ulegają strawieniu.

Lepieszyńska zmiażdżyła kilkanaście stułbii w moździerzu, zawierającym niedużą ilość wody — niszcząc w ten sposób zupełnie strukturę komórkową stułbii. Następnie miazgę tę kilkakrotnie odwirowywała na wirówce, by usunąć resztki niezmiażdżonych ciał stułbii, a płyn, który zebrał się na powierzchni wirowanej próbówki, kontrolowała pod mikroskopem. W płynie nie było żadnych elementów komórkowych. Następnie Lepieszyńska przechowywała go przez kilka dni i co dzień obserwowała. Otóż w płynie tym, w którym znajdowała się bezstrukturalna protoplazma zmiażdżonych stułbii, pojawiały się po pewnym czasie dwa rodzaje pęcherzyków. Jedne z nich o zabarwieniu żółtopomarańczowym były zwykłymi kulkami tłuszczu, drugie zaś — jasne, opalizujące, zbudowane były z białka. Pęcherzyki białkowe utrzymywały się w płynie jakiś czas, a potem rozpadały się i niknęły. Lepieszyńska postanowiła dostarczyć tym białkowym pęcherzykom pożywienia. Pokarmem był wyciąg z oczlików, stanowiących naturalny pokarm stułbii. Wyciąg ten, przepuszczony przez filtr porcelanowy, nie zawierał oczywiście również żadnych elementów komórkowych. Po dolaniu takiego wyciągu odżywczego do środowiska, w

którym znajdowały się opisane powyżej kule białkowe, zauważono, że kule te zaczęły się rozwijać. Pojawiały się w nich struktury typowe dla komórek, a więc i jądro komórkowe. Co więcej — nowopowstała komórka miała zdolność podziału. Podziały tych komórek prowadziły do powstania zarodka stułbii, składającego się z 30—36 komórek.

Zdolność organizowania się materii, uważanej dotychczas za materię martwą, obserwowała Lepieszyńska również na białku jaj ptaków (kur, gołębi). Mianowicie w białku jaj, a więc w substancji zupełnie jednorodnej, nie wykazującej żadnych struktur mikroskopowych, pojawiły się w pewnych warunkach gwiaździste twory, których „promienie" miały charakter kryształów, przypominających kształtem kryształy otrzymane z materiału bakteriologicznego przez prof. Boszjana. Te gwiaździste twory, zwane przez Lepieszyńską strukturami przedkomórkowymi — pojawiały się w jajach zapłodnionych i niezapłodnionych, w jajach drażnionych energią promienistą, względnie czynnikami chemicznymi, jak też i w jajach hodowanych w zupełnym spokoju.

Jakież wnioski ogólne z przytoczonych tu doświadczeń wysnuła Lepieszyńska. Przede wszystkim stwierdziła ona, że istnieje materia żywa zbudowana z masy protoplazmatycznej, nie posiadająca struktury komórkowej, a zawierająca substancje jądrowe w stanie rozproszenia. Ta materia żywa ma zdolność rozwijania się (w odpowiednich warunkach), organizowania i tworzenia normalnych komórek.

To podstawowe twierdzenie, sprowadzające procesy życiowe do materii o wiele niżej zorganizowanej niż komórka, pociąga za sobą poważne teoretyczne konsekwencje.

Przede wszystkim doświadczenia Lepieszyńskiej stanowią bezpośredni dowód popierający naukę o dziedziczności Miczurina i Łysenki. Dla tych czytelników, którzy znają jej podstawowe założenia, zrozumiałe się stanie, że tego typu doświadczenie, jakie przeprowadziła Lepieszyńska na stułbiach, obala bezpośrednio twierdzenia genetyków amerykańskiej szkoły Morgana o niezbędności zorganizowanego jądra komórkowego jako jedynego przenośnika cech dziedzicznych, tzn. genów. W doświadczeniu Lepieszyńskiej — jądra komórkowe uległy zupełnemu zniszczeniu, substancja jądrowa została rozprowadzona w sposób jednorodny w miazdze ze stułbii, a jednak powstały z tej miazgi normalne komórki, które na drodze licznych podziałów stworzyły zarodek stułbii. Doświadczenia Lepieszyńskiej i Boszjana potwierdzają tezę Miczurina i Łysenki o zasadniczej roli środowiska i warunków zewnętrznych, które wpływać mogą na materię żywą, w sensie przestawiania jej organizacji i pchnięcia, pobudzenia jej rozwoju w wyższą formę — w komórkę.

Lepieszyńska wprowadziła nieznane dotąd pojęcie w biologii, mianowicie pojęcie „rozwoju komórki". Usiłował je wprawdzie wprowadzić w XIX w. niemiecki uczony, znany propagator darwinizmu, Haeckel. Haeckel nie miał jednak żadnych dowodów doświadczalnych na istnienie tego rodzaju rozwoju, a pojęcie to wprowadził dlatego, że, jak słusznie rozumował, komórka jako twór wysoko zorganizowany nie mogła być pierwszą, najprostszą formą życia na ziemi. Badania Lepieszyńskiej dowiodły istnienia życia w materii o wiele niżej zorganizowanej niż komórka, a stwierdzenie to uzupełniło w znakomity sposób ogólną teorię ewolucji — teorię traktującą o powstaniu życia na

ziemi i rozwoju poszczególnych jego form.

Logiczną konsekwencją twierdzeń Wirchowa, zakładających, że poza komórką życia nie ma — było stworzenie koncepcji powstawania życia na ziemi, która zakładała, że w pewnej epoce geologicznej, wskutek szczególnych warunków fizyko-chemicznych, materia martwa zorganizowała się w ten sposób, że powstała pierwsza komórka. Twierdzenie to jest oczywiście sprzeczne z ogólnymi prawami rozwoju materii, ponieważ zakłada powstanie nowej jakości w sposób przypadkowy, a nie na drodze stopniowego rozwoju mniej skomplikowanego w bardziej skomplikowane, niższego w wyższe.

Twierdzenie to dawało okazję fideistom do głoszenia, że za tą przypadkowością kryje się siła wyższa, wola boska. Poznanie żywej materii, która przekształca się w komórkę, pozwoliło na postawienie nowej, prawdopodobniejszej hipotezy o powstaniu życia na ziemi — o rozwoju materii prowadzącym do powstania komórki. Lepieszyńska wprowadza mianowicie do cytologii — czyli nauki o komórce — prawo biogenetyczne, ustalone dla rozwoju zwierząt przez Haeckla. Prawo to twierdzi, że rozwój osobniczy zwierzęcia, czyli jego rozwój od zapłodnionego jaja poprzez stadia rozwoju zarodkowego — jest krótkim powtórzeniem rozwoju rodowego zwierzęcia. Na przykładzie wygląda to następująco: W trakcie rozwoju ewolucyjnego zwierząt — najmłodsze, najmniej skomplikowane formy żyły na ziemi, zanim pojawiły się na przykład opisywane jamochłony, których przedstawicielem jest stułbia, istniały na ziemi, zanim pojawiły się na przykład ryby czy płazy. Ssaki, do których należy i człowiek, pojawiły się najpóźniej, gdy już istniały ryby, płazy, gady i ptaki. Otóż obserwując rozwój zarodkowy na przykład żaby, należącej do płazów, spotyka się stadium bardzo podobne w swej organizacji do jamochłonów. W rozwoju zaś człowieka — spotyka się stadium, w którym istnieje struktura występująca w skrzelach ryb. Z rozwoju więc zarodka danego gatunku zwierząt można sobie w grubszych zarysach odtworzyć jego historię ewolucji, jego pokrewieństwo z niższymi formami rozwojowymi. Prawo biogenetyczne stosowano dotychczas jedynie do organizmów wielokomórkowych. Lepieszyńska wprowadziła to prawo do cytologii. Twierdzi ona mianowicie, że takie na przykład fazy, jakie przechodzi „martwa" kula żółtkowa w czasie swego przekształcania się w komórkę, są obrazem, krótkim przypomnieniem rozwoju komórki w odległych epokach, gdy komórka powstawała przez organizowanie się materii niezorganizowanej. Wprowadzenie prawa biogenetycznego do cytologii jest istotnym wkładem w ogólną t e o r i ę e w o l u c j i.

Rozszerzenie teorii ewolucji w tym właśnie sensie przewidywał Engels pisząc: „Wreszcie przeprowadzony po raz pierwszy systematycznie przez Darwina dowód, że otaczające nas dziś twory przyrody organicznej, aż do ludzi włącznie, są rezultatem długiego procesu rozwojowego, któremu podlegało niewiele pierwotnie jednokomórkowych zarodków, te zaś wyłoniły się z powstałej na drodze chemicznej protoplazmy albo białka." *)

Teoretyczne badania Lepieszyńskiej nad materią żywą od razu znalazły zastosowanie praktyczne, co jest cechą charakterystyczną dla całej nauki radzieckiej.

*) Dzieła Wybrane — Marks — Engels t. II. „Ludwik Feuerbach", Książka i Wiedza, str. 371, 1949.

Lepieszyńska badała mianowicie proces gojenia się ran na materiale zwierzęcym — na myszach. Stwierdziła ona, że krew, która w postaci skrzepu pokrywa ranę, ulega po pewnym czasie rozpadowi. Tę rozpadłą krew pożerają pewne komórki — znajdujące się zawsze w otoczeniu rany. Komórki te po pożarciu rozpadającej się krwi — same z kolei ulegają rozpadowi na ziarnistą masę, która ma według Lepieszyńskiej cechy materii żywej, a więc między innymi — zdolność organizowania się w nowe komórki. Zaobserwowała ona proces nowopowstawania komórek w ranie z ziarnistej materii żywej. Nowopowstałe komórki przyczyniają się do szybszego wypełniania ubytku w tkankach i szybszego powstawania blizny. Stąd już krok tylko — do praktycznego zalecenia — stosowania okładów z krwi na powierzchnię rany. Zalecenie to zostało wypróbowane przez klinicystów radzieckich i w fachowych czasopismach pojawiły się już dane o skróceniu czasu gojenia się ran przy pomocy okładów z krwi.

Druga dziedzina medycyny praktycznej, która zainteresowała się odkryciami Lepieszyńskiej, to onkologia, czyli nauka o nowotworach. Wiadomo bowiem powszechnie, że nowotworzenie komórek leży u podstawy schorzenia nowotworowego. Być może, że wprowadzenie kierunku badań Lepieszyńskiej do onkologii pchnie naprzód naszą wiedzę o powstawaniu nowotworów, a może i przyczyni się do wprowadzenia skutecznej terapii.

Nie przesądzając wniosków praktycznych zastosowania teorii Lepieszyńskiej — należy podkreślić raz jeszcze ogromne jej zasługi w dziedzinie teoretycznej, a zwłaszcza w dziedzinie podstawowych badań biologii nad istotą i powstawaniem życia na ziemi.

Sformułowanie Engelsa, który określa życie jako „formę istnienia białka" — wzięte na warsztat uczonych przemienia się z hipotezy wtórnej na uzasadnioną doświadczalnie teorię naukową.

Olbrzymi rozwój nauki o komórce i niższych formach życia — pozwala na uzasadnione mniemanie, że tajemniczość zjawisk życiowych zostanie wyjaśniona całkowicie mimo piętrzących się trudności natury teoretycznej jak i metodologicznej. Rozwój fizyki i chemii z jednej strony, z drugiej zaś rozwój nauk biologicznych pozwala na coraz pełniejsze zrozumienie przejawów życia i co ważniejsze, na świadome wpływanie na te przejawy w sensie przekształcania przyrody i wykorzystywania zdobyczy wiedzy dla dobra człowieka.

Kazimierz Ostrowski

W ŚRÓD KSIĄŻEK

JULIAN TUWIM: Wybór poezji. Warszawa, Czytelnik 1950; str. 283.

Powstały w roku 1916 brutalny — jak na owe czasy — dytyramb Tuwima „Wiosna" wywołał wówczas namiętny protest broniących zagrożonego Piękna poetów. Młodopolska ich estetyka dopuszczała wprawdzie „chuć", ale już „kawalerskich chorób" strawić nie mogła; przyjmowała „łoże" czy tam „wonną kopicę siana", ale nie godziła się żadną miarą na opiewaną przez Tuwima „ławkę i trawkę". Któż to wchodził jednak wraz z owymi miejsko-podmiejskimi realiami do poezji? Po raz pierwszy tematem poezji lirycznej stawał się już nie schodzący w lud inteligent, lecz „Zośki z szwalni i pralni", „Ignacze", „Kamile". Po raz pierwszy to wdzierał się do niej plebs rzemieślniczo-drobnomieszczański, wdzierał się—jak to zwykle bywa — niezbyt przyzwoicie, demolując po drodze to i owo i demonstrując przy okazji pewne ukrywane zazwyczaj części ciała. Odtąd, przez dalszych lat 20, będzie on — w postaci kaprala żandarmerii, fryzjera, aptekarza czy rzeźnika — nawiedzać nienawistnie w nim zakochaną, trwającą pod jego bazyliszkowym urokiem poezję Tuwima.

Znacznie wyżej od tamtego stojący drobnomieszczanin-czytelnik odnajdywał również we wczesnym Tuwimie siebie: swoją erotykę, wynikłą z połączenia młodopolskiej metafizyki z powojennym sensualizmem, swoją niechęć do czczych mędrkowań, swój umiarkowany modernizm, swą nienawiść do rodzimego wstecznictwa, swą wiarę w postęp techniczny i zarazem lekką obawę przed nim, swój programowy wreszcie optymizm.

Miała bowiem Polska przedmajowa taki przelotny moment, kiedy powojenne odprężenie, świeżo odzyskana niepodległość konstytuująca się naprędce państwowość złożyły się na spóźnioną mieszczańską wiosnę. Reżym jeszcze nie okrzepł, wszelkie pojęcie było szare wobec „zieleniejącego drzewa życia", na dobitkę Bergson z Sorbony dawał lekcje Sokratycznego tańca, no, a tu fortuny i kariery strzelały jak grzyby po deszczu, wszystko było możliwe, Piłsudski wydawał się drobnomieszczaństwu postępowy, a przyszła sanacja — różowa.

W dziedzinie poezji tej optymistycznej dynamice pierwszych lat powojennych odpowiadało wzmocnienie tempa, zdynamizowanie wiersza lirycznego. Tematem poezji młodopolskiej bywały przeważnie stany, osobiste lub zewnętrzne; metodą — opis; tam nawet, gdzie zawierała elementy nowelistyczne, zamiast przedstawiać, opisywała z epickiego dystansu; brak było w wierszu nawiązania, kulminacji, katastrofy, pointy; na dobrą sprawę zwrotki można było poprzestawiać. Lecz u Tuwima czas literacki zaczął biec równolegle z rzeczywistym; do liryki wkraczało nieodwracalne, dramatycznie zorganizowane, realne zdarzenie.

Porównanie jednak już samych chociażby tytułów wczesnych i późniejszych jego zbiorów świadczy o dokonanej w nim po roku 1926 poetyckiej przemianie: „Czyhanie na Boga", „Siódma jesień", „Sokrates tańczący" oznaczają tematykę lub postawę poetycką, gdy „Słowa we krwi", „Rzecz czarnoleska", „Biblia cygańska", „Treść gorejąca" są niczym innym jak pseudonimami poję-

cia „poezja". Słupami granicznymi byłyby tu „Słowa we krwi", ostatni zbiór poprzedniego i „Rzecz czarnoleska", pierwszy zbiór nowego okresu: data przełomu przypadła zatem na lata pomajowe.

W okresie załamania powojennego optymizmu, pierwszych represji sanacyjnych, faszyzacji i kryzysu Tuwim— wraz z tą częścią drobnomieszczaństwa, którą zawiodły pokładane w Piłsudskim nadzieje — stopniowo się radykalizuje. Nie bez znaczenia były tu zapewne napaści prasy faszystowskiej, jakim coraz częściej ulegał. Jak świadczą jego ówczesne wypowiedzi polityczne, protest przeciw Brześciowi, wiersze „Do jenerałów" i „Do prostego człowieka", odczuwa on konieczność szukania sojuszników na lewicy. Lecz ten jednolity front wynika na razie raczej ze wspólnoty wroga niż z pokrewieństwa ideowego. Toteż w ówczesnej twórczości Tuwima można zauważyć charakterystyczny podział na dość radykalną satyrę aktualną i na lirykę, coraz bardziej metafizyczną i oderwaną. Lecz źródło obu jest wspólne: satyryk neguje to, przed czym liryk odwraca oczy. Oczywiście kierunki ucieczki bywają rozmaite: przyroda, stare druki, wiek XIX, prasłowiańszczyzna, dzieciństwo, łono matki, wnętrze materii; nie ma chyba takiego, którego by Tuwim w swej liryce nie wypróbował. Co jednak łączy te wszystkie tematy, to ich retrospektywny, zwrócony ku przeszłości charakter. Dotychczasową aktywną postawę „pierwszego w Polsce futurysty" zmienia wówczas Tuwin na kontemplacyjno-opisową, dominującą zresztą w całej współczesnej poezji burżuazyjnej. Czołowi poeci mieszczańscy zamykają się wówczas coraz bardziej w hermetycznej „wieży z kości słoniowej". Odmowa zaangażowania się, niechęć do rzeczywistości sięgają u nich tak daleko, że usiłują nawet—co prawda bezskutecznie — zatrzeć wszelki jej ślad w swojej twórczości. Jeżeli rzeczywistość przeziera niekiedy w ich utworach, to w formie luźnych strzępów, materiałów ornamentacyjnych; zasadniczym jednak ich tematem pozostaje opisywanie samego aktu pisania, samego „przeżycia twórczego". By uniknąć kontaktu z rzeczywistością, traktują najczęściej w swych wierszach o powstawaniu tychże wierszy. (Por. Tuwima „Jak powstał ten wiersz"); uprawiają świadomą wieloznaczność („Zbrodnia"); czerpią natchnienie ze skojarzeń, wywołanych brzmieniem słów („Zieleń"); czy wreszcie — jako zło najmniejsze i temat najmniej „drażniący" — opiewają przyrodę.

Krzywdę wyrządzilibyśmy jednak Tuwimowi, gdybyśmy jego twórczość z lat pomajowych — mimo dużych podobieństw — utożsamili z poezją sytego, zastygłego w pseudoklasycznych konwencjach mieszczaństwa. Anektując jego tematykę, Tuwim wnosi jednak do niej wigor, biologiczny rozmach plebejusza. W specyficznej zresztą sytuacji polskiej, gdzie poprzednikami Tuwima byli nie wielkomieszczańscy pseudoklasycy, lecz młodopolacy ze swoją sielankowością, z „kilimkami, malowankami i freblowskimi wzorkami", z omdlewającą liryką i z całym bagażem ziemiańsko-mieszczańskich poetyczności, plebejski ów witalizm działał nawet ożywczo: nawrót Tuwima do tradycyjnej tematyki jeszcze bardziej podkreśla nowoczesność jego metod. W ówczesnej jego liryce wyraża się zatem ideologia tzw. „postępowego" drobnomieszczaństwa, głoszona równocześnie prozą przez Słonimskiego: zachować stary ustrój z rozszerzeniem swobód demokratycznych.

Ostrze polemiki poetyckiej Tuwima jest skierowane w tym okresie głównie

przeciw reprezentantom zaśniedziałych, ziemiańsko - mieszczańskich tradycji, podejmując ich ograno - sielankowe motywy przeciwstawia im jednak własną, witalistyczną metodę ich opracowania.

Miłośnicy dumek,
Szumek i sielanek,
Męką się podźwignął
Ten majowy ranek.
(„Dzionek wiosenny")

Kiedyż mnie cwałem, rumaku
skoczny,
Do Czarnolasu poniesiesz?

i

A tam nie miody, nie srebrne wody
Ż prastarej lipy bryzną.
Tam niebo w łunach, bory
w piorunach,
Pożar nad wieczną ojczyzną.
(„Koń")

i wreszcie

I wystrzelisz trzaskiem ognia
ze strzech,
Wiejski dniu, smagły maju cygański.
(„Wieś")

Jest to niejako wezwanie do współzawodnictwa, rzucone dawnej poezji na jej własnym terenie, podobnie jak na dworze Ludwika XIV, chcąc zestawić talenty Corneille'a i Racine'a, podsunięto im do opracowania ten sam temat.

Ówczesny zatem rozwój Tuwima — na skutek specyficznej sytuacji polskiej — jest szczególnie złożony: od mieszczańskiego optymizmu pierwszych lat przechodzi on na pozycje krytyczne. Lecz ów młodzieńczy optymizm był złudny: nie odpowiadał rzeczywistemu rozkwitowi drobnomieszczaństwa, lecz chwilowej, powojennej koniunkturze, odzyskaniu niepodległości. Toteż drugi okres jego twórczości — mimo cech mieszczańskiego rozkładu — oznacza przejście do bardziej trafnej, bo krytycznej oceny sytuacji; w sumie — pogłębienie poezji Tuwima.

Ciekawe wyniki daje tu zestawienie Tuwima z Leśmianem, drugim poetą, który — podobnie jak on — „o myślach starych pisał wiersze nowe" czyli wprowadzał do tradycjonalnej tematyki element dramatyczny. Tuwimowi jednak, gdy na sielankę młodopolską patrzy oczyma nerwowego inteligenta miejskiego, chodzi głównie o skompromitowanie sielanki; Leśmianowi natomiast, gdy stosuje nowe metody do opracowania starych treści, chodzi głównie o skompromitowanie nowych metod: akcja jego ballad jest pozorna, dynamika — tautologiczna, dramaty rozwiewają się w nicość. Używa on tych środków po to, aby je doprowadzić do absurdu. Poza tą techniką poetycką kryje się postawa, negująca jakąkolwiek możliwość naprawy świata. Wszelkie próby są tu z góry skazane na niepowodzenie. Można, a nawet należy je czynić, ale tylko po to, aby tym dobitniej wykazać ich bezowocność. Im więcej jest nieudanych czynów i wydarzeń, tym jaśniej wynika z nich zasadnicza nędza naszego bytowania. „Jak zbudować w niebycie byt ekonomiczny?" — pyta gdzieś Leśmian z ironią nihilisty; ideologia anarchiczna, która, przyjmując chrześcijańską ocenę świata, odrzuca jej teologiczne pocieszenia. Gdy Tuwim z zapałem reformatora, z drżeniem odkrywcy uściśla słowo, wyostrza je w lancet, wierząc w wyrażalność świata, w możliwość uratowania jego treści, Leśmian buduje akcje, układa słowa z wyrafinowanym niedbalstwem, z sobiepańską, straceńczą swobodą: wydarzenia i tak nic nie zmienią, słowa i tak nic nie wyrażą. Tuwim wraca do starzyzny, Leśmian nigdy od

niej nie odszedł. Leśmian dezorganizuje tradycjonalną tematykę, rozbijając ją na złudne dramaty, na fantastycznych aktorów; Tuwim ją reorganizuje, narzucając jej ład. „Gdy wiem, że wiersz powstanie, w klamrę nawiasu zamykam świat..." Obydwaj lubują się w prasłowianizmach, owym wcieleniu tradycjonalnej poetyczności: ale pierwszy wzbogaca korzenie o archaizujące przed - i przyrostki, chcąc wywołać wrażenie nieustalenia mowy, zaszczepić współczesnemu językowi anachroniczne *metody* słowotwórcze, wskrzesić ów chaos, jaki, być może, panował tysiące lat temu; drugi obnaża czysty korzeń, wyłuskuje etymologiczne ziarno, aby zgalwanizować i odświeżyć pewne zamierzchłe *treści*. Obie tendencje głęboko wsteczne: pierwsza, gdyby zwyciężyła, doprowadziłaby do anarchii, druga — do wyschnięcia i zubożenia języka, do założenia, że pewne treści, pewne wyrazy mają absolutną wartość poetycką. W konsekwencjach filozoficznych Leśmian dochodzi do idealizmu subiektywnego: rzeczywistość jest tak potworna, że należy ją traktować jako majaki ducha, który je odrzuca po kolei, by tworzyć sobie wciąż nowe; Tuwim — do idealizmu obiektywnego, do uznania nadhistorycznej wartości mieszczańskich treści poetyckich.

Rzecz jasna, że ówczesny Tuwim wykazuje tendencje do uogólnienia tej swojej postawy i do rozbudowania jej nieomalże w system. Ponieważ sam jako liryk oderwał się od rzeczywistości bieżącej, więc skłonny jest twierdzić, że wszelkie prawdziwe poznanie polega nie na notowaniu wydarzeń, lecz na ujmowaniu esencji przedmiotów. Ponieważ sam jako liryk usiłuje odbanalizować i zdynamizować zastygłą tematykę burżuazyjną, więc skłonny jest twierdzić, że wszelkie prawdziwe poznanie polega na dojrzeniu w rzeczach zastygłych ukrytej dynamiki i na odtworzeniu procesu ich powstania („Owoc"). Pierwsza tendencja — do intuitywnego ujmowania esencji przedmiotów — jest fenomenologiczna, druga — do widzenia ich w procesie dynamicznym — bergsonowska. Z połączenia obydwu wynika idealistyczna koncepcja „wiecznie stających się esencji", „gorejących treści zdarzeń". Ponieważ wreszcie Tuwim jako liryk cofa się najchętniej w przeszłość, więc skłonny jest twierdzić, że wszelkie prawdziwe poznanie polega na cofnięciu się wstecz, na odkrywaniu pra-początku przedmiotów („Zieleń"). W ten sposób dochodzi do granic mistyki, których zresztą nigdy nie przekracza, poprzestając na ustawicznym, bezowocnym docieraniu do „zagadki bytu".

Ówczesna jednak liryka Tuwima daje — jak wspomnieliśmy powyżej — jedynie negatywny wizerunek epoki i sytuacji poety: mówi o niej przez przemilczenie. Realistyczny jej obraz odnajdziemy częściowo w ówczesnych jego satyrach, głównie zaś — dopiero w „Kwiatach polskich". Był to — jak już wspomnieliśmy — okres namiętnych polemik Tuwima ze skrajną prawicą: powstają wówczas najzjadliwsze z jego pamfletów osobistych; powstają ogólne satyry na drobnomieszczaństwo: „Trzy wiersze o fryzjerze", „Muza", „Luksus", „Mieszkańcy" i — najznakomitszy! — „Ruch". Niezwykle niegdyś popularne, wiersze te z dzisiejszej perspektywy wydają się już dwuznaczne i obosieczne: ostatecznie wszyscy wstajemy rano, „wychodzimy w sprawach", bredzimy, „że Ford... że kino... że Bóg... że Rosja... radio, sport, wojna", wszyscy „sprawdzamy kwitki" itp. Przedwojenne satyry Tuwima — dostrzegamy to dzisiaj — są tak ustawione, że — godząc w kołtunów — trafiają po drodze w nas wszystkich, m. i. i w samego autora. Ostrze ich nie jest zatem skiero-

wane wyłącznie na zewnątrz; są po trosze prześmiewką z drobnomieszczanina w sobie samym, próbą wyzwolenia się z niego, słowem, satyrą wewnątrzklasową. Nie kpina zresztą stanowi o ich tonie; dominuje w nich co innego: przerażenie; mieszczanin w nich jest „straszny", „widmowy", „fantomatyczny"; cechy, które w ówczesnej sytuacji można by określić pokrótce terminem: faszyzacja. Nikt jak Tuwim nie nienawidził rodzinnego kołtuna z jego taniuchnymi ideałami awansu społecznego (być kochanką króla tenorów, węgierskim huzarem, hrabią Zyziem), z jego knajpowo-jarmarcznym horyzontem, z jego konserwatywnym nacjonalizmem. Ale nienawiść ta podszyta jest u Tuwima liryzmem; trudno niekiedy odróżnić: satyra to czy spowiedź? („Patriota"). Wszak owo marzenie o huzarze, przypisane niegdyś fryzjerowi wraca w „Kwiatach polskich" jako wyznanie osobiste:

Wątłe piersi naprężam,
Pierś cherlawą natężam.
Będziesz miała atletę
I huzara za męża.

Podobnie w „Piosence umarłego" nawet dusza poety zostaje ujęta w kategorie jarmarcznych wyobrażeń: jest laleczką, szklanookim i lnianowłosym aniołkiem, który ma swój przydział nieśmiertelności na wystawie trumniarza pod okiem małomiasteczkowej gawiedzi.

Staną gapie za szybami,
A ty ruszaj skrzydełkami,
A ty stukaj sztywną nóżką,
Zatracona moja duszko.

Tkliwość, a zarazem zgroza wobec tandety drobnomieszczańskiej, ciąży nie tylko nad światem, ale i nad zaświatem Tuwima.

50 lat temu była jeszcze możliwa zewnętrzna, Murgerowska kpina z „filistra" w imię „czystej sztuki"; w epoce imperializmu straciła ona swoje uzasadnienie, zagarniając w swoje wnętrze autora, jeśli ten nie przeszedł na odmienne klasowo pozycje. Prawda, że pod koniec okresu międzywojennego Tuwimowska satyra antymieszczańska zyskuje, jeśli nie na konstruktywności, to na głębi. Zamieszczony w „Treści gorejącej" „Ruch" to już coś więcej niż atak na kołtunerię; to ukazana w grotesce mechanika psychiczna człowieka z epoki imperializmu.

Chodzą, idą. W sprawach idą.
Przyjdą, załatwią i znowu wyjdą.
Wstali, iżby. Chodzą, ażeby.
Oto cele. Oto potrzeby.

Przez umyślne opuszczenie czasowników określających treść czynności autor stawia pod ironicznym znakiem zapytania sam sens tego przerostu celowości. „Praktyczny człowiek — mawiają Amerykanie — zarabia pieniądze, żeby rozszerzyć interes, żeby zarobić więcej pieniędzy, żeby potem..."

Rygorystyczna celowość szczegółu maskuje tu bezsens całości. „Ruch", którego podrygujący, posiekany kropkami rytm zdaje się naśladować pajacowate, mechaniczne przeskoki od celu do celu, jest satyrą na zorganizowany bezsens epoki imperialistycznej.

Przez tak dawniej jednolitą twórczość Tuwima przebiega więc w tym okresie rysa, podział na lirykę i satyrę, tak odmienne, że chwilami trudno je przypisać wspólnemu autorowi. Jego ówczesny filozoficzny dualizm jest tylko odbiciem owego pęknięcia w postawie praktycznej. Toteż — mimo niewątpliwego rozwoju artystycznego — oddech poezji

Tuwimowskiej — w porównaniu z okresem poprzednim — staje się krótszy. „Gdzież mnie do poematów? Ledwo wiersz wykrztuszę..." („Odpowiedź"). Brak jednolitego stosunku do rzeczywistości, pęknięcie ideologiczne nie pozwala Tuwimowi na ujrzenie świata jako całości.

Połączenie obu tendencji nastąpi dopiero w okresie „Kwiatów polskich". Po raz pierwszy od wielu lat technika poetycka Tuwima, wykraczając poza mistrzostwo drobnej formy, okazuje się zdolna do udźwignięcia poematu. Tuwim odzyskuje tu — dość rzadko w poprzednim okresie wykorzystywaną — umiejętność mówienia z pasją rzeczy prostych; odzyskuje, co ważniejsza, życzliwość dla świata; zdobywa się wreszcie na syntezę rzadko dotychczas u niego w parze idących elementów: liryki i pewnego rodzaju realizmu; osiągnięcie, które zawdzięcza większej niż dotąd jednolitości światopoglądu, zdobytego w latach wojennych. Ów wstrząs ideologiczny, którego spodziewał się, którego żądał niegdyś od Tuwima Majakowski, nastąpił: poeta zerwał ostatecznie z warstwą, z którą więzy rozluźniały się od lat; był pierwszym pisarzem, który zza Oceanu powitał nową Polskę. Krytycy — m. i. i niżej podpisany — którzy tuż po ukazaniu się „Kwiatów polskich" pisali o nich, zwrócili wówczas głównie uwagę na pewne usterki ideologiczne: na niesłuszny stosunek do Niemców, na fałszywe ujęcie postaci Piłsudskiego oraz na pewne rozwlekłości stylistyczne; nie uwzględnili jednak w dostatecznej mierze faktu, że poemat ten był pisany na emigracji i 8 lat temu; że mając na uwadze retrospektywny jego charakter należy go traktować nie tylko jako wypowiedź dojrzałego poety, ale również jako zachowaną w pierwotnym kształcie spowiedź młodzieńca, jakim był niegdyś; że w poemacie tym dał Tuwim — jak mało który z pisarzy 20-lecia — dowód zadziwiającej zdolności do regeneracji ideowej i artystycznej; że ów poeta drobnomieszczaństwa reprezentował zawsze tę jego warstwę, która — gdziekolwiek pojawiał się czerwony sztandar — gotowa była iść za nim; że wreszcie w stosunku do epoki, na którą przypadła lwia część jego działalności, Tuwim był pisarzem postępowym; i że w stosunku do obecnej — nadążając za nią w swoim późniejszym rozwoju — pozostał nim nadal.

Artur Sandauer

STANISŁAW WYGODZKI: *Widzenie*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950; str. 275.

Zagadnienie instynktu i świadomości klasowej wysunięte przez Wygodzkiego w tytułowym opowiadaniu tomu pt. „Widzenie" kojarzy się przez bohaterkę opowiadania z „Matką" Gorkiego. Nieuświadomiona robotnica, matka działacza KPP, zaskoczona przez policję i nieuprzedzona przez nikogo, potrafi zająć stanowisko klasowe i dać wyraz nie instynktu lecz świadomości klasowej, potrafi przekształcić się z biernego narzędzia w żołnierza rewolucji, zajmując w stosunku do wroga klasowego postawę walczącą.

Matka Pawła Własowa jest właściwie towarzyszem partyjnym, a osiąga ten stopień świadomości przechodząc przez piekło swego własnego sponiewieranego życia, przez piekło carskiej ochrany i wbrew wszystkiemu, a przede wszystkim wbrew tzw. instynktowi macierzyńskiemu wychodzi zwycięsko. Motyw wprowadzony przez Wygodzkiego nie jest przypadkiem. Zagadnienie tzw. instynktu macierzyńskiego kultywowane przez literaturę burżuazyjną na płaszczyźnie „zewu krwi", na płaszczyźnie żywiołowości niekontrolowanej, a często

sprzecznej z rozumem tzn. świadomością, ulega w literaturze krajów budujących socjalizm przewartościowaniu; ujmowane jest nie w aspekcie biologiczgicznym, lecz przeniesione jest na płaszczyznę właśnie świadomości. Motyw „ojców i dzieci" stojących na dwóch biegunach przetworzył się na gruncie rzeczywistości socjalistycznej w motyw współdziałania, współrozumienia i współtworzenia nowego oblicza świata. Probierzem staje się oblicze klasowe, którego funkcją jest zarówno życie osobiste jak i rola, jaką odgrywa człowiek w społeczeństwie. Ilustracją tego, nadaniem kształtu realnego pojęciu świadomości klasowej są opowiadania Wygodzkiego związane tematycznie z naszą rzeczywistością międzywojenną, okresem okupacji i rzeczywistością współczesną.

I kiedy Wygodzki mówi: („W kotlinie") „przypowieść, o której wspominam, była mi potrzebna jako klucz do odemknięcia dawno omijanych zakamarków duszy ludzkiej" — to ma oczywiście na myśli nie rozszczepianie włosa na czworo, nie zamknięcie oczu na mechanizm obiektywnie istniejącej rzeczywistości, lecz pokazanie tego właśnie mechanizmu przez praktykę, przez działalność, tzn. konkretne zachowanie się konkretnego człowieka w konkretnej sytuacji.

Ośrodkiem trzech przekrojów rzeczywistości: Polski międzywojennej, okresu okupacji i Polski Ludowej jest człowiek. Człowiek ten w okresie okupacji skazany jest na „obronę sprawy przegranej, przegranego po raz któryś życią", jego więc motywy działania, a raczej samo postępowanie, jest często niespodzianką dla samego działającego. I tutaj jednak stara się Wygodzki pokazać walkę świadomości z instynktem, świadomości wyrastającej z przeświadczenia, że temu człowiekowi osaczonemu przez faszyzm, człowiekowi, w którym zabija się stopniowo i systematycznie to, co uważał on za cechy nieodłączne, wyznaczniki człowieczeństwa, że temu człowiekowi, który jest celem pocisków, obiektem najcyniczniejszego znęcania się i naigrawania silnego, „uzbrojonego po zęby" faszysty nad spętanym, bezbronnym „pasiakiem" — jedynie walka zdolna jest przywrócić wiarę, że „człowiek to brzmi dumnie".

„Bezradne, przerażające w swej bezradności dłonie muszą zawrzeć się w pięść", aby z otwartych drzwi i okien opuszczonych domostw dzielnicy Kamiennej wysunęły się lufy karabinów, aby pochyłe poręcze uginały się pod naporem rąk, biorących na cel „ciemny twór złożony z człowieka i konia", „nieruchomego jeźdźca zwróconego twarzą ku o b c e m u domowi," który stał się domem o b c e g o, ściganego człowieka. Przeświadczenie o konieczności walki wyzwalającej, świadomość, że „człowiek napadnięty powinien się bronić" wbrew tak zwanemu sensowi powraca w opowiadaniach Wygodzkiego, wynika z obrazu zorganizowanego, ułożonego w system polowania na ludzi, z deprawacji moralnej, która jest założeniem faszyzmu, z cynicznej nienawiści do człowieka, która jest tego faszyzmu kategorycznym imperatywem; wynika z obrazu zwyrodniałej, przerażającej w swym cynizmie duszy 9-letniego chłopca, który „chodził wśród dymiących jeszcze zgliszcz i obszukiwał wypalone mieszkania, który nie przerywał swych poszukiwań nawet wówczas, gdy wynoszono z mieszkań zwęglone ciała", który „śmiał się szczerząc zęby, a uśmiech był w jego oczach, na ustach, policzkach." Ten śmiech dziecka — przerażające uzmysłowienie faszystowskiej maski, widomy znak zniwelowania, zaprzeczenia tego wszystkiego, co wyrasta

z idei humanizmu — odsłania korzenie zła, pokazuje cynizm w jego stawaniu się, w momencie jego narodzin: grabież jest jego źródłem, „grabież wśród dymiących zgliszcz, po trupach i pożarze".

I kiedy pokazuje Wygodzki matkę i dziecko z dzielnicy Kamiennej prowadzone na stracenie — to obraz ten jest już tylko koniecznym następstwem, tak jak koniecznym następstwem tylko staje się jednomyślne działanie niemieckiego faszysty i polskiego złoczyńcy („Sprzymierzeńcy"). I znowu postawa walcząca przywraca człowiekowi jego człowieczeństwo, postawa walcząca już nie jednostki lecz zespołu, grupy ludzi, której wytyczną jest nie bezpłodne bohaterstwo tylko — błyskawica rozświetlająca mroki, lecz zorganizowana akcja, planowa, świadoma, uwzględniająca wszystkie możliwości i każdą trudność. Od jednostkowej akcji oporu („W kotlinie") przechodzi Wygodzki do zbiorowego działania w opowiadaniu „Czy napiszę powieść". Tutaj znowu nawiązuje do zagadnienia świadomości klasowej tych, którzy stojąc na gruncie komunizmu, rozumiejąc mechanizm otaczającej ich rzeczywistości — walczą. Ich walka to już nie wytyczna tylko — to wyłom. Ich „Międzynarodówka" śpiewana przed egzekucją — to nie tylko przekazanie woli działania innym, to niezachwiana pewność o nieprzerwanym trwaniu walki i narastaniu woli oporu. Dlatego w opowiadaniu „Czy napiszę powieść", w którym Międzynarodówka stanowi akord ostateczny i zamknięcie opowiadania — ramą jest już współczesna rzeczywistość, wolna Polska Ludowa, dlatego motywem zamierzonej powieści stają się dzieje Wawrzyńca, dzieje komunistów i ich walk. To przed nimi staje „wizja nowej Polski tak wyraziście, jak gdyby ich od niej nie dzieliły żadne mury, obozy, komory gazowe, fronty i ich własna śmierć, to oni rozlepiali na murach Zagłębia ulotki, komunikaty Moskwy, wiadomości ZPP, odezwy PPR. To oni zrozumieli pierwsi rolę i znaczenie Stalingradu". Komuniści — to pozywni bohaterowie opowiadań Wygodzkiego. Nie jest przypadkiem, że cztery opowiadania w „Widzeniu", cztery opowiadania związane tematycznie ze współczesną rzeczywistością są obrazem zebrań partyjnych, na których głównym i podstawowym zagadnieniem jest właśnie członek Partii. Jego bowiem oblicze moralne — to zagadnienie wysunięte przez Wygodzkiego, jego postawa moralna — to sprawdzian jego wartości decydującej o prawie należenia do Partii.

Wyeliminowanie „obcych", wyeliminowanie tych, dla których Partia stała się odskocznią do zrobienia kariery, którzy znaleźli się tutaj, „aby żyć", postawienie tych zagadnień przed czytelnikiem ma swe źródło w rzeczywistości, nawiązuje do bezpośrednich skutków, konsekwencji prawicowego odchylenia, wyrzeczenia się krytyki, samokrytyki i rezygnacji z czujności. Zebrania partyjne pokazywane przez Wygodzkiego są obrazem walki z wrogiem klasowym, który przedostał się aż tutaj, są jednak zarazem sprawdzianem tysięcy oczu patrzących, widzących i przygważdżających tego wroga czasem w sytuacji najmniej spodziewanej, czasem w nawiązaniu do przypadkiem rzuconego słowa. Zebranie partyjne pokazane przez Wygodzkiego — to p r o c e s oczyszczania organizacji partyjnej przede wszystkim z elementu wrogiego, ale również z elementu przypadkowego, dla którego przynależność do Partii nie jest koniecznością, nie jest trzonem organizującym jego stosunek do życia, lecz drogą do łatwych osiągnięć i wielkich korzyści. Z drugiej strony zebranie partyjne w

opowiadaniach Wygodzkiego — to jakby próba chwytania in statu nascendi niewłaściwego rozumienia czy komentowania zasad obowiązujących członka Partii, upraszczania pojęcia dyscypliny, walka z bezdusznym stosunkiem do człowieka („Listopadowe zebranie"), pokazanie, że właśnie Partia zarówno w swej walce z wrogiem jak i obronie niesłusznie posądzonych jest właściwym realizatorem najgłębiej pojętych zasad humanizmu.

Ta Partia jednak, która stała się w tomie „Widzenie" właściwym bohaterem zawartych w nim opowiadań, występuje głównie i przede wszystkim na zebraniach partyjnych. W tym założeniu tkwi źródło przesunięcia akcentu ideologicznego, a więc i niedociągnięć artystycznych.

Partia — mobilizująca i organizująca masy — pokazana przede wszystkim od strony zebrań staje się abstrakcją, zaprzeczeniem swej istoty.

Partia, członkowie partii nie pokazani w działaniu, w codziennej praktyce, nie pokazani przy warsztacie swej pracy — nie mogą przemówić do czytelnika, nie mogą go przekonać nawet najpiękniejszym przemówieniem na zebraniu partyjnym. I jeżeli Wygodzki w pierwszym tomie swych opowiadań mówił o konkretnym człowieku w konkretnej sytuacji — to ta właśnie konkretyzacja jest warunkiem nieodłącznym i koniecznym przede wszystkim życia i rozwoju Partii. Jeżeli zebranie partyjne nie rozstrzyga węzłowych zagadnień konkretnego warsztatu pracy, jeżeli nie zarysowuje się jako niezastąpione ogniwo w łańcuchu dążeń ogólnopaństwowych, narodowych i międzynarodowych, jeżeli nie transponuje natychmiast rosnącej, rozwijającej się świadomości jednostek i mas na płaszczyznę praktycznej działalności członków Partii — to zebranie partyjne staje się abstrakcją, a akcent zasadniczy przesuwa się na płaszczyznę psychologicznych czy charakterologicznych ciekawostek. Wygodzki ograniczył się do pokazania procesu rosnącej świadomości klasy robotniczej, procesu zdobywania przez nią kryteriów właściwej oceny „swoich i obcych" — nie powiązał jednak tych stopni zdobywania świadomości z odpowiadającym im stopniem poznawania i przetwarzania rzeczywistości w ogóle.

Teren, na którym odbywa się zebranie, jest albo niewiadomy, albo zaznaczony jednym słowem, które nie podkreśla ani specyficzności tego terenu, ani nie wnosi żadnych momentów odkrywczych. Wiemy, że jedno zebranie odbywa się „w dużej fabryce metalurgicznej", że w drugiej stoją „beczki z bielą cynkową" — czytelnik jednak może bez trudu przenieść te zebrania na inny teren pracy i nic się w związku z tym nie zmieni. A przecież wroga „wykrywa się" nie na zebraniu dopiero, nie przypadkowo i nie tylko to decyduje o obliczu Partii i jej członków. Konkretny człowiek, w konkretnej sytuacji — to zobrazowanie teorii, która stała się praktyką.

Odizolowanie zebrań od ich „bazy materialnej" daje obraz Partii skrzywiony, obraz czegoś co najwyżej odgórnie koryguje, nie mobilizuje i organizuje. Nie znaczy to, że obrazy podane przez Wygodzkiego przestają być odbiciem rzeczywistości, owszem są nimi, nie oddają jednak całokształtu, a podkreślając fakty, które niewątpliwie mogą zaistnieć, mogą się zdarzyć, są jednak tylko ślizganiem się po powierzchni, są w pewnym sensie schematem, fotografią zebrania jako takiego. To schematyzowanie znajduje swój wyraz w konstruowaniu losów bohaterów.

„Odgórne" traktowanie zagadnień życia partyjnego musiało odbić się na obrazach ludzi, którzy pokazani są wyłącznie sub speciae określonego, odizolowanego problemu („Matka" sub speciae świadomości klasowej, „obcy" — sub speciae karykaturalnej obcości). Dlatego ludzie Wygodzkiego są od początku do końca „gotowi", dotyczy to zarówno bahaterów pozytywnych jak negatywnych, bohaterów z tej i z tamtej strony barykady. Matka, Wawrzyniec, Misiak? Szuster, Frenzen, Matuszczak? O jednych i drugich wiadomo z góry, jak zachowają się w określonej sytuacji, zarówno matka jak i Matuszczak, którego widzimy jako 9-letniego chłopca, a później jako 18-letniego „sprzymierzeńca". I aczkolwiek może to w jednym czy drugim wypadku nie przeczy rzeczywistości, aczkolwiek każdy obraz pokazanych przez Wygodzkiego postaci może mieć jako taki nawet pewne znamiona typowości — niepokojące staje się to przesądzenie sprawy rozwoju charakteru, jeśli niezależnie od czasokresu trwania akcji, niezależnie od tego czy trwa ona dzień czy lata — dotyczy wszystkich. A schematyzowanie postaci — to droga nieunikniona do groteski, czyli deformowania rzeczywistości. Opowiadanie pt. „Obcy" jest tego dowodem. To już groteska. Ciekawe i charakterystyczne jest w tym wypadku użycie formy m o n o l o g u umożliwiającego gromadzenie, piętrzenie prawie niemożliwości bez konfrontowania ich z kontrsiłą, a więc z pominięciem dynamiki walki. Obraz człowieka staje się płaski, jednowymiarowy, nawet wtedy, kiedy obejmuje lata, a nawet lat dziesiątki. Dotyczy to zarówno bohaterów pozytywnych (Wawrzyniec) jak i negatywnych (Szuster).

A kiedy dalej Wygodzki mówiąc o nowym człowieku Polski Ludowej szuka jego rodowodu, kiedy zastanawia się nad tym, „skąd się wziął? kiedy się narodził? skąd się wywodzi?" — zatrzymuje się na komunistach, byłych członkach KPP, jako awangardzie łączącej przeszłość z teraźniejszością, to aczkolwiek tutaj pozostaje w zgodzie z właściwie odczytanym mechanizmem dziejów jeśli chodzi o przeszłość, zacieśnia obraz, ograniczając się do tego aktywu, jeśli chodzi o teraźniejszość. Nowy człowiek Polski Ludowej — to obok byłego aktywu KKP, cała armia budowniczych naszej nowej rzeczywistości, cała armia ludzi rosnących i rozwijających się przy swoich warsztatach pracy, partyjnych i bezpartyjnych, realizujących i wcielających w życie marzenie o socjalistycznej ojczyźnie.

Odejście od warsztatu pracy, oderwanie Partii od praktyki stało się źródłem tego zacieśnienia obrazu. Charakterystyczne jest zresztą to, że wprowadzając postać Wawrzyńca-komunisty daje właściwie Wygodzki dzieje Partii, skrót tych dziejów w Polsce międzywojennej, że Wawrzyniec jest nosicielem tych dziejów, które nie zawsze zostały przetransponowane w obraz uogólniający i typizujący. Stąd operowanie pojęciami oderwanymi, skrótami, które dla wtajemniczonych, tzn. dla ludzi dawno z ruchem związanymi lub stojącymi blisko, są pewnymi sygnałami sugerującymi obraz nieistniejący — dla pozostałych jednak są właśnie pojęciami oderwanymi i pozostają rzeczywiście w sferze „suchej relacji", jak to sam Wygodzki nazywa.

Tę suchą relację autor podaje z punktu widzenia opowiadacza, naocznego świadka, nie tylko świadka, ale uczestnika i często głównego bohatera. Chociaż autor nieraz obdarza tego narratora darem w s z e c h w i e d z y, to jednak nie może go zwolnić od koniecznо-

ści odmalowania pełnego obrazu, nie może być narracją-szyfrem dla wtajemniczonych, lecz musi być narracją-obrazem jasnym dla wszystkich. Wydaje mi się, że tutaj tkwi drugie źródło możliwości, a często konieczności schematyzowania, tu tkwi źródło dosyć sztucznego podziału na głównego bohatera i szary, bezosobowy tłum. I rzecz charakterystyczna: dotyczy to znowu zarówno przeszłości jak i teraźniejszości. Jest Wawrzyniec, ewentualnie opowiadacz, którzy na przemian wysuwają się na czoło, którzy „rolę dublują" i są pozostali, kontury, zarysy ludzi, ale jeszcze nie ludzie. Wyrazem tego sumarycznego traktowania jest częste posługiwanie się *liczbą mnogą* bez skonkretyzowania „kto" — „ceni*li* komunistów, poważa*li* ich za hart i odwagę, nie przywykl*i* do surowej i otwartej walki" — jest częsta forma zaimka *któryś, ktoś* — forma niekonkretna, nieprecyzująca, jest także wymowna forma *czasownika w formie bezosobowej:* „wymówio*no* pracę, wiedzia*no*, kto miał za sobą wyrok sądu, komunistów poważa*no* i darzo*no* zaufaniem", jest z pominięciem wszystkich innych cech operowanie takimi określeniami jak „chwiejni", „przeciwnicy", jest zbytnie szafowanie komentarzem odautorskim, streszczające się m. i. w takich określeniach jak: „perfidny", „haniebny", jest powoływanie się na prawdy ogólne bez pokazania ich w konkretnym obrazie: „należało za wszelką cenę wciągnąć bezpartyjnych, ogół pracujących do wspólnej akcji w obronie zagrożonych, widzieliśmy b o w i e m (podkreślenie moje), że solidarne wystąpienie może zmusić kierownictwo do przyjęcia wszystkich." Powstaje w ten sposób swoista forma deklaratywności wyrażająca się przede wszystkim w zasadniczej, powtarzającej się formie „wiedziałem, nie wiedziałem, wtedy nie wiedziałem, teraz już wiem".

Kiedy Wygodzki przechodzi do współczesności, kiedy daje obrazy zebrań partyjnych, to chociaż są one zwarte, obracają się dokoła jednej konkretnej sprawy, sprawy na ogół, jak już było zaznaczone, „kandydatur", „samokrytyki", „obcości", a więc zagadnień emocjonujących całe zebranie, to i tu jednak pozostał zespół ludzi jako zespół bierny, nie biorący lub prawie nie biorący udziału w akcji, bardziej tło niż właściwy bohater. A przecież aktywność zebrania — to wyraz poczucia odpowiedzialności gospodarza kraju za wszystko, co się w kraju dzieje.

Na tych obrazach zaciążyło również oderwanie Partii od praktyki, która łącznie z teorią stanowi nierozerwalną całość i jedność, i dlatego może również artystycznie być obrazem pełnym, zgodnym z obiektywną rzeczywistością.

Rzecz charakterystyczna: kiedy Wygodzki rezygnuje z wszechwiedzy opowiadacza, kiedy od ogólników przechodzi do realiów — daje obrazy, które mają swoją wymowę, które w suchej relacji przetwarzają się w ładunek emocjonalny. Opis strajków w fabryce, ziąb, który w niej panował, przeciągi porywające z kamiennej podłogi resztki pyłu pozostałego po niedawnych pracach murarskich i monterskich, opis dogasającego, stygnącego powoli pieca, obraz martwych, pustych torów kolejowych, na których nie ma ani jednego wagonu w momencie, kiedy robotnicy chcą uratować przed faszystami zapasy cynku, obrazy bestialstwa faszystowskiego, domy o „zamkniętych i otwartych bramach", domy-sklepy, broniące „towarów łokciowych" już prawie w zaduchu i ogniu krematoryjnych dymów — te wszystkie obrazy wychodzące z realiów mają swoją wymowę, swą siłę przekonywającą, a więc mogą stać się źródłem poznania i orężem w walce.

Opowiadanie „Czwarta niedziela", w którym Wygodzki prawie rezygnuje z komentarza autorskiego, w którym każe przemawiać obrazom: a więc obrazom ludzi ze wsi i miasta, opowiadanie, w którym uchwała partyjna pokazana jest w momencie wcielania jej w życie, a więc przetwarzania życia, w którym nie został pominięty obraz walki — opowiadanie to nabiera szczególnej wymowy, zatraca schematyzm w stosunku do akcji jak i w stosunku do ludzi. I charakterystyczne, że właśnie w tym opowiadaniu zarysowuje się obraz nowego człowieka, który z trudem, z oporami przebija sobie drogę i staje w szeregach walczących o nowe oblicze ojczyzny, a poprzez konflikty i współpracę wsi i miasta zarysowuje się wytyczna dalszego rozwoju.

Charakterystyczne dalej, że zaczynają tutaj różnicować się ludzie, że zaczyna różnicować się „zwarty, zbity, nieruchomy tłum", że trzej śmiejący się na początku zebrania chłopi, a stojący pod koniec ze schylonymi głowami przeszli przy tej konkretnej sprawie pewien rozwój, że przemiana zaszła w całym zgromadzeniu, milczącym na początku, a oklaskującym mówcę pod koniec zebrania. Nie jest przypadkiem, że właśnie konkretność zadania uplastyczniła postaci ludzi. W opowiadaniu błąka się jeszcze cień wszechwiedzącego moralizatora, niemniej wydaje mi się, że to właśnie opowiadanie jest zapowiedzią dalszego rozwoju Wygodzkiego jako prozaika.

Barbara Rafałowska

LEOPOLD INFELD: *Wybrańcy bogów...* Powieść o życiu Ewarysta Galois, przełożył z angielskiego Stanisław Sielski; Książka i Wiedza, Warszawa, 1950; str. 303.

Próżno szukać by można w którejś z encyklopedii wydanych w połowie dziewiętnastego stulecia chociażby króciutkiej wzmianki poświęconej Ewarystowi Galois, o którym dziś mówi się, iż był „kto wie czy nie największym geniuszem matematyki, jaki kiedykolwiek żył na świecie". W ówczesnych historiach matematyki znajdujemy przecież życiorysy i tytuły dzieł tylu innych współczesnych mu, po dziś dzień cenionych i szanowanych, dlaczego więc obok nazwisk Lagrange'a, Laplace'a, Monge'a i Cauchy'ego nie spotykamy nazwiska Galois? Dlaczego dopiero w wieku dwudziestym Feliks Klein mógł napisać takie oto słowa: „Około roku 1830 na firmamencie matematyki zabłysła nowa gwiazda niesłychanej jasności: Ewaryst Galois"? Odpowiedź na to pytanie daje właśnie Infeld w swej powieści „Wybrańcy bogów..."

Uważa się często, że żywoty matematyków są mało urozmaicone, monotonne i nieciekawe. Życie Galois przeczy temu całkowicie. Jakże nieludzkie wręcz trudności spotykał on na swej drodze naukowej, z jaką obojętnością i lekceważeniem spotykały się tak doniosłe przecież wyniki jego prac, a koleje jego życia czyż nie wydają się jakby żywcem wyjęte z dzieł któregoś z pisarzy okresu romantyzmu?! Ewaryst Galois urodził się 25 października 1811 r., zmarł 31 maja 1832 r. wskutek rany odniesionej w pojedynku. Żył więc, jak to można łatwo wyliczyć, lat 20 i 7 miesięcy. Czy ktokolwiek i kiedykolwiek napisał doniosłą pracę naukową w wieku lat dwudziestu? Może jeden Gauss, który będąc niewiele starszy od Galois opublikował rozprawę o podstawowym twierdzeniu algebry. Galois zaczął pracę twórczą wyjątkowo wcześnie: nie miał jeszcze skończonych lat szesnastu, gdy formułował już pierwsze, własne poglądy. W rok później, będąc uczniem klasy re-

toryki w Liceum Ludwika Wielkiego, zdołał rozwiązać jeden z najdonioślejszych problemów w dziedzinie algebry: znalazł mianowicie kryteria, które zastosowane do równania algebraicznego dowolnego stopnia dawały od razu odpowiedź, czy równanie to w ogóle nadaje się do rozwiązania przy pomocy pierwiastków. Rezultaty swych badań wysyła do Akademii Nauk, gdzie prof. Cauchy rzuca do kosza nieprzeczytany rękopis, zawierający najgenialniejsze idee matematyczne stulecia. A wydarzenie to zapoczątkowuje zaledwie kamienistą drogę... Tępota i rutyna panująca wówczas w szkolnictwie francuskim powodują, iż Galois dwukrotnie przepada przy egzaminie wstępnym na politechnikę. Dwukrotnie również, w lutym 1830 i styczniu 1831 r., wysyła do Akademii swe nowe prace o warunkach, jakim muszą odpowiadać wszystkie równania rozwiązywalne za pomocą pierwiastków i za każdym razem prace jego zostają bądź zagubione, bądź też niezrozumiane i odrzucone. Galois zwolna zaczyna pojmować sens słów swego ojca, zawartych w jego ostatnim liście: „Nawet matematyka, najszlachetniejsza i najbardziej abstrakcyjna ze wszystkich nauk, nosząc koronę wysoko w górze, korzeniami sięga głęboko w ziemię, po której chodzimy. Nawet matematyka nie pozwoli uciec ci przed cierpieniem twoim i twoich towarzyszy."

Ojciec Ewarysta, mer Bourg-la-Reine, liberał o sympatiach republikańskich, popełnia w roku 1820 samobójstwo na skutek łajdackiej intrygi, uknutej przez miejscowego proboszcza i zwolenników restauracji. Wydarzenie to jest wielkim wstrząsem dla syna, pierwszym zetknięciem z brutalną rzeczywistością. „Muszę nienawidzieć tych, którzy cię zabili — szepce nad trumną. — Muszę ich nienawidzieć. Muszę! Muszę..." Do końca życia pozostanie mu w pamięci ostatni nakaz ojca: „Walcz, mój synu, walcz mężniej i odważniej, niż ja walczyłem, może w życiu swoim usłyszysz jeszcze dźwięk dzwonów wolności." Dostrzega społeczne przyczyny swych niepowodzeń naukowych, dochodzi do przekonania, że matematyka nie stanowi dla niego wyłącznego pola działania. W pamiętnych dniach lipcowych 1830 r. Galois, w tym czasie student „Ecole Preparatoire", podburzając kolegów do wystąpień rewolucyjnych popada w ostry konflikt z dyrekcją szkoły, skutkiem czego w grudniu tegoż roku zostaje usunięty z uczelni. Tak więc dla genialnego matematyka nie było miejsca na żadnej uczelni. Galois nie traci jednak zapału. Rzuca się w wir działalności rewolucyjnej. Wstępuje do „Towarzystwa Przyjaciół Ludu", najbardziej w tym czasie wpływowej organizacji republikańskiej. Nieznany zupełnie jako matematyk zyskuje za to pokaźne akta w archiwach policji. Jego działalność ściągnań represje: dwukrotnie dostaje się do więzienia, a jego odważne wystąpienie przeciwko Ludwikowi Filipowi sprowadza nań nieoficjalny wyrok śmierci wydany w gabinetach tajnej policji. Pojedynek na tle romansowym był w istocie wyrafinowaną intrygą policji, która dzięki mistrzowskiej reżyserii rękami republikanina pozbyła się znienawidzonego przez reakcję uczonego-rewolucjonisty.

Leopold Infeld, jeden z najwybitniejszych teoretyków w dziedzinie fizyki matematycznej i matematyki stosowanej, autor około dwustu prac naukowych — okazał się w „Wybrańcach bogów..." ciekawym powieściopisarzem. Infeld z wielką starannością odtwarza losy Galois na podstawie skąpych materiałów źródłowych, szeroko podmalowując tło historyczne i społeczne jego czasów. I tutaj podkreślić trzeba, na czym polega — według nas — szcze-

gólna zasługa Infelda: na tym mianowicie, że potrafił pokazać swego bohatera jako człowieka pełnego. Nie zwęził rysowanej sylwetki do problemu Galois - matematyk (jakby to zrobił „suchy" naukowiec), ani też do problemu Galois - rewolucjonista (jakby to z konieczności uczynił laik). Ukazał, jak matematyka splata się z życiem społecznym, jak rewolucjonista tworzy jedność z naukowcem - myślicielem.

Niejeden czytelnik ignorujący dotąd znaczenie nauk ścisłych, zapoznając się z postacią Galois, tak podobną do nieugiętego republikanina Mariusza Pontmorcy z „Nędzników" Victora Hugo, ujrzy jednocześnie, jak pulsująca życiem staje się matematyka, gdy rozumie się jej zasady i strukturę. W ujęciu Infelda postać matematyka i problemy matematyczne stają się l u d z k i e i zrozumiałe, tracą swą abstrakcyjność, jaką mają na ogół w oczach laika. Oto np. moment, gdy Galois zostaje wyzwany na pojedynek i ma przed sobą jeszcze trzynaście godzin życia:„ Prace, które posłałem do Akademii, nigdy nie zostały opublikowane. No, a poza tym najważniejsze wyniki moich prac mam wciąż tylko w głowie. Znikną z moich myśli, gdy tylko serce moje bić przestanie. Ślady moich prac będą mogły żyć tylko wówczas, jeśli do pracy mego mózgu dodam przelanie tych myśli na trwały papier. Wówczas dopiero ślady zostaną. Toteż pomimo że wszystkie wyniki rysują mi się wyraźnie w głowie, gdybym umarł, nikt by już się nie dowiedział, że był Ewaryst Galois, który zdołał rozwiązać problemy, jakie ktoś inny będzie usiłował rozwiązać w przyszłości. (...) Trzynaście godzin to jednak jest dużo. Są to ostatnie godziny mego życia. Muszę zaraz zabrać się do pisania. Muszę zanotować najważniejsze osiągnięcia i zarysy moich metod..."

Ograniczyliśmy się dotąd do uwypuklenia walorów książki, trzeba wspomnieć i o jej błędach, które — chociaż nie wpływają na wydźwięk całości powieści — dadzą się jednak zauważyć wyraźnie. Przede wszystkim Infeld nie odcyfrowuje do końca klasowej treści ruchów politycznych ówczesnej Francji. Węzłowy konflikt nie polegał przecież, jak to przedstawia autor, na walce republikanów, reprezentujących bliżej nieokreślony „lud", z tyranią monarchii burbońskiej i orleańskiej. Rewolucji 1830 r. dokonał proletariat paryski, owoce jego zwycięstwa zdyskontowała burżuazja. Republikanie i ich przywódcy: Cavaignac, Marrat, Dumas stanowili jedynie odłam burżuazji — ich wsteczne oblicze ujawniło się następnie w rewolucji 1848 r., gdzie Cavaignac zdobywa sobie miano „kata barykad czerwcowych". Natomiast „marksizm — podkreśla radziecki historyk B. Porszniew — nigdy nie był skłonny do idealizowania roli burżuazji w rewolucjach przeszłości. (...) Nie można mówić o rewolucji burżuazyjnej, nie podkreślając, że ma ona dwie strony wzajemnie przeciwstawne: rozbija kajdany, lecz zastępuje je innymi, znosi niewolnictwo, lecz przeobraża je w nowe niewolnictwo". „Burżuazja — pisali Marks i Engels — jest w najlepszym razie klasą pozbawioną heroizmu. Nawet swe najświetniejsze zdobycze w Anglii XVII w. i we Francji XVIII w. wywalczyła sobie nie sama, lecz wywalczyły je dla niej plebejskie masy ludowe, robotnicy i chłopi."

Infeld pokazał co prawda lewe skrzydło republikanów kierowane przez Raspail'a, późniejszego blankistę, stojące w opozycji do kierownictwa ruchu — ale nie dostrzegł jego proletariackiego oblicza. Dlatego narastający konflikt proletariat — burżuazja nie uwydatnia się w powieści i nie otrzymujemy wyraźnego obrazu epoki.

W pierwszym rozdziale „Wybrańców bogów...“ zatytułowanym „Królowie i matematycy“ przebija nieprzezwyciężony do końca idealistyczny stosunek do nauk przyrodniczych, widoczny np. w zarysowaniu paraleli pomiędzy cesarstwem Napoleona a „logicznym obrazem mechaniki wszechświata“ stworzonym przez Laplace'a. Znajdujemy również efektowne zdania żywo przypominające stosunek konwencjonalistów do nauki. Trzeba zaznaczyć, że cały ten rozdział nie wiąże się z powieścią.

Przekład z angielskiego Stanisława Sielskiego poprawny.

Ludwik B. Grzeniewski

T E A T R

NA SCENACH WARSZAWSKICH

W omawianym tu okresie teatry warszawskie weszły gremialnie w orbitę dramaturgii współczesnej. Poza jednym Blizińskim („Rozbitki“) w Teatrze Powszechnym — zobaczyliśmy: Pawlenki „Szczęście“ w Teatrze Narodowym, Ławreniewa „Za tych co na morzu“ w Teatrze Domu Wojska Polskiego, Bałtuszisa „Pieją koguty“ w Teatrze Kameralnym, a z nowych sztuk polskich „Zwykłą sprawę“ Adama Tarna w Teatrze Współczesnym, Władysława Lubeckiego „Człowiek i maszyny“ („Sprawa Anny Kosterskiej“) w Teatrze Nowej Warszawy, Jerzego Lutowskiego „Próbę sił“ w Teatrze Polskim.

Ten wachlarz sztuk — obejmujący swą tematyką rozległy obszar rzeczywistych spraw ludzkich — reprezentuje jednocześnie różne cechy realizmu, wynikające w bezpośredni sposób z różnych etapów rozwoju społecznego, które odbijają się w świadomości pisarzy. Realizm Blizińskiego — ugruntowany w aktualnych dla swego czasu sprawach życiowych podupadłej arystokracji i potężnej, ale już z widocznymi zarodkami upadku, burżuazji — daje ostry obraz tej klasowej sytuacji, jednak perspektywy wyjścia z impasu, które autor usiłuje wskazać, są właśnie tak naiwnie i nierealnie nakreślone, jak naiwna i nierealna — niedialektyczna — była ówczesna wiedza człowieka z jego środowiska o wielkich historycznych procesach społecznych. Realizm wymienionych tu polskich sztuk współczesnych polega już nie tylko na u k a z y w a n i u aktualnej sytuacji klasowej. Znajomość właściwego sensu procesów społecznych i rewolucyjna stronniczość w walce klasowej jest zasadniczą cechą tego realizmu, który tłumaczy nam naszą rzeczywistość dzisiejszą i jej perspektywy poprzez bezpośrednie starcia klasowych interesów i klasowych postaw. Ale realizm sztuki Ławreniewa czy sztuki Popowa — to jeszcze inny etap rzeczywistości historycznej i społecznego rozwoju. W naturalnej zgodności z tym rozwojem, w którym tak daleko przed nami wysunęło się społeczeństwo radzieckie — sztuki te nie odbijają już „sytuacji klasowej“ w sensie istnienia sprzeczności klasowych interesów. Realizm tych sztuk związany jest już z sytuacją klas nieantagonistycznych społeczeństwa socjalistycznego. Konflikty rozgrywają się sferze krystalizującej się i doskonalącej nowej moralności

socjalistycznej — w postaci walki z przywarami i przeżytkami moralności burżuazyjnej, w postaci walki o zwycięstwo nowego szlachetniejszego poczucia obowiązku, honoru, patriotyzmu, w postaci ciągłej walki o coraz lepszego człowieka.

Odbicie wszystkich tych etapów w zaprezentowanym przez teatry warszawskie wachlarzu sztuk — w jaskrawym skrócie ukazuje główny trakt, po którym kroczy naprzód dramat realistyczny. Dlatego właśnie — korzystając z dogodnego doboru premier w okresie sprawozdawczym — zatrzymałem się chwilę dla dokonania tej szybkiej konfrontacji.

O „Rozbitkach" Blizińskiego chciałbym powiedzieć jeszcze jedno: Sztuka ta, napisana w osiemdziesiątych latach, obciążona jest oczywiście pozytywistycznym błędem „ślepej perspektywy" społecznej, wyrażającej się tu propagowaniem rzetelnej, uprzemysłowiowej pracy gospodarskiej jako sposobu uzdrowienia materialnego i odrodzenia moralnego rozkładającej się warstwy ziemiańskiej. Ale ponad tę ślepą perspektywę wyrasta realizm postaci i przerasta recepty autora. Zarówno postaci reprezentantów arystokracji ziemiańskiej jak i reprezentantów potężnej burżuazji — buduje Bliziński z taką ostrością, z takim piętnem na czołach, że nie może budzić żadnych wątpliwości ich prawdziwy historyczny los. Przedstawienie w Teatrze Powszechnym odznaczało się właściwym zrozumieniem tej sprawy. Zaakcentowano jak najmocniej realizm postaci dorobkiewicza Strasza, szambelanica Czarnoskalskiego i jego kuzyna Kotwicza-Dahlberg — głównych reprezentantów cech klasowych i klasowego konfliktu, traktując raczej zdawkowo młodych pozytywistycznych „uzdrowicieli" ziemiańskich.

Wystawiając jedną z najnowszych sztuk polskich — „Próbę sił" Lutowskiego — Teatr Polski nie umiał naprawić zbyt licznych „niezgrabności" sytuacyjnych, dotkliwie obniżających wartość tej sztuki. Ale nie to jest tu najistotniejsze. Sztuka — ukazując środowisko lekarskie — poprzez szereg konfliktów, a przede wszystkim na przykładzie stosunku do pacjenta: majstra fabrycznego i racjonalizatora, rozbija mit o specyficznej „ponadklasowej" etyce lekarskiej i wykazuje, że i tu toczy się z nie mniejszą ostrością niż gdzie indziej, normalna dla naszego okresu walka klasowa, determinująca postawy i postępki poszczególnych lekarzy. Teza słuszna, dająca mocną podwalinę realizmu sztuki. Rozwiązywanie jednak niektórych ważnych wątków i postaci budzić musi szereg poważnych zastrzeżeń, jak o tym świadczy na przykład nazbyt „konceptualistyczna" postać doktora Poręby i nieprzekonywające dzieje jego nagłej przemiany, lub przedstawianie dla większego lecz fałszywego „efektu" fabryki — poprzez ludzi stamtąd — jako groźnego molocha, wypruwającego żyły i wypijającego krew.

Rzucając tu jednak z obowiązku (i nie po raz pierwszy) swoje uwagi o naszych nowych sztukach — sam nie bez przewinień w tej dziedzinie i błędów — chciałbym oprzeć się o miarę najsłuszniejszą i praktycznie najsprawiedliwszą. Taką niewątpliwie miarą jest ostateczny — mimo poszczególnych błędów — efekt jakościowy całości sztuki i widowiska, ostateczny i zasadniczy sens dzieła, jego rola społeczna, kulturalna, rola polityczna, jaką praktycznie odgrywa— a nie jakiś idealnie pomyślany, nieskazitelny wzorzec, służący do jałowych porównań. I tu wydaje mi się, że mimo różnego gatunku błędów wszystkie trzy nasze nowe sztuki — w niniejszej kronice zanotowane — z po-

zytywnym na ogół wynikiem wytrzymują zastosowanie owej miary.

„Człowiek i maszyny" Lubeckiego — to sprawa sabotażu w fabryce włókienniczej, zorganizowanego przez urzędnika administracyjnego, zakonspirowanego wroga klasowego, który wykorzystuje dla swych politycznych celów podrażnioną ambicję majstra i dewocję religijną starej sprzątaczki. Teatr Nowej Warszawy rzetelnie starał się wniknąć w realizm życia fabrycznego i w niektórych postaciach osiągnął dużo bezpośredniości i prawdy, mimo że tekst nie jest wolny od bardzo wielu naiwności. Naiwności te jednak rekompensowane są żywą akcją, która skupia się wokół jednej konkretnej sprawy i przykuwa uwagę widza. Przemiany, którym ulega zaplątany w robotę dywersyjną majster i wreszcie jego rehabilitacja — to główny, najcenniejszy, najlepiej przeprowadzony i przy tym najlepiej scenicznie przedstawiony wątek sztuki.

Teatr Współczesny zrobił z „Zwykłej sprawy" Tarna prawdziwy popis gry aktorskiej i popis reżyserii. Sama sztuka zresztą — wprowadzając w akcję postaci na ogół wyraźnie zróżnicowane i stopniowo potęgując napięcie kolejnych odsłon — zachęca do pełnego inwencji wysiłku i reżysera, i aktorów. Tematem tej sztuki, demaskującej obecne stosunki amerykańskie, jest proces o zabójstwo, z którego wynurza się jego tło polityczne. Debatujący poprzez wszystkie trzy akty sąd przysięgłych — to przekrój społeczeństwa amerykańskiego ze wszystkimi jego — ukazanymi jak w soczewce — klasowymi postawami i konfliktami. Nad próbą uczciwego potraktowania, wyświetlenia i rozstrzygnięcia sprawy, która jest przedmiotem obrad tego sądu przysięgłych — zawisa zmowa przedstawicieli i urzędników wielkiego kapitału i brutalnie kruszy wszelkie usiłowania. To zwycięstwo ukrytej za liberalistycznym szyldem przemocy i wreszcie jawnego szantażu wydaje się być całkowite, przygniatające, odbierające wszelką nadzieję skutecznej walki — aż do ostatniej sceny, a nawet aż do ostatniej kwestii, która staje się optymistyczną pointą całej sztuki i która należy do przedstawiciela klasy robotniczej, oświadczającego mocno: „Teraz ja mam głos!"

Na wielkie uznanie zasłużył sobie Teatr Kameralny sposobem wystawienia sztuki Bałtuszisa „Pieją koguty" — ogromem rzetelnej pracy artystycznej, jaką tu włożył. W świetnej obsadzie aktorskiej i w głęboko realistycznym rozpracowaniu reżyserskim — ta historia przedwojennej wsi litewskiej, duszonej łapami kułackich wyzyskiwaczy — nabrała żywszych, niż sam tekst, rumieńców życia. Wstrząsający w tej sztuce dramat biedniacki wydobyty został z całą ostrością. Postacie bogaczy, ich zróżnicowanie, ich zwyrodnienie moralne i wzajemne konflikty — skonfrontowane właściwie ustawionym wielkim konfliktem klasowym — czynią z tej sztuki na warszawskiej scenie dzieło realizmu o dużym kalibrze. Tu również nadzieja pojawia się w ostatnich scenach, lecz dzięki szerszej podbudowie środowiska i jego sytuacji klasowej, dzięki głębszemu ukazaniu klasowych interesów, rozleglejszej perspektywie losów postaci — nadzieja ta nie rozbłyska nieoczekiwanie.

„Za tych co na morzu" Ławreniewa — to jedna z tych sztuk radzieckich, w których zniknęły już otwarte konflikty klasowe, przechodząc w konflikty między „starym" a „nowym" w świadomości, w etyce, w moralności człowieka.

Teatr Domu Wojska Polskiego, wystawiając tę sztukę, nie umiał niestety — poza niektórymi wyjątkami — wprowadzić na scenę postaci o cechach tak ży-

wych i naturalnych, z takim realizmem związanych z toczącą się sprawą, jak na to postacie Ławreniewa zasługiwały. Tematem sztuki jest pełna obowiązków bojowych codzienność marynarzy dywizjonu ścigaczy podczas ostatniej wojny. Konflikt główny — to różnica postawy wobec tych obowiązków. Kapitan Maksimow, dowódca pierwszej grupy ścigaczy — to typ oficera o nowej moralności, o prawdziwie radzieckim pojmowaniu swej roli w społeczeństwie, typ nowego człowieka, wyzbytego przeżytków wszelkiego egocentryzmu. Kapitan Borowski, dowódca drugiej grupy ścigaczy — to oficer pełen osobistych ambicji, walczący dla sławy, dla kariery, co wreszcie na tle rywalizacji z Maksimowem popycha go do przestępstwa, za które musi odpokutować bojową służbą na szczeblu prostego marynarza kompanii karnej, uzyskując jednak w ten sposób szanse przełamania i pokonania swych przywar. Konflikt „starych" i „nowych" cech charakteru, walka o zwycięstwo nowych socjalistycznych kwalifikacji moralnych, realizm wyrastający z nowej rzeczywistości rozwoju społecznego.

Druga z tych sztuk — „Szczęście" Pawlenki — to epicka opowieść sceniczna (przerobiona przez autora z jego znanej powieści), która pokazuje, jak przyjeżdżająca na Krym jeszcze w czasie trwania wojny grupa przesiedleńców — inwalidów frontowych, chorych, apatycznych, steranych przeżyciami ludzi — w ciężkich warunkach zaczyna organizować swoje życie i swoją pracę, stopniowo odradzając się przy tym, zdobywając sobie nową pozytywną rolę, własnymi rękami zmieniając otaczające warunki, znajdując szczęście. Znowu konflikty postaw moralnych, charakterów, walka o nowe wartości.

Teatr Narodowy starał się tę epicką, scenicznie trudną sztukę pokazać z całym jej realizmem, w tym słusznym kierunku szły wszystkie wysiłki i aktorów i reżysera. Tym bardziej zaskakuje uważnego widza pewien manewr niezbyt szczęśliwy. Ni stąd ni z owąd teatr zdecydował się wyrzucić z pierwszej odsłony trzeciego aktu sztuki Pawlenki scenę komentowania przez osoby dramatu wydarzeń związanych z odbywającą się właśnie historyczną konferencją w pobliskiej Jałcie, która to scena logicznie splata się z całością sztuki i jej charakterem — wprowadzając na to miejsce zupełnie inną scenę, dopisaną przez beztroskich adaptatorów na podstawie kilku zdań wyrwanych z powieści, a w kontekście sztuki brzmiących zupełnie fałszywie (co pogłębia fałszywa interpretacja aktorska), scenę nie trzymającą się wątków dramatu, szkodliwie dla całości przerywającą bieg i nastrój sztuki, scenę wyraźnie „odrealniającą" realistyczną jej ciągłość wskutek — krótko mówiąc — złej, nieprzemyślanej roboty i literackiej, i reżyserskiej. Chodzi o scenę dialogu Woropajewa z amerykańskim korespondentem wojennym. Pawlenko niewątpliwie wiedział, dlaczego pisząc sztukę takiej sceny w niej nie umieścił. Pomijając już niezbyt kurtuazyjny w stosunku do autora fakt „dopisywania" przez teatr całych stronic tekstu — z żalem zanotować trzeba w kronice, że po prostu w miejsce lepszej sceny dopisano bez porównania gorszą.

Juliusz Żuławski

Wyprawy w przeszłość

W styczniowym numerze „Twórczości", w rubryce „Książki nadesłane", a w dziale „Poezja i dramat" można było przeczytać wzmiankę następującą:

„Michał Bałucki — Pan Burmistrz z Pipidówki. Dwie wizyty Jego Ekselencji. Wstęp Jana Szeląga, ilustr. Baro. Bibilioteka „Szpilek", pod red. Antoniego Marianowicza, 9, Czytelnik, Warszawa, 1950. Str. 171 + 4 nlb."

Notatka dokładna, tyle że w niewłaściwym miejscu pomieszczona. „Pan burmistrz z Pipidówki" — to ani poezja, ani dramat. To powieść satyryczna, a „Dwie wizyty Jego Ekselencji" — to satyryczne opowiadanie. Zdawałoby się: drobna pomyłka, o której nawet wspominać nie warto. Jeśli jednak odtworzymy sobie proces myślowy i skojarzeniowy układającego rubrykę książek nadesłanych w „Twórczości", najpierw się zaniepokoimy, a następnie fakt ten przyjmiemy poważnie jako potwierdzający słuszną opinię o powszechnym dziś jeszcze w Polsce stosunku do dawnej naszej i nie tak bardzo dawnej literatury.

Dlaczego to „Pan burmistrz z Pipidówki" zawędrował do poezji i dramatów? Bo przywykliśmy, bo nauczono nas kojarzyć nazwisko Bałuckiego wyłącznie z komediami. Bałucki to „Grube Ryby", „Klub Kawalerów", „Dom otwarty" itp. O powieściach Bałuckiego nie wiemy nic, albo też wiemy tyle tylko, że nic o nich wiedzieć nie warto. Zastanówmy się chwilę i skontrolujmy; czyją to opinię, czyj sąd tym sposobem powtarzamy? Nie mniej ni więcej, tylko samej Jego Magnificencji Hrabiego Stanisława Tarnowskiego, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, i reprezentanta stańczykowskich opinii na tamtejszej katedrze literatury polskiej. On to, Stanisław hrabia Tarnowski, uznać przed kilkudziesięcioma laty raczył komediopisarstwo Michała Bałuckiego za wartościowe i zgorszenia nie budzące, na pozostałą jego twórczość rzucając surową anatemę. Specjalne pióra nawet stańczycy i ich „Czas" wynajmowali, by w artykułach i w broszurach wyrok Tarnowskiego uzasadniać. Autor jednej z takich krytyk symboliczne nosił w tych okolicznościach nazwisko. Nazywał się mianowicie Pieniążek.

Tak to szło i dalej. Przez Feldmana aż do Czachowskiego. A w encyklopedycznych „Dziejach literatury pięknej w Polsce", uwiecznione i przypieczętowane zostało: Bałucki komedio- i farsopisarz, a o tych tam jego powieściach w ogóle nie ma co mówić. Pomyślałby kto i pomyślałby nienajmądrzej, że to sąd bezstronny, na surowej, ale sprawiedliwej artystycznej ocenie oparty. I źle by pomyślał. Bo jeśli po byle jaką, byle którą Bałuckiego powieść sięgnąć i kartki jej przerzucić, czy to będą „Pańskie dziady", czy „Błyszczące nędze", czy „O kawał ziemi", zobaczymy innego całkiem pisarza niż tego poczciwego producenta mieszczańskiego humorku i dobrych ról aktorskich. Nie będzie to olśniewające odkrycie artystyczne. Na pewno nie są to arcydzieła. Niemniej jednak w tych małych lusterkach zobaczymy wcale dokładny i interesujący obraz społeczeństwa ostatnich lat trzydziestu wieku dziewiętnastego, z ich spóźnionym w Polsce powstawaniem kapitalizmu, walki mieszczaństwa ze szlachtą i arystokracją wspartą o Wiedeń; proces stawania się rzemieślników fabrykantami, a także i zlewania

się mieszczaństwa z tąż szlachtą i arystokracją, sprzymierzania się, wiemy przeciw komu i przeciw czemu.

Tenże „Pan burmistrz z Pipidówki" posiadał w oryginale podtytuł, słusznie, jako niewiele już dzisiaj mówiący, przez współczesnego dzisiejszego wydawcę opuszczony, a brzmiał on: „Z życia autonomicznego Galicji". Oznacza to, że autorowi bynajmniej nie chodziło o los jednego pana Mikołaja Pocięgla vel Pocięglewicza, mianującego się prezydentem pipidówkowskiego grodu. Nie mniej nie więcej w owej mikroskopijnej galicyjskiej skali jest to przedstawienie walki podobnej do tej, jaka się toczyła w Stanach Generalnych, zwołanych przez Ludwika XVI. Przyznanie autonomii, samorządu miastom galicyjskim stało się powodem ostrego starcia mieszczaństwa ze szlachtą. Chodziło zaś o to, czy autonomia pozwoli istotnie mieszczaństwu na odegranie jakiej takiej samodzielnej roli politycznej, czy też stanie się odskocznią dla szlachty do robienia dalej wielkich wiedeńskich karier i oparciem w dalszym „reprezentowaniu" narodu. Nie co innego, ale to właśnie jest treścią zapomnianej i przypomnianej w Bibliotece „Szpilek" satyrycznej powieści Bałuckiego. Jeśli w tej walce Bałucki stawał po stronie mieszczaństwa, przeciwstawiając się szlachcie i arystokracji, klerowi i biskupom — to oczywiście nie jednało mu sympatii hrabiego Tarnowskiego, którego sąd dzisiaj, mimo woli, powtarzamy.

Ale jeśli sami, samodzielnie, bez pomocy grubych tomów najrozmaitszych literatur osądzić Bałuckiego zechcemy dzisiaj, to okaże się, że jego powieści, zlekceważone i skazane na zapomnienie, są nam bliższe i bardziej interesujące do jego „ştucek", które tak często dziś jeszcze widzimy na afiszach. Nie w tych „ştuckach" bowiem, ale przede wszystkim w powieściach był Bałucki pisarzem-realistą, satyrykiem, postępowcem, nie wahającym się stawić czoła potęgom rządzącym ówczesną Galicją z ambon i z katedr, z namiestnictwa, z posterunków żandarmerii, zza stołów sędziowskich i prokuratorskich.

Tak odczytany Bałucki zwiąże się nam jak najściślej z polityczną, społeczną i gospodarczą historią okresu, w którym żył i pisał, zwiąże się zarówno z lwowskim „Chochlikiem" jak i krakowskim „Diabłem", z Rodociem, którego trzeci tomik „Fraszek" z polecenia prokuratora został spalony, jak i ze zdjęciem z afisza krakowskiego dramatu Czerwieńskiego „Niewolnik" — z denuncjacji stańczykowskiej prasy. Bałucki „Grubych ryb" z trudem może być połączony z tymi wszystkim wydarzeniami, które przecież w jego czasie rozbrzmiewały już wyraźnymi akcentami procesu krakowskiego Ludwika Waryńskiego i towarzyszy. Bałucki pojęty bez owej „castratio membrorum", czyli obcięcia członków, na które historycy literatury go skazali, ujawni się nam jako pisarz pełny i krwisty, związany wszystkimi nićmi, serdecznymi węzłami ze swoją epoką.

Oczywiste, iż autor „Burmistrza z Pipidówki" nie jest odosobnioną ofiarą, na którą specjalnie i wyjątkowo zawzięli się szlachecko-arystokratyczno-burżuazyjni historycy literatury. Przeciwnie, jego los jest bardzo typowy. Ilerazy chcemy wydać sąd zbyt pochopny o jakimkolwiek pisarzu przeszłości, ugryźmy się w język, powstrzymajmy na chwilę nasze pióro czy też maszynę do pisania, policzmy do stu i pomyślmy, na czym sąd opieramy. Jeśli się okaże, że na Feldmanie, Kridlu czy nawet Brücknerze, postarajmy się dotrzeć do samych autentycznych egzemplarzy, przeczytajmy sami i na pewno w większości wypadków będziemy musieli naszą nieopatrzną i słusznie powstrzymaną opinię do gruntu zrewidować. Mało te-

go. Dojdziemy do przekonania, że to i owo, i wcale nie tak mało, warto by współczesnemu czytelnikowi przypomnieć, dać do przeczytania i przemyślenia.

Obok Bałuckiego, w tejże Bibliotece „Szpilek", w przeciągu ostatniego roku przypomniano trzech innych pisarzy. W skromnych wyborach, ale jednak przypomniano. A więc: Antoniego Goreckiego, o którym na ogół wiedziało się dla przyzwoitości tyle tylko, że syna swego ożenił z córką Mickiewicza i że napisał bajkę pt. „Diabeł i zboże", którą Mickiewicz włączył do III-ej części „Dziadów". A więc Augusta Wilkońskiego, z którego to wyboru okazało się, że słów „ramoty i ramotki" nie należy w sensie przygany używać, i wreszcie Rodocia — Mikołaja Biernackiego.

Dzieje Rodocia w zwierciadle historii literatury są dość zabawne, a jednocześnie smutne. Piotr Chmielewski w swej książce „Współczesni poeci polscy" z roku 1894 Rodociowi poświęca specjalny rozdział obok Sowińskiego, Faleńskiego, Asnyka, Konopnickiej i innych. W kilka lat później, po wybuchu Młodej Polski, Feldman w swej „Współczesnej literaturze polskiej" pisał o Rodociu dość ironicznie i wstrzemięźliwie:

„Rodoć powtarzał w swych satyrach wszystkie sympatyczne hasła i gesty tego romantyzmu ulicy, którego śpiewakiem był Beranger. Od niego nauczył się był francuskiej ciętości bez sentymentalizmu, wzgardy dla ultramontanów i kręcenia biczów na przeciwników demokracji. Nie dosiadał pegaza wielkiej poezji, lecz drobnym poetycznym kłusem biega za rycerzami blagi i szalbierstwa, goni owych pustych deklamatorskich „patriotników", obłudnych świętoszków jezuickich, szarlatańskich, tchórzliwych, samolubnych „stańczyków" i gdzie może, krótkimi, zgrabnymi ruchami pióra kole, siecze, rani. Smaga brak charakteru, oportunizm polsko-austriacki, zasady będące posadami, panków, widzących w każdej gorętszej duszy warcholstwo. Słowo zwięzłe, cięte, rytm lekki, wpadający śpiewnie w ucho, obraz zawsze żywy i dosadny pozwalały mu trafiać publiczności w serce".

Po latach trzydziestu Akademia Umiejętności krócej rozprawia się z Rodociem: „Rodoć wyższych aspiracji literackich nie miał, uprawiając swoje „satyry"... Ależ to wszystko felieton, jednodniówki i nawet zbiory ich i wybory (na przykład Rodociowe) nie ocaliły ich od zapomnienia."

Realizując owo zapomnienie, Czachowski już ani jednym słowem o Rodociu nie wspomina...

A tymczasem nie zapominają o Rodociu nigdy świetni aktorzy, tacy jak Zelwerowicz na przykład, z pamięci umiejący recytować niezliczone jego wiersze i uczniom swym zadający je jako aktorskie ćwiczenia. Świetny satyryk staje się pisarzem nielegalnym. Wypędzony ostatecznie z historii literatury, staje się istotnie nieznany szerszej publiczności, ale tego losu nie podzielają jego utwory takie, jak „Czy sąsiad czasem czyta", „Nie jestem przy apetycie", krążące anonimowo. W pewnym sensie jest to olbrzymi sukces twórcy, ale odnosi on jeszcze większy. Obecnie tomik wyboru jego satyr i fraszek, wydany w nakładzie 15 tysięcy egzemplarzy, rozchodzi się szybko, jest czytany, a utwory w nim zamieszczone deklamowane, zadziwiają swą świeżością i ostrością. „Literatura" Akademii pozotaje na boku ze swym ironicznym cudzysłowem, a Rodoć okazuje się żywym i młodzieńczym sprzymierzeńcem naszej satyry współczesnej. Ba, pisarzem mogącym niejednokrotnie służyć jej za wzór, zarówno swą świetną formą jak i odwagą, umiejętnością dostrzegania i demaskowania wroga. Rodoć zostaje zrehabilitowany jako jeden

istotnie z czołowych satyryków naszej literackiej przeszłości.

Te wyprawy w przeszłość, robione raczej na chybił trafił, bez przewodnika i bez planu przez redakcję Biblioteki „Szpilek", jak i wyprawa Ważyka, z której przyniósł nam tomik satyryczno-lirycznych wierszy Józefa Dunin-Borkowskiego — to wszystko razem wzięte dowodzi konieczności dokonywania owych ekspedycji w przeszłość w sposób bardziej zorganizowany. Mamy zapoczątkowane lub nawet mające się ku końcowi zbiorowe wydania Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza, mamy liczne reedycje Jeża i Kraszewskiego. Ale to wszystko nie wyczerpuje całości zagadnienia. Literatura nasza wieku XIX zwłaszcza, i znów przede wszystkim jego przełomu i drugiej jego połowy, wymaga skrupulatnego bardzo przebadania, przeszukania i przerewidowania. Przecież czołowe zjawiska literackie tej epoki, jak każdej innej, nie zawisały w próżni. Odbywały się one na tle niezwykle różnorodnym i bogatym twórczości literackiej, poezji i dramatu. Nie znamy kraju literatury naszej, gdy chodzimy wyłącznie po górskich szczytach. Kraj ten bynajmniej nie składa się tylko z tych szczytów, ale i z dolin, nieraz bardzo przyjemnych i interesujących.

Podróżnik-szperacz, podróżnik-odkrywca musi oczywiście być zaszczepiony przeciwko możliwościom rozczarowania. Nie trzeba sądzić, by historykom literatury, najbardziej nawet reakcyjnym, udało się zaprzepaścić jakiegoś drugiego „Pana Tadeusza", czy też drugą „Lalkę". Na to nawet ich siły były zbyt słabe. Nie nastawiajmy się więc na wielkie sensacje i rewelacje. Zamiast tego znajdziemy, niewątpliwie znajdziemy dziesiątki, a może setki powieści, nowel, sztuk tearalnych i wierszy, które wzbogacą naszą literaturę i przede wszystkim zmienią pogląd na nią.

To nie przypadek, że odkrycia, o których piszę, dotyczą satyry lub choćby jej pogranicza (Dunin-Borkowski). Tego gatunku historycy literatury, kształtujący pogląd pokoleń, nie lubili nade wszystko. Oczywiście ze względu na ostrą i wyraźną treść polityczną, jaką ta satyra zawierała, z natury swojej, z istoty swoich zadań. Weyssenhoff przez cały czas swego endeckiego życia składał ekspiacje za opisanie „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego", za swą najznakomitszą książkę, która sama mu się napisała, jak twierdzi, oczywiście z realistycznego, krytycznego spojrzenia na własne środowisko, na Klub Myśliwski, obłudę religijną i kosmopolityzm.

Te jego gorzkie żale mało nas obchodzą, a „Podfilipski" bardzo. W losie pisarskim Weyssenhoffa jest typowość losu bardzo wielu pisarzy minionych okresów. Poczynając od Sienkiewicza, a kończąc na pomniejszych, na tymże Bałuckim, Gruszeckim, Perzyńskim i wielu innych, powtarza się podobna historia. Debiutują ci pisarze, rozpoczynają swój zawód literacki znakomitymi nieraz pozycjami realistycznymi (Gruszecki „Tuzy" i „Krety"), aby następnie zejść na reakcyjne pozycje, gdzie oczekiwały ich pochwały krytyki, chętni wydawcy i dobre zarobki. Wielkim przełomem jest rok 1905, będący kresem postępowości większości naszych pozytywistów i naturalistów. Ich krytyka burżuazyjnego społeczeństwa, krytyka nie kapitalizmu oczywiście, ale pewnych jego przejawów, likwiduje się w obliczu ujawnienia siły nowej klasy społecznej, podejmującej wysiłek obalenia ustroju. Demaskują się oni w tym okresie całkowicie jako pisarze kapitalizmu i, gdy zostaje on zagrożony, używają wszelkich podupadłych swych sił i środków na jego ratowanie. Obraz życia klasy robotniczej, najemników wiejskich, przedstawiony przez

Gruszeckiego w powieściach wyżej wymienionych, jak i w „Hutniku", stanowi dokument wielkiego znaczenia, ale w roku 1905 i po nim tenże pisarz używa wszystkich swych możliwości dla zohydzenia ruchu robotniczego, przedstawienia go w fałszywym, oszczerczym świetle („Bojownicy").

A jednak, mimo te sprzeczności, nie możemy przejść obok powieści Gruszeckiego pierwszego okresu. Jeśli chcemy wzbogacić naszą wiedzę o życiu polskiej klasy robotniczej w okresie jej kształtowania się, jeśli chcemy mieć obraz zbrodni kapitalizmu, to znajdziemy je właśnie w tym pierwszym Gruszeckim, a nie w deklamatorskich i nieczytelnych dziś całkowicie pseudo-romantycznych uniesieniach Daniłowskiego i Struga.

Pisano niedawno, iż współczesna literatura polska w poszukiwaniu nowej tematyki sięgnąć powinna śmiało między innymi i do historii i dawnej i niedawnej. Pisano, i słusznie, że pisarze nasi nie powinni w tym zakresie oczekiwać na źródłowe monografie i opracowania, które dadzą nam historycy, ale śmiało, nie czekając na historyków, podejmować w tym zakresie swoje dzieło. Nie mamy jeszcze gruntownych, ani nawet przyczynkowych opracowań zbyt wielu w zakresie powstania i rozwoju kapitalizmu w Polsce, powstania, kształtowania się i rozwoju klasy robotniczej, życia chłopskiego, walki klasowej na wsi, rozwoju i degeneracji mieszczaństwa. Czy to znaczy, że pomijać mamy dzieła literackie przeszłości, w których te problemy całkowicie lub ułamkowo przewijają się? Oczywiście nie. To są te właśnie główne zdobycze, jakie wynieść możemy z odkrywczych wypraw w polską przeszłość literacką. Dzieła nawet nie najznakomitsze pod względem artystycznym i nawet nie czołowych pisarzy, przypomniane dzisiaj, odpowiednio naświetlone, dać mogą współczesnemu czytelnikowi szeroki obraz stosunków społecznych, walk i życia ludzkiego w okresie narodzin, rozkwitu i degeneracji kapitalizmu w Polsce.

Jeśli o ten okres chodzi, zbyt często, zwłaszcza na scenie, pokazywano go nam w świetle ogródkowych kinkietów i w rytmie wiedeńskiego walczyka. To były piękne czasy, te czasy „Żołnierza królowej Madagaskaru", „Jadzi wdowy" i nawet „Trójki hultajskiej", która dziś została ekshumowana i zgalwanizowana nawet na scenie robotniczej Łodzi, tyle że pod inną nazwą, bo „Złotych niedoli".

A w rzeczywistości: jeśli przeczytamy trzytomową „Warszawę" Gawalewicza, przekonamy się, a właściwie zobaczymy, bo przekonani przecież jesteśmy, że owe czasy wcale nie były takie najzabawniejsze. Salonowiec Gawalewicz, masowy dostawca powieści dla panien z dobrego domu, pokazuje w „Warszawie" coś w rodzaju przekroju społeczeństwa stolicy lat dziewięćdziesiątych. Mamy i stolicę eleganckich pałacyków Nowego-Światu i Krakowskiego Przedmieścia, corsa kwiatowego w Alejach Ujazdowskich i filantropijnej wenty w Dolinie Szwajcarskiej. Ale poza tą linią warszawskich Pól Elizejskich istnieje inna Warszawa — Tamki i Rybaków, robotniczej nędzy, domów noclegowych, którym nadaremnie przeciwstawia się filantropia hrabiów i bankierów.

Ta powieść Gawalewicza nie była przychylnie przyjęta przez współczesną krytykę. Raził ją krytycyzm wobec oficjalnej i eleganckiej Warszawki, raziły nieliczne, ale jednak wymowne obrazy z Powiśla. Kosiakiewicz, jeden z najznakomitszych chyba naszych nowelistów (któż o nim pamięta?), przedstawia niedolę i beznadziejność życia, jakbyśmy powiedzieli dzisiejszym naszym językiem, prostych ludzi owego czasu. A także i kulis owych ogródkowych tea-

trzyków, w których niesłusznie ktoś by chciał widzieć pogodny symbol kapitalistycznego szczęścia i dobrobytu.

Krytyka stosunków, panujących w owym świecie, ograniczona była zarówno wąskością spojrzenia ówczesnych pisarzy, jak i warunkami nie tylko urzędowej, srogiej, carskiej cenzury, ale i gorszej jeszcze zapewne i surowszej cenzury społecznej, cenzury redakcyjnej i wydawniczej. O tym trzeba zawsze pamiętać przy odczytywaniu tych starych, pożółkłych egzemplarzy. Krytyka Gruszeckiego w „Kretach" jest ostra i demaskatorska. Trudno zapomnieć owego dyrektora kilku kopalń, który po katastrofie biada nad utratą kilkunastu koni, nie zwracając uwagi na śmierć większej jeszcze liczby górników. Ale poza krytykę i właściwą ocenę dyrektora Gruszecki nie wykracza. Musiałby wówczas bowiem zaatakować samych akcjonariuszy i sam kapitalizm.

Pobożna, dla dobrych rodzin przeznaczona „Biesiada Literacka", w roku 1901 pisała w związku z ogłoszeniem zbiórki składek na rodzinę Józefa Blizińskiego i w związku z procesem pewnego dozorcy szpitala, oskarżonego o pobicie pacjenta w szpitalu dla obłąkanych:

„Byt materialny naszych dramaturgów jest niewiele lepszy od bytu dozorców i dozorczyń szpitala. Ci ostatni, mając pensji miesięcznie trzy ruble, muszą za to żyć z rodziną i pracować jak koń w kieracie... Obcy posiadają sławnych głodomorów, którzy nic nie jedzą przez kilka tygodni, żyją jednak; my moglibyśmy także obwozić jako osobliwość owego dozorcę, pobierającego trzy ruble pensji miesięcznie, więc tak samo z pustym żołądkiem, jak głodomora. Tylko że ci ostatni oszukują go przez miesiąc, a nasz dozorca przez całe życie. Nie umiałbym pomimo całego natężenia myśli odgadnąć, jakim sposobem można wyżyć za trzy ruble samemu, a tym bardziej z rodziną, nie dopomagając sobie rabunkiem i nie zapełniając dziećmi swymi więzień i osad poprawczych. Wiktor Hugo stworzył obraz „człowieka śmiechu", z którego twarzy nie ustępował ani na chwilę grymas podobny do śmiechu, a adwokat nasz, tak samo plastycznie jak powieściopisarz, przedstawił w obronie dozorcy portret człowieka-psa, który przez całe życie był przepędzany z kąta w kąt, przez całe życie był kopany i opluwany, przez całe życie szczuto na niego, bito bez przyczyny, ot tak, dla swawoli i wprawy; który przez całe życie nie miał własnej miski, własnej łyżki, dzień zaś, w którym jadł ciepłą strawę, był dla niego dniem tak uroczystym jak dla nas Wielkanoc".

W literaturze ówczesnej tego rodzaju stosunki nie znajdują oczywiście pełnego swojego wyrazu, takiego jak w tej kronikarskiej notatce, ale jeśli są nawet tylko ślady istotnego obrazu stosunków społecznych, gospodarczych i politycznych, to i tak warto je przypomnieć. Warto się pokusić o odtworzenie w praktyce, w śmiałych reedycjach nowego, zgodnego z prawdą, a całkiem innego niż w historiach literatury obrazu naszej literatury, zanim będziemy mogli dać jej rzetelne, marksistowskie opracowanie. Są to zresztą dwie strony tego samego zagadnienia. Nowa, marksistowska historia literatury polskiej nie mogłaby spełnić swojej roli, gdyby nie była dla współczesnego czytelnika udokumentowana zbiorem reedycji, dającym żywy obraz tej literatury realistycznej, odtwarzającej stosunki i idee swojej współczesności.

Jan Szeląg

Dyskusja pedagogiczna w radzieckiej prasie literackiej

Zagadnienia wychowawcze zawsze bardzo interesowały radziecki świat li-

teracki. Zainteresowanie to wynika z założeń ideowości literatury, z metody realizmu socjalistycznego.

> „Zadanie literatury radzieckiej polega na tym, by pomóc państwu w należytym wychowaniu młodzieży, w zaspokajaniu jej potrzeb duchowych, w wychowaniu krzepkiego, pełnego wiary w swoje dzieło nowego pokolenia, nie lękającego się przeszkód, gotowego do przezwyciężenia wszelkich trudności. (Z uchwały CK WKP (b) z 14.VIII. 1946 r. w sprawie czasopism „Zwiezda" i „Leningrad" cyt. wg „Znamia").

Maksym Gorki również poświęcał wiele uwagi zagadnieniom pedagogiki, żywo interesował się działalnością pedagoga-nowatora Makarenki, jego osiągnięciami jako pisarza i wychowawcy. Osobiste zainteresowanie i rady Gorkiego wywarły wielki wpływ na Makarenkę. W przemówieniu na I Zjeździe Pisarzy Radzieckich w r. 1934 Gorki wywodził aspekty wychowawcze literatury realizmu socjalistycznego z jej postawy zasadniczej:

> „...Realizm socjalistyczny traktuje byt jako działanie, jako twórczość, której celem jest stały rozwój najcenniejszych uzdolnień człowieka dla jego zwycięstwa nad siłami przyrody... (M. Gorki „Litieraturno-kriticzeskije statii" Moskwa 1937, str. 658).

Takie rozumienie istoty literatury, jej humanitarnych zadań wymaga znajomości zasad wychowawczych, stawia pisarzy w obliczu zagadnień związanych z osiągnięciem „stałego rozwoju najcenniejszych uzdolnień człowieka". Nic więc dziwnego, że na łamach radzieckiej prasy literackiej porusza się najciekawsze, najaktualniejsze zagadnienia pedagogiki radzieckiej.

W numerze 29 czasopisma „Litieraturnaja Gazieta" z 8.IV. 1950 r. ukazał się artykuł znanego pedagoga, prof. Kołbanowskiego pt. „Nagląca sprawa". Tą sprawą jest zagadnienie koedukacji. W Związku Radzieckim pełna koedukacja w szkolnictwie średnim była w latach Wielkiej Wojny Narodowej częściowo zniesiona (w wielkich miastach i ośrodkach przemysłowych) na rzecz bifurkacji tj. podziału szkół na męskie i żeńskie.

6 lat istnienia podwójnego systemu nauczania pozwoliło społeczeństwu i pedagogom zorientować się w zaletach i wadach każdego z nich. Artykuł prof. Kołbanowskiego, który wypowiedział się za przywróceniem koedukacji we wszystkich szkołach radzieckich, zapoczątkował ożywioną dyskusję. W dyskusji tej wzięły udział przeszło 4.000 osób, które do redakcji „Litieraturnej Gaziety" nadesłały ponad 800 listów. Część najciekawszych wypowiedzi czytelników była ogłoszona (w nr. nr. 36 i 52), poza tym zagadnieniu temu redakcja pisma poświęciła dwa artykuły redakcyjne (nr 57 i 73). Na łamach „Litieraturnej Gaziety" (nr 118) nauczycielka z Charkowa, gorąca zwolenniczka koedukacji, H. Nagajewa, autorka ciekawego i pięknie napisanego reportażu literackiego „U nas w szkole" („Nowyj Mir" nr 5/1950), zamieściła artykuł „W kolektywie dziecięcym", również poświęcony zagadnieniu przywrócenia koedukacji we wszystkich szkołach radzieckich.

Podsumowania dyskusji dokonała redakcja w artykule „Naglącą sprawę należy rozstrzygnąć" (nr 73 z 24.VIII.1950). Przytłaczająca większość dyskutantów — według obliczeń redakcji około 98% — wypowiedziała się za przywróceniem całkowitej koedukacji, pozostali uczestnicy dyskusji usiłowali swoje „bifur-

katorskie" stanowisko uzasadnić specyfiką nauczania i wychowania chłopców i dziewcząt, a także odmiennymi upodobaniami młodzieży do poszczególnych dziedzin nauki. Jeden ze zwolenników oddzielnego nauczania uważa, że koedukacja sprzyja rzekomo pewnemu zgrubieniu rysów charakteru u dziewcząt oraz wywołuje wydelikacenie i niepożądany wzrost „refleksu pasywno-obronnego" u chłopców.

Argumentacja zwolenników przywrócenia koedukacji w całym Związku Radzieckim idzie w kierunku stworzenia jak najpełniejszych warunków dla całkowitego „z r ó w n a n i a kobiety radzieckiej z mężczyzną we wszystkich g a ł ę z i a c h p r a c y i w i e d z y". Cała dotychczasowa praktyka radziecka świadczy o tym, że kobieta na równi z mężczyzną studiuje i uprawia wszystkie gałęzie wiedzy i działalności ludzkiej: bahaterski udział kobiet radzieckich w walce i pracy w czasie Wielkiej Wojny Narodowej, masowy udział kobiet we wspaniałych osiągnięciach powojennej pięciolatki Stalinowskiej — właśnie w dziedzinach nauk ścisłych i technicznych — jest najlepszym potwierdzeniem jednakowych upodobań i uzdolnień młodzieży obojga płci. Wysunięty przez przeciwników koedukacji argument o potrzebie przygotowywania dziewcząt do przyszłego życia — w oddzielnych szkołach — zbijają dyskutanci twierdzeniem, że w społeczeństwie budującym komunizm najlepszą gwarancją rodzinnego szczęścia jest wspólne wychowywanie i nauczanie przyszłych ojców i matek w duchu moralności komunistycznej. Problem przywrócenia pełnej koedukacji jest obecnie przedmiotem rozważań Akademii Nauk Pedagogicznych RSFRR oraz władz szkolnych.

W dyskusji wziął również udział Siemion Kałabalin, wychowanek Makarenki, jeden z bohaterów słynnego „Poematu pedagogicznego" (w powieści nosi nazwisko Karabanow), który w swojej wypowiedzi pisał:

> „Najlepszym, najdoskonalszym, najbardziej życiowym i sprawiedliwym zespołem był zawsze kolektyh chłopców i dziewcząt. Jako wychowanek, naoczny świadek i „obiekt" jego wspaniałej, rozumnej pracy — chcę złożyć świadectwo: Makarenko zawsze był zdecydowanym zwolennikiem koedukacyjnego wychowania i nauczania. Często mówił nam: „Moimi najlepszymi pomocnikami w wychowaniu was na prawdziwych ludzi — jesteście wy sami. Lecz najlepsze jest to, że wy, chłopcy i dziewczęta, jesteście razem".

Wielu biorących udział w omawianej dyskusji pedagogicznej powoływało się na nowatorską działalność Makarenki, na jego autorytet i doświadczenie. I nic w tym dziwnego. Znakomity pedagog—pisarz (1888—1939) wniósł tyle nowych myśli, tyle twórczej energii w dzieło wychowania komunistycznego, że pedagogika i psychologia radziecka jeszcze długie dziesięciolecia będą czerpały z bogatej spuścizny Makarenki. Całe swe życie, całą swoją twórczość ten wielki pisarz — patriota i humanista poświęcił bez reszty wytrwałej i entuzjastycznej walce o zwycięstwo idei wychowania komunistycznego.

W twórczości Makarenki literatura i pedagogika splotły się w nierozerwalny węzeł. Najlepszy swój utwór zatytułował Makarenko: „Poemat pedagogiczny". Ten prawdziwy poemat w prozie od pierwszego do ostatniego wiersza przepojony jest ideałami wychowania nowego, radzieckiego człowieka. Wszystkie pozostałe utwory Makarenki ró-

wnież poświęcone są zagadnieniom pedagogiki: „Marsz roku 30-tego", „Flagi na basztach". W jednym ze swoich licznych artykułów pisał:

„Wychowanie nowego obywatela odbywa się u nas wszędzie. Trudno wymienić takie miejsce, taki proces społeczny, takie zjawisko społeczne, w którym nie odbywałoby się kształtowanie nowego człowieka. Kolektywizacja naszej wsi stanowi — być może — najjaskrawszy w historii wypadek aktywnego i celowego przeszkolenia wychowawczego mas... Przed nami otwierają się rozległe perspektywy polityczne... Czekają nas nie tylko zwycięstwa, lecz również walka. Dla tych zwycięstw i dla tej walki wychowują się ludzie rosnący teraz w naszej rodzinie i w naszej szkole (cyt. za art. J. Łukina „Boriec za nowogo czołowieka", „Nowyj mir" nr 4/1949 str. 250).

W nową fazę weszła dyskusja pedagogiczna z chwilą ogłoszenia artykułu znanej nauczycielki — pisarki Wigdorowej, autorki cenionej i poczytnej książki z życia szkoły „Moja klasa". Artykuł ten pt. „Dragocennoje nasledstwo" („Drogocenna spuścizna") ukazał się w numerach 122 i 123 „Litieraturnej Gaziety" z grudnia 1950—co prawda nie w ramach wyżej omówionej dyskusji „Nagląca sprawa", ale jest niejako jej przedłużeniem, rozszerzeniem i pogłębieniem. Wigdorowa nie porusza wcale zagadnienia koedukacji; autorce artykułu zależało bowiem na postawieniu zagadnienia pedagogicznej spuścizny Makarenki w ogólności.

Wigdorowa w omawianym artykule wyraża żal, że mimo wielkiej poczytności i dobroczynnego wpływu „Poematu pedagogicznego" oraz innych książek, prac i artykułów Makarenki, mimo wyrazów wielkiego szacunku i uznania, jakim darzą imię wybitnego pedagoga — pisarza podręczniki pedagogiki, najmniej zainteresowania dla śmiałych, nowatorskich metod wychowawczych Makarenki, najmniej zrozumienia dla sprawy wcielenia ich w życie szkoły radzieckiej wykazują teoretycy nauk pedagogicznych. Wigdorowa przede wszystkim rozprawia się z błędnym poglądem niektórych pedagogów, że „doświadczenie Makarenki jest w wielu szczegółach specyficzne i jako takie nie może być przeniesione i zastosowane w naszej szkole, która ma do czynienia z dziećmi normalnymi" (cyt. z podręcznika pedagogiki prof. Ogorodnikowa i Szimbiriewa). Błędne jest przypuszczenie, że metody wychowawcze Makarenki mogą być zastosowane rzekomo tylko do wychowania dzieci wykolejonych.

„W „Poemacie pedagogicznym" i „Flagach na basztach" Makarenko opisuje pracę nad wychowankami kolonii poprawczych, a więc dziećmi trudnymi, lecz nie nienormalnymi. Zresztą dzieci te szybko tam wyrastały na normalną, zwykłą i wartościową młodzież radziecką. W „Poemacie pedagogicznym", „Marszu roku 30-tego", „Flagach na basztach" i innych utworach Makarenki można znaleźć niewyczerpaną kopalnię idei, pomysłów, metod pracy nad dziećmi w ogóle, a przede wszystkim w szkole, w zespole. Zresztą następne prace Makarenki, w których uogólnił swoją metodę wychowawczą („Książka dla rodziców", „Odczyty o wychowaniu dzieci", artykuły i referaty), opierają się wyłącznie na normalnej pracy wychowawczej w szkole. Tak więc argument o „specyfice" metod wychowawczych Makarenki odpada.

Przechodząc do omówienia poszczególnych zagadnień wychowawczych systemu Makarenki, Wigdorowa analizuje

formułę Makarenki: „możliwie najwięcej wymagań od człowieka i — możliwie największy dla niego szacunek". Jest to właściwie formuła Gorkiego, przetransponowana i zealizowana w systemie wychowawczym Makarenki (o wpływie Gorkiego na kształtowanie się poglądów wychowawczych i twórczość literacką Makarenki wspominałem wyżej). Tę wysoce szlachetną formułę wychowawczą — zdaniem autorki artykułu — można w pełni zastosować w każdej szkole radzieckiej, do wszystkich dzieci. Maksimum wymagań od wychowanka i maksimum szacunku dla jego osoby, dla wychowywanego człowieka. Makarenko tak określił sens swojej pracy nad wychowaniem człowieka:

„Najważniejsze, co przyzwyczailiśmy się cenić w człowieku — to siła i piękno. Jedno i drugie określa się wyłącznie według typu jego stosunku do „perspektywy." Człowiek kształtujący swoje postępowanie w najbliższej perspektywie, perspektywie dzisiejszego obiadu, jest człowiekiem bardzo słabym. Jeśli zaś zadowala się perspektywą swoją własną, chociażby nawet daleką, może tylko wydawać się silnym człowiekiem, jednakże nie wzbudza wrażenia piękna jednostki ani poczucia jej prawdziwej wartości. Im rozleglejszy jest kolektyw, którego pespektywy stanowią dla człowieka jego własne, osobiste perspektywy, tym piękniejszy i wyższy jest człowiek" (cyt. według Timofiejewa „Russkaja sowietskaja litieratura", Moskwa, 1950, str. 262).

Makarenko oceniał swoich wychowanków na podstawie ich stosunku do kolektywu. Uczeń, wychowanek, bez względu na to, kim zostanie w przyszłości, nie może być tylko dobrym, uczciwym człowiekiem, nosicielem własnej doskonałości. Powinien on zawsze i wszędzie występować, działać przede wszystkim jako członek kolektywu, jako członek społeczeństwa, odpowiedzialny zarówno za czyny własne jak i za postępowanie kolektywu. Za największe osiągnięcie swoje w dziedzinie wychowawczej Makarenko uważał stworzenie uczynnego, pracowitego, stawiającego zasadnicze wymagania i stale czujnego kolektywu wychowanków.

Podstawą pracy wychowawczej, jej celem jest stworzenie ducha kolektywu w myśl zasady Makarenki: „Wychowanie w kolektywie, dla kolektywu i przy pomocy kolektywu". Makarenko rozumiał czarodziejską moc spraw zespołowych i umiał stwarzać zespołowe tradycje, które spawały kolektyw jego wychowanków. W „Poemacie pedagogicznym" czytamy o pięknych, żywych tradycjach kolonii im. Gorkiego (obchód urodzin Gorkiego, święto pierwszego snopa itp.). Wigdorowa proponuje upowszechnienie wielu tradycji kolektywu wychowanków Makarenki (tradycji zjazdów i zlotów szkolnych, tradycji wręczania medali najlepszym członkom kolektywu itp.). „Każda, nawet niewielka radość oczekiwana przez kolektyw czyni go mocnym, zgodnym i krzepkim" — pisał Makarenko. Zespołowe oczekiwanie czegoś, zespołowe dążenie do jednego celu stanowi ważny czynnik wychowawczy.

Wychowanie człowieka — to właściwie wytyczenie dróg perspektywicznych, na których czeka wychowanków jutrzejsza radość, jutrzejsze szczęście. Jak to osiągnąć? Makarenko radzi:

„Najpierw trzeba zorganizować samą radość, powołać ją do życia i urealnić. Następnie należy usilnie przetwarzać bardziej proste rodza-

je radości w bardziej złożone, człowieczo doniosłe... Rozpocząć można nawet od dobrego obiadu lub pójścia do cyrku..., lecz stale należy pobudzać do życia i stopniowo rozszerzać perspektywy całego kolektywu, doprowadzić je do perspektyw całego Związku."

Następnym zagadnieniem poruszonym przez Wigdorową jest sprawa wyrobienia we wszystkich wychowankach poczucia zespolenia z kolektywem. Makarenko pisał:

„Każdy czyn poszczególnego ucznia, każdy jego sukces lub niepowodzenie należy ocenić jako niepowodzenie na tle ogólnej sprawy kolektywu, względnie jako osiągnięcie w dziele powszechnym. Taka logika wychowawcza winna przepoić każdy dzień szkolny, każdy ruch kolektywu."

Rozwijając myśl wielkiego pedagoga — nowatora Wigdorowa apeluje do nauczycieli i wychowawców, aby nie tylko doceniali wagę stworzenia w klasie powszechnej opinii kolektywu (co wszyscy wychowawcy radzieccy dobrze pojmują), lecz w praktyce częściej do tej opinii się odwoływali. Jest rzeczą stwierdzoną przez Makarenkę, że wszyscy uczniowie najbardziej obawiają się sądu współkolegów, że im na opinii kolektywu szczególnie zależy. I ten moment należy wychowawczo wykorzystać. Wigdorowa wzywa pedagogów, by częściej odwoływali się do organizacji pionierskich i komsomolskich we wszystkich przypadkach trudności w wychowaniu i nauczaniu poszczególnych uczniów. Bardzo wiele — zdaniem Wigdorowej — znaczy przywiązanie uczniów do kolektywu: do klasy, do szkoły, przykładem powinno być przywiązanie wychowanków Makarenki do swoich zespołów. Dzięki dobrym tradycjom kolektywu, o których wyżej mowa, dana szkoła i dany kolektyw zyskują własne oblicze. Wigdorowa przytacza szereg inowacji wprowadzonych przez grono nauczycielskie w najlepszych, przodujących szkołach moskiewskich — pod wpływem idei i doświadczeń Makarenki. Tak np. w szkole im. Zoi Kosmodemianskiej wprowadzono w życie ciekawą i wychowawczo cenną inowację: gdy dzieci w klasie I kończą elementarz, urządza się święto elementarza; przed gronem nauczycielskim i starszymi koleżankami odbywają się popisy czytania z rozdaniem nagród.

W dalszym ciągu artykułu Wigdorowa zajmuje się zagadnieniem dyscypliny i powołuje się na Makarenkę, który pisał:

„Czym jest dyscyplina? W naszej praktyce, niektórym naszym nauczycielom, niektórym pedagogom-myślicielom dyscyplina wydaje się środkiem wychowania. Uważam, że dyscyplina nie jest środkiem, lecz rezultatem wychowania".

W innym miejscu Makarenko pisał:

„Dyscyplina radziecka — to dyscyplina pokonywania, dyscyplina walki i postępu, dyscyplina dążenia do czegoś".

Od pojęcia dyscypliny jako rezultatu wychowania Makarenko odróżnia pojęcie ustroju szkoły jako określonego systemu środków i metod pomocnych w wychowaniu.

Warunkiem dobrej pracy wychowawczej z kolektywem uczniowskim jest stworzenie zgranego, zgodnego i trwałego kolektywu nauczycielskiego. Do tego zagadnienia Makarenko przykładał szczególnie wielką wagę: w „Poemacie pedagogicznym" i „Flagach na baszta-tach" pisarz — pedagog odtworzył dobrze zgrane, stojące na wysokim poziomie fachowym i politycznym — grono

wychowawców kolonii im. Gorkiego i im. Dzierżyńskiego.

Następne zagadnienie omawiane przez Wigdorową — to problem karania wychowanków, którzy zawinili wobec kolektywu (właściwie niemal każde przewinienie godzi w kolektyw). Na czym według Makarenki polega istota kary? Polega ona na tym, że „człowiek przeżywa fakt, iż potępił go kolektyw, uświadamia sobie, że postąpił niesłusznie. To znaczy: w ukaraniu nie ma upokorzenia, lecz jest przyżywanie popełnionego błędu, przeżywanie z powodu najmniejszego nawet oddalenia się od kolektywu".

W wypadku przewinienia kolektyw wychowanków Makarenki skazywał winowajcę np. na taką karę: w określonym dniu o określonej godzinie winowajca miał przemyśleć swój postępek i później zdać kolektywowi sprawę z rezultatów zastanowienia się nad przewinieniem. W innym wypadku kolektyw skazywał winowajcę na wysłuchanie analizy moralnej jego postępku — z ust znacznie młodszego kolegi. Makarenko uważał, że kary należy stopniować: zaostrzać w stosunku do najbardziej uświadomionych wychowanków, natomiast wychowanków słabszych należy karać tylko w ostateczności, a nawet w ogóle pozbawiać kary („właśnie pozbawiać!" — dodaje Wigdorowa).

W dziedzinie teorii pedagogiki Makarenko również wniósł wiele nowego.

> „Makarenko wielokrotnie powtarzał, że należy stworzyć pedagogikę dnia jutrzejszego. Umiał on wybiegać wzrokiem daleko w przyszłość, umiał odnajdywać w dniu dzisiejszym kiełki przyszłości" (cyt. z artykułu Wigdorowej w „Litieraturnej Gazecie" nr 123 z 21.XII. 1950).

Natchnienie do swojej pracy nowatorskiej, do stworzenia systemu wychowawczego wybiegającego daleko w przyszłość czerpał Makarenko z marksizmu-leninizmu:

> „Ogólne idee pedagogiczne marksizmu-leninizmu, wypowiedzi Lenina i Stalina dają nam w dziedzinie wychowania zupełnie jasne wytyczne i otwierają przed twórczością pedagogiczną ogromne perspektywy."

Artykuł swój Wigdorowa zakończyła apelem do studiowania i realizowania nowatorskich metod wychowawczych Makarenki.

Zadaniem pisarzy, autorów książek — tych „podręczników życia" według wyrażenia Czernyszewskiego — jest ukazywanie w formie literackiej tych ogromnych perspektyw rozwojowych, o jakich wspomina w wyżej cytowanym ustępie Makarenko. Tak więc zagadnienia pedagogiki nie są dla literatury radzieckiej, dla literatury realizmu socjalistycznego — problemem peryferyjnym, lecz ściśle i silnie splatają się z centralnymi i węzłowymi zadaniami pisarstwa.

Józef Spinc

Poetyka francuska na nowych drogach

Ścisły związek z życiem narodu, z jego rzeczywistością polityczną, a jednocześnie z jego narodową tradycją kulturalną, to probierz postępowej postawy współczesnego poety. Zmaganie się ze starymi nawykami pseudohumanizmu mieszczańskiego, z bezinteresownym i bezużytecznym piekłem wyobraźni, z oderwaniem od konkretu w imię jakichś ponadczasowych potrzeb ogólnoludzkich — odbywa się równorzędnie z polityczną walką o jutro świata. Zmagania o nowy konkretny, bliski

człowiekowi kształt poezji odbywają się wszędzie, gdzie walka polityczna się toczy. Nie tylko u nas, nie tylko w krajach budujących socjalistyczną przyszłość. U nas zmagania te towarzyszą wysiłkowi w realizacji Planu Sześcioletniego. W innych krajach demokracji ludowej — codziennej walce ze starym o nowe. W krajach kapitalistycznych literatura postępowa siłę swojego uderzenia w walce z reakcją czerpie z tej właśnie wypracowywanej w trudnych, w trudniejszych niż u nas, warunkach postawy rewolucyjnej. Walka o nową poezję odbywa się także we Francji.

W dyskusjach, które toczyły się u nas wokół poezji i zagadnień poetyki, wielokrotnie powoływano się na przykład poezji francuskiej jako źródło nieporozumień i błędów naszych poetów. W słusznej intencji przestrzegania przed bezmyślnym uleganiem francuskim wpływom uproszczono sprawy francuskiej poezji rozpatrując je ze stanowiska błędów i niedomagań niektórych naszych poetów, jako skostniały i nieulegający przemianom kanon. A tymczasem poezja francuska uległa współcześnie przeobrażeniom jak najbardziej istotnym. Ażeby je jednak dostrzec, nie można poezji i poetyki francuskiej wyrywać z jej narodowego nurtu.

Przez siedemdziesiąt lat swojego rozwoju poezja francuska od Rimbauda po nadrealistów konsekwentnie zrywała związki ze światem rzeczywistym. Autonomiczność celów poezji, odrębność poetyckich środków wyrazu, niepodległość i bezinteresowność poetyckich doświadczeń — oto co charakteryzowało wszystkie grupy i szkoły poetyckie tego czasu. Przygoda duchowa, najwyższy, jedyny cel poetów tego siedemdziesięciolecia, spełniała się w świadomie pełnej izolacji. Obraz był wówczas obrazem poetyckim, gdy zbudowany był na zasadach własnej, rzekomo właściwej poezji — logiki, sprzecznej z logiką obrazowania, gdyż służyć miał do wyrażania niewyrażalnego. Nie o wyrażanie bowiem uczuć i pragnień ludzi chodziło, ale o tworzenie, o odkrywanie nowych, nieistniejących jeszcze stanów psychicznych. Tak pojmowano poznawczą rolę poezji i taki sens nadawano oczywistym, jednoznacznym określeniom celów poezji sformułowanych przez Lautréamonta: „Poezja winna mieć cel praktyczny" i „Poezja winna być tworzona przez wszystkich, nie przez jednego".

Te cele poezji odbiły się w jej kształcie formalnym. Przygoda duchowa, wyrażanie niewyrażalnego mają też swoje rygory. Są to jednak takie same rygory jak te, które rządzą mistycznym wtajemniczeniem. Poezja ma być zaklęciem, zamówieniem, wywróżeniem z dźwięków i znaczeń jakiejś niebywałej sprawy świata.

Przygoda Rimbauda nie była bezinteresowną przygodą duchową. Rzeczywistość historyczna, czasy Komuny — oto źródło wstrząsu, największego wstrząsu, jakiego francuska poezja w swoim życiu doznała. Rimbaud swoją przygodę przeżył do końca. Jego milczenie było dopełnieniem i konsekwencją tragicznego zerwania z rzeczywistością ludzkiego losu. Przez siedemdziesiąt lat doświadczenie to po odarciu z historycznego sensu powtarzano bez ryzyka i bez nadziei. Aż wreszcie Valéry osiągnął szczyt doskonałości: sztuczne milczenie; potrafił zawile mówić o niczym.

Na tym tle wyraźnie występuje przełom, który we francuskiej poezji dokonał się w okresie podziemnej walki z hitleryzmem. Rzeczywistość narodowa wyrwała poetów z kręgu bezinteresownych doświadczeń duchowej przygo-

dy. Poezja francuska, najlepsza, jedyna godna w tych latach miana poezji, wyrywa się z własnego autonomizmu, ze swojego niepokalania światem rzeczywistym, z ideału niepodległości wobec świata i staje się orężem w walce o rzeczywistość — rzeczywistą. Walka ta rozpoczęta w podziemiach ruchu oporu toczy się nadal we francuskiej poezji dzisiaj.

Z dalekich pozycji metafizycznych powrót do konkretnego obrazu, do sprawdzalnej metafory, do logicznej składni mógł się w poezji dokonać jedynie w oparciu o ideologię rozpraszającą mroki intuicyjności, nieokreśloności, wiary w podświadomość i po prostu zakłamania. Zwrócić poetom sens ludzkiego świata, konkretnego obrazu i przeżyć konkretnych ludzi, zwrócić poetom wartość słowa i poczucie odpowiedzialności mogła jedynie idea walcząca o konkretną wolność konkretnych ludzi.

„To moja Partia zwróciła mi barwy Francji" powie Aragon.

Nie jest przypadkiem, że właśnie poezja Aragona i Eluarda, świadomych, walczących komunistów, najsilniej, najgwałtowniej wstrząsnęła narodowym sumieniem Francuzów. W poezję ich, wiemy, jak w głos nadziei wsłuchana była cała Francja.

Poezja Ruchu Oporu, poezja lat 1939 — 1945 przełamała wznoszony przez poetów od lat siedemdziesięciu mur izolacji od narodu. Była żywiołem odradzającym. To pewne. Lecz odrodzenia francuskiej poetyki nie mógł sam żywioł dokonać.

W latach 1945 — 1948, w latach budzącej się reakcji politycznej powrotna fala autonomizmu poetyckiego znowu zalewa francuską literaturę. Powracają nadrealiści z wygodnej emigracji w Meksyku (Bréton, Péret). Ze stanowiska przygody duchowej i „bezinteresowności" poezji oskarża się poezję Ruchu Oporu nadrealistycznym, wprawnym do inwektyw językiem skandalu o serwilizm wobec... narodu. Pojawiają się nowinki poetyckie, letryzm (odpowiednik dadaizmu), epifanizm (rodzaj nadrelistycznego naturalizmu). Stare wygi zarzucają znów na młodzież literacką sieci snobizmu. Jak w latach 1925, 1930.

Lecz te lata należą do skończenie minionej przeszłości. Siła ideowa i polityczna obozu postępu stanowi tamę przeciwko wysiłkom regenerowania absurdu. Rok 1948 jest rokiem nowego poetyckiego urodzaju. Powstaje poezja Nowego Ruchu Oporu. Oporu poetów przeciwko powrotnej fali bezinteresownych i nieodpowiedzialnych doświadczeń. Pojawiają się nowe talenty poetyckie (obok Guillevica, Verdeta, Claude Roy — młodzi i najmłodsi: Pierre Gamarra, Madeleine Riffaut, Jacques Gaucheron), wyrażające rzeczywistość ludzką, zmagające się słowem poetyckim z rzeczywistością społeczną i polityczną Francji. Tak jak w okresie okupacji, tak i dziś powstają poematy—pieśni mierzące celnie w imperializm, walczące konkretnie o pokój i wolność.

Nowa poezja francuska jest orężem w walce politycznej. To jest jej rzeczywistość. W walce tej odnawia się francuska poetyka. Każdy poemat, każdy wiersz liryczny swoją konkretnością społeczną, konkretnością obrazu, sprawdzalnością metafory ma, prócz doraźnej funkcji społecznej, spełniać zasadniczą dla francuskich potrzeb misję w kulturze: zwrócić poezję w ogóle, pojęcie poetyckie, obrazowanie poetyckie w stronę rzeczywistości; sprawić, by słowo poetyckie utraciło otaczającą je jeszcze mgłę autonomizmu, by przywarło do konkretnych spraw, by zna-

czyło to i tylko to, co w mowie wszystkich ludzi znaczy; wytrzebić z pojęcia poezji „tajemnicę" stanowiącą rzekomo jej istotę.

„Jak każda ludzka rzecz, tak i poezja jest przedmiotem poznania. Powinniście zawsze, przed każdą roztaczaną przed wami teorią zastanowić się, czy ona powiększa, czy też umniejsza poetycką tajemnicę. W pierwszym wypadku możecie ją rzucić psom na pożarcie, jest tylko sprytnym szachrajstwem, próbą zamydlenia oczu. Jedynie w drugim wypadku służy ona zarazem poezji i człowiekowi, których los jest wspólny, i daje poezji należne jej miejsce w społeczeństwie ludzkim, które żyje w świetle, a nie w ciemności." (Aragon).

Zmaganie się z irracjonalną mgławicą czystej poezji, z przygodą duchową jest specjalnym (w takiej skali) zadaniem nowej poezji francuskiej. W tej walce wykuwa się francuska poetyka. W tej walce rodzi się ideologia francuskiej poezji. Współcześni poeci francuscy zmierzają jak i my do realizmu, do konkretu. Ich droga jest dłuższa, trudniejsza, więcej oporów mają do zwalczenia. Lecz i w walce o tę zasadniczą swoją sprawę nowa poezja francuska jest bezkompromisowa. Nie szuka sprzymierzeńców, którzy mogliby spłycić jej nurt rewolucyjny. Nowa poezja francuska już na obecnym etapie rozwoju odcina się zdecydowanie od pojawiających się na jej peryferiach drobnomieszczańskich poetyckich ciągotów. W numerach 14, 19 z ub. r. marksistowska „Nouvelle Critique" zajmuje stanowisko wobec twórczości jednego z najpopularniejszych w środowiskach mieszczańskich i sięgającego swymi wpływami do młodzieży literackiej poetów — Jacques Préverta. Jacques Gaucheron analizuje niebezpieczeństwo, grożące nowej poezji od Préverta, poety, dla którego twórczości nietrudno i u nas znaleźć odpowiedniki.

Prévert, autor popularnych poematów („Paroles"), wierszy, piosenek, zastosował poetykę nadrealistów do komunikatywnej poezji życia codziennego. Kalambury pojęciowe, asocjacje nieoczekiwane, zaskakujące półnonsensem, zastosowane są do konkretnych opisów itd. Ideologicznie: pseudorewolucyjny sentymentalizm pod gust drobnomieszczański.

Odcięcie się nowej poezji francuskiej od J. Préverta jest dowodem powagi przeobrażeń zachodzących we francuskiej kulturze. Poezja francuska, jeśli szuka oparcia i sprzymierzeńców — to jedynie w narodowej tradycji (np. powrót Aragona do aleksandrynu). Poezja (Préverta), której komunikatywność służy do zaspokajania małego sumienia drobnomieszczanina (Gaucheron charakteryzuje ją zdaniem Marksa z „Krytyki moralizującej i moralności krytycznej": „zawartość drobnomieszczańską okrywa forma plebejska"), którą stylizuje się na rewolucyjność, wyrażając pseudorewolucyjne ciągoty lumpenproletariatu i anarchizujących inteligentów, poezja ta jest dla Francji postępowej przeszkodą w walce o nową, odrodzoną, narodową literaturę.

Młoda francuska literatura postępowa w poczuciu odpowiedzialności odcina się od wszystkiego, co może spłycić nurt dokonywanych przeobrażeń.

Zbigniew Bieńkowski

Książki nadesłane

WYDANIE ZBIOROWE

Juliusz Słowacki — Dzieła. Wydanie przygotowane przez Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1949. Tom I — Liryki i inne wiersze, oprac. Julian Krzyżanowski, str. 337 + 1 nlb. + 1 podobizna autografu; tom II — Poematy, oprac. Eugeniusz Sawrymowicz, str. 420 + podobizna autografu; tom III — Poematy, oprac. Jerzy Pelc, str. 680 + 1 podobizna autografu; tom VII — Król-Duch, oprac. Julian Krzyżanowski, str. 570 + 1 podobizna autografu; tom V — Dramaty, oprac. Wanda Leopoldowa, str. 420 + 1 podobizna karty tytułowej pierwodruku; tom VI — Dramaty, oprac. Wanda Leopoldowa, str. 413 + 1 nlb. + 1 podobizna autogrfafu; tom VII — Dramaty, oprac. Wiktor Hahn, str. 455 + 1 podobizna autografu; tom VIII — Dramaty, oprac. Eugeniusz Sawrymowicz, str. 411 + 1 podobizna autografu; tom IX — Dramaty, oprac. Zdzisław Libera, str. 368 + 1 podobizna autografu; tom X — Pisma prozą, oprac. Władysław Floryan, str. 767 + 1 podobizna autografu; tom XI — Listy do matki, oprac. Zofia Krzyżanowska, str. 560 + 1 podobizna autografu; tom XII — Listy do krewnych, przyjaciół i znajomych, oprac. Jerzy Pelc, str. 382 + 1 medalion.

PROZA

Iwan Aramilew — Młodość Matwieja. Przekł. autoryzowany Tadeusza Osińskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 323 + 1 nlb.

Marian L. Bielicki — Walka o bawełnę. Okładka i ilustr. Jana Kobera. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 44 + 3 nlb.

Maria Dąbrowska — Znaki życia. Pięć opowiadań, wyd. IV. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 154 + 2 nlb.

Jan Drda — Milcząca barykada. Opowiadania. Wyd. nowe. Przekład autoryzowany z czesk. Stefana Dębskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 145 + 2 nlb.

Claude Morgan — Zatrute ziarno. Powieść. Przekł. autoryzowany z franc. Henryka Woźniakowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 308 + 1 nlb.

Krystyna Nowakowska — Tak było w Niemczech. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 233 + 1 nlb.

Nowele estońskie — Przekł. Ireny Halber. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 310 + 2 nlb.

Vladimir Pozner — Szlakiem klęski. Powieść. Przekł. autoryzowany Marii Wisłowskiej i Bolesława Kielskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 363 + 2 nlb.

Leon Przemski — Kamieński. Wyd. II. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1950. Str. 289 + 2 nlb. + 1 portret.

Romain Rolland — Jan Krzysztof, Księga trzecia — Antonina. Dom Przyjaciółki. Przekł. autoryzowany Leopolda S'affa. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 551 + 2 nlb.

Michał Rusinek — Młody wiatr. Opowiadania. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 178 + 2 nlb.

Wacław Sieroszewski — Nowele. Wyd. nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 233 + 2 nlb.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz — Generał Komuny. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 289 + 2 nlb. + 1 portret.

Paul Tillard — Żołnierze Wolnej Francji. Powieść. Przekł. autoryzowany z franc. Stanisława Brucza. Str. 186

Mark Twain — Humoreski, t. II. Bajeczki dla starszych dzieci. Wybrał i opracował Antoni Marianowicz. Wyd. nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 240 + 1 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Leopold Staff — Poezje, tom III, 1915-1944. Wyboru dokonał Mieczysław Jastrun. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 352 + 1 nlb. + 1 portret.

Michał Swietłow — Po dwudziestu latach. Poemat dramatyczny w 4 aktach z prologiem i epilogiem, Przekł. z ros. Marii Czanerle. Przekł. wierszy Włodzimierza Słobodnika. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 87 + 1 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

G. J. Babat — Opowiadania o prądach wielkiej częstotliwości. Przekł. z ros. Mariana Szczurka. Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 162 + 1 nlb. + 1 wykres.

A. S. Makarenko — Wychowanie w rodzinie. Wyd. III. Przekł. z ros. Jadwigi Wierzbickiej, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 109 + 1 nlb.

HISTORIA I PUBLICYSTYKA

Harry Haywood — Wyzwolenie Murzynów. Przekł. autoryzowany Andrzeja Ciechanowieckiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 279 + 2 nlb.

Zygmunt Młynarski — U Źródeł polskiej demokracji. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 193 + 1 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

A. Czechow — Opowiadania humorystyczne. Przekł z ros. Kazimierza Truchanowskiego. Rys. wykonali Kukryniksy (zespół współcz. grafików radzieckich). „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 93+1 nlb.

Jan Grabowski — Skrzydlate bractwo. Wyd. IV. Ilustr. Ludwika Maciąga. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 132 + 2 nlb.

Jan Grabowski — Europa. Prawdziwa historia o kotce. Wyd. VI. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 45 + 1 nlb.

Jan Grabowski — Kochany zwierzyniec. Wyd. IV. Ilustr. Xawerego Koźmińskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 182 + 1 nlb.

Arkady Fiedler — Rio de Oro. Na ścieżkach Indian brazylijskich. Ilustr. St. Kuglina i Al. Krakowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 206 + 2 nlb.

Lew Kassil — Światła Moskwy. Przekł. Seweryna Alberta Hartmana. Drugi tom powieści pt. „Mars na horyzoncie". „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 206 + 7 nlb.

K. Kunin — Przez trzy morza. Powieść historyczna. Przekł. z ros. Stanisława Furmanika. Ilustr. z wyd. ros. Mapy Juliusza Makowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 196 + 2 nlb.

Maria Kownacka — Cztery mile za piec. Obrazki sceniczne. Wyd. II zmienione. Oprac. muzyczne Anny Osser. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 51.

M. Prileżajewa — Młodość Maszy. Powieść. Przekł. z ros. Stefanii Podhorskiej-Okołów. Ilustr. B. Diechtieriewa, przedruk. z wyd. rosyjskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 277 + 1 nlb.

Michał Priszwin — W krainie dziadka Mazaja. Przekł. z ros. Kazimierza Truchanowskiego. Ilustr. G. Nikolskiego i E. Raczewa przedruk. z wyd. rosyjskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 123 + 2 nlb.

K. Staniukowicz — Opowiadania morskie. Przekł. z ros. Romana Niewiadomskiego. Ilustr. z wyd. ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 244 + 2 nlb.

E. Szwarc — Uczennica I klasy. Sztuka w 8 odsłonach. Przekł. Marii Górskiej. Przekł. piosenek Janiny Gillowej. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 56.

Juliusz Verne — Dzieci kapitana Granta t. I. Przekł. z franc. Izabeli Rogozińskiej. Ilustr. M. Kościelnika. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 246 + 2 nlb.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, LISTY

Mikołaj Gudzij — Lew Tołstoj 1828–1910. Przekł. autoryzowany R. Radwiłowicza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 144 + 1 nlb.

Jan Michalski — 55 lat wśród książek. Wspomnienia, wrażenia, rozważania. Przedmowa Wacława Borowego. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. IX + 106 + 3 nlb. + 1 fotografia.

Kazimierz Wroczyński — Wspomnienia O Stefanie Jaraczu. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 163 + 1 nlb. + 1 portret.

REPORTAŻE

Ilja Erenburg — Notatki z 5 krajów. Przekł. z ros. Joanny Poraskiej. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 54 + 2 nlb.

Stanisław Wygodzki — Newa wiecznie nowa. Ilustr. i okładka Ignacego Witza. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 49 + 3 nlb.

SPIS TREŚCI

Str.

Feliks Dzierżyński: Z pamiętników więźnia; Ucieczka . 3
Stanisław Wygodzki: Z „Pamiętnika Więźnia“ . . . 23
Arnold Słucki: Towarzyszom 25
Artur Międzyrzecki: Pieśń o rejsie 27
Edward Ciopa: Wczoraj i dzisiaj. Wiersz dla znajomej dziewczynki 29
Marian Brandys: Wiosenny zaciąg 32
Tadeusz Breza: Krok w tył 40
Edward Kurowski: Sprawa Felisiaka 64
Leon Przemski: Lelewel 76
Jan Kott: Nieznane wiersze polskiego Oświecenia: Stanisław Trembecki — Widok teraźniejszy Rzymu; Autor Nieznany — Pieśń Murzynki nad kolebką swego syna; Kajetan Węgierski — Obrona Wirgiliusza Rzymskiego; Autor Nieznany — Moda kobiet 124
Łukasz Kurdybacha: Upadek kodeksu Andrzeja Zamoyskiego 134
Z ŻYCIA NAUKI: Kazimierz Ostrowski: Materia żywa i jej rozwój w świetle współczesnych badań naukowych . . . 143
WŚRÓD KSIĄŻEK: Artur Sandauer — Julian Tuwim: Wybór poezji; Barbara Rafałowska — Stanisław Wygodzki: Widzenie; Ludwik B. Grzeniewski — Leopold Infeld: Wybrańcy bogów 156
TEATR: Juliusz Żuławski: Na scenach warszawskich . . 170
NA WIDNOKRĘGU: Jan Szeląg, Józef Spinc, Zbigniew Bieńkowski. 174
KSIĄŻKI NADESŁANE 189

Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik“
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65 centr. 401-80/90 wewnętrzny 22

Administracja: Wiejska 12
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch“ Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25

Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł. 3.60. Prenumerata kwartalna zł. 10.80, półroczna — zł. 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

CENA zł 3.00

CZYTELNIK